

PIOTR PYTLAKOWSKI
KRÓLOWA

Żona Słowika opowiada znanemu dziennikarzowi
o gangsterach, miłości i zdradzie

MAFII

KRÓLOWA

PIOTR PYTLAKOWSKI • MONIKA BANASIAK

MAFII

DOM WYDAWNICZY REBIS



Copyright © for the Polish edition
by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Text © copyright
by Monika Banasiak and Piotr Pytlakowski, 2016

Redaktor
Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Michał Pawłowski / www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce
© Kristina Hruska/Millennium Images, UK

Wkładka ilustracyjna
O ile nie zaznaczono inaczej, zamieszczone fotografie
pochodzą z prywatnego archiwum Moniki Banasiak.

Skan i opracowanie elektroniczne
lesiojot

Wydanie I Poznań 2016

ISBN 978- 83- 7818- 882- 7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60- 171 Poznań
691962519

POLECAMY RÓWNIEŻ

EWA ORNACKA PIOTR PYTLAKOWSKI
NOWY ALFABET MAFII WOJNY KOBIET

PIOTR PYTLAKOWSKI PIOTR WRÓBEL
MÓJ AGENT MASA

EWA ORNACKA
KAROLINA SZYMCZYKMAJCHRZAK
PAJĘCZYNA STRACHU

„Wolność to stan umysłu”.
Mahatma Gandhi

Zamiast wstępu

Wiedziałem, że się spotkamy, jeszcze kiedy Monika siedziała w areszcie. Ktoś się do mnie zgłosił z pytaniem, czy chciałbym napisać książkę razem z tą słynną była żoną gangstera Słowika. Czyli ze Słowikową, jak ją nazywano. Ona miała niedługo wyjść, bo sąd już orzekł, że zostanie zwolniona, jeżeli wpłaci kaucję, bodajże 120 tysięcy zł. Kiedy dziennikarz słyszy taką propozycję, raczej nie odmawia. Nie odmówiłem.

Monika Banasiak wyszła na wolność 8 października 2015 r. Kilka dni potem się spotkaliśmy. Przyjechała do redakcji „Polityki”, gdzie pracuję. Nie wyglądała na osobę, która wiele ostatnich miesięcy spędziła za kratami. Elegancko ubrana, na twarzy dyskretny makijaż. Spodziewałem się innej Słowikowej. Przecież żona gangstera nie powinna rozmawiać o literaturze, cytować Remarque’a i Hemingwaya, wtrącać do rozmowy myśli Kanta i Hegla oraz powoływać się na Kotarbińskiego. Monika stanowczo burzyła mój obraz kobiety z pruszkowskiego świata.

Szybko przeszliśmy na ty, bo Monika jest bezpośrednia i skraca dystans. Odbyliśmy dziesiątki rozmów, wszystkie za jej zgodą nagrywałem. Tak powstała ta książka, w której Monika opowiada o swoim życiu, o mafii, o Słowiku, Wadimie, o przygodach, jakie jej się przytrafiły, o miłości i zdradzie. Opowiada też o więzieniu. To jej ostatnia trauma. W czasie kiedy rozmawiamy, właśnie się z niej wyzwala.

Zaproponowała, aby książkę rozpoczęła anonimowa rozmowa, z jaką się utożsamiała. Ktoś ją umieścił w internecie. - To o mnie, chociaż ktoś, kto to pisał, nigdy mnie nie poznał - powiedziała. - Ja też coś straciłam, tylko jeszcze nie wiem co.

Dobrze, Moniko. Tak zaczniemy.

Piotr Pytlakowski

Rozmowa z internetu

- Czy myślisz, że zaszły w tobie jakieś zmiany w ciągu ostatniego roku? Jakież?

- Zrodziło się we mnie więcej obojętności. Odwróciło się kilku ludzi. Kilka razy upadłam i nie potrafiłam się podnieść. Więcej niż kilka razy płakałam i nie umiałam przestać. Kogoś znienawidziłam, a kogoś chyba pokochałam. Ktoś dał mi lekcję życia. Uświadomiłam sobie, że nic nie jest na zawsze i że ludzie już do końca świata pozostaną egoistami. Przez cały rok trzymałam za rękę nadzieję, wierząc, że to pomoże. Zwątpiłam bardziej w międzyludzkie zaufanie. Postawiłam na swoim i dużo przez to w ciągu ostatniego roku wygrałam. Stałam się silniejsza na pokaz, słabsza, gdy zostaję sama. Polubiłam samotność, noc i ciszę. I wydaje mi się, że coś straciłam. Tylko jeszcze nie wiem co.

Na pewno zapytacie, dlaczego napisałam tę książkę. Oto powody.

Wierzę w dobro, choć może nikt mi nie uwierzy.

Wierzę, że za wszystko, co uczyniliśmy, przyjdzie nam zapłacić. I z pokorą płacę za to wielką cenę.

Nigdy nie byłam święta. I nigdy nie będę.

Możliwe, że zbyt długo uczyłam się rozumienia tego, co dobre, a co złe.

Być może zbyt wiele przekroczyłam granic. I co najgorsze, na przekroczenie zbyt wielu granic pozwoliłam innym, nieświadomie, bez premedytacji, milcząc.

I muszę stawić temu czoło.

Zdecydowałam się ponieść konsekwencje mojego milczenia.

I je przerwać.,

Przez lata powiedziano i napisano o mnie wiele kłamstw, oskarżano mnie o niczemności i czyny, których nie popełniłam. Krążą o mnie legendy i historie iście abstrakcyjne. Nie o wszystkim mogę dzisiaj powiedzieć, nie wszystko sprostować. Ci, którym zależy na moim milczeniu, doskonale wiedzą, że nie należy mnie drażnić. Sprowokowana nie zawaham się.

Przyszedł czas, by ludzie poznali prawdę o mnie i moim życiu.

W moim umyśle istnieje imperatyw, który każe mi skończyć wszystko, co zaczynam. Tą książką chcę zamknąć pewien rozdział w moim życiu. Niechlubny, acz inspirujący.

Zmiany są na ogół wymuszone ekstremalnymi wydarzeniami. Dla mnie takim przełomowym momentem był pobyt w więzieniu. Nie spodziewałam się, że mam w sobie tyle siły, by to piekło przetrwać. Jedynie znalezienie w sobie pokory pozwoliło mi przejść przez nie z godnością. I wyjść jeszcze silniejszą. Odartą ze złudzeń i nadziei.

Już wiem, że mogę liczyć tylko na nielicznych i prawie nic nie jest nam dane na zawsze. Nie wierzę w słowa „zawsze” i „nigdy”.

Ta książka to sposób na oczyszczenie.

Liczę, że życie da mi kolejną szansę. Byłam na szczycie i jeszcze na niego wrócę. Ale to będzie inny szczyt. Nie dla siebie. Dla tych niewielu, którzy przy mnie trwali.

Dla mojej Mamy, która nigdy nie zasłużyła na to, ile musiała znieść.

Dla Taty, który na mnie czekał, by przed śmiercią mnie zobaczyć.

Dla mojego syna, którego za wszelką cenę i bez strachu odzyskam.

Dobro zwycięża. I czas na to najwyższy.

Nie jestem królową mafii.

Nie jestem już żoną Słowika.

To ja. Po prostu Monika.

Monika Banasiak

ROZDZIAŁ 1

O Saskiej Kępie, ucieczce z własnego ślubu i paryskiej kawie ze Słowikiem

Dzień dobry. Czy tak należy witać się z czytelnikami? Nie mam pojęcia, bo nigdy nie pisałam książek.

Nazywam się Monika Banasiak, a z domu jestem Zielińska. To ja, ta tajemnicza pani Słowikowa, jak mnie nazwałeś w jednym ze swoich artykułów, Piotrze. Mój były już mąż nosi pseudonim Słowik. No to ja jestem Słowikowa.

Media przedstawiały Andrzeja jako czołowego polskiego gangstera. No cóż, nie będę z tym polemizowała, byłoby to niemądre. Byłam żoną gangstera, i to nie było jakiego. Samego Słowika z pierwszych stron gazet. Świadek koronny Masa opisywał Słowika jako człowieka superniebezpiecznego, z krwią na rękach. A ja mam w pamięci Słowika czulego, kochającego i trochę nieszczęśliwego. Każdy ma swoją pamięć.

Zamierzam opowiedzieć wam, czytelnikom, i tobie, Piotrze, o moim życiu. Nie dlatego, żeby was do czegoś przekonywać albo żeby się wybielać. Nie musicie mnie polubić ani uznać, że jestem superucziwą i niczemu niewinną byłą żoną gangstera Słowika. Ale chcę jednego. Musicie mi uwierzyć, że każde słowo w tej książce to będzie prawda. Nie mam żadnego powodu, aby ściemniać, kłamać i manipulować. Będę z wami szczerą aż do bólu. Zgoda?

Na pewno chcecie wiedzieć, jak dziewczyna z dobrego domu, studentka medycyny, jedynaczka kochana przez rodziców, poznała Andrzeja Z., pseudonim Słowik, i ruszyła z nim w tę podróż przez życie, która okazała się niesamowitą jazdą bez trzymanki. Trzeba się cofnąć do początku lat 90. i mojej pracy w biurze nieruchomości u pana Wojtka E, pseudonim Pimpek.

Pimpek, jakkolwiek by to zabrzmiało, był w tamtym czasie poważnie brany pod uwagę jako kandydat na wiceministra budownictwa. Dlatego nie podaję jego nazwiska, bo według policji to mafia forsowała go do rządu. Czy tak było? Mogło być, bo był człowiekiem dobrze ustosunkowanym i wśród możnych tego świata, i w kręgach gangsterskich. Znał wszystkich.

Ja poznałam go w jednej z kawiarni na Saskiej Kępie. Obok miał swoje biuro. Kiedyś siedziałam nad kawą smutna i zamyślona, bo pan, u którego wówczas pracowałam, a było to biuro podróży, miał problem z wypłaceniem mi pieniędzy. To znaczy ja miałam problem, bo czułam się oszukana. Właściciel biura dopiero potem miał problem, kiedy Pimpek dowiedział się ode mnie o tej sprawie.

Wojtek Pimpek, jak to Wojtek, był szarmancki w stosunku do młodych kobiet. Podszedł do mnie i zapytał, dlaczego mam takie smutne, piękne oczy. Ładnie zapytał, prawda?

Opowiedziałam mu o tych pieniądzech. Dopytywał się, kto jest taki niedobry i nie chce mi wypłacić. Oznajmił, że ma takich dwóch dużych kolegów, groźnie wyglądających, którzy mogą mi pomóc wyegzekwować od tego pana pieniądze. I tak poznałam Masę i Kielbasę, bo to byli ci dwaj groźnie wyglądający.

Jeden większy, drugi mniejszy. Masa oczywiście stosownie do swojego pseudonimu był duży, gruby, zawsze spocony i milczący. Natomiast Kielbasa szczupły, inteligentny, bystry. I przystojny, bardzo przystojny. Powiem nieskromnie, że myśmy się od razu sobie nawzajem spodobali. Był rozmowny i bardzo otwarty, a przy tym kreatywny, pomysłowy. Więc ci dwaj panowie, jeden przystojny, drugi budzący strach, bo taki gruby i spocony, pojechali ze mną do tego biura podróży i rzeczywiście

wygezekwowali moje pieniądze.

Użyli wyłącznie argumentów słownych, absolutnie nie siłowych. I tutaj właśnie prym wiódł Wojtek Kielbasa, jako ten mądrzejszy. Wojtek mówił, a Masa stał i robił wrażenie. Po czym panowie mnie zawieźli do biura tego pana Pimpka na Saską Kępe. Podziękowałam mu za pomoc, a on zaproponował mi pracę w swoim biurze. Zgodziłam się, tym chętniej, że mi zaproponował dosyć dużą pensję. Poza tym nie ukrywam, że miejsce było ciekawe, luksusowe, w kwiatkach, pachnące, i panowie elegancy w garniturach się tam pojawiali.

To była firma budowlana, pierwsza wtedy, powiedziałabym, w Warszawie, ponieważ oddawała, tak mówiąc kolokwialnie, „pod klucz” mieszkanie. Przychodziło się do tej firmy, płaciło się określoną kwotę pieniędzy za metr użytkowy mieszkania i w zamian dostawało się mieszkanie pod klucz, czyli łącznie z wyposażeniem, łazienką, kuchnią.

U Pimpka zostałam dyrektorem do spraw sprzedaży, czyli zajmowałam się marketingiem, zachęcałam klientów do tego, żeby przychodzili, i sprzedawałam im te mieszkania. Podpisywałam akty notarialne. Oczywiście to było wszystko zgodne z prawem.

I właśnie tam pewnego pięknego, letniego popołudnia przyszedł mój przyszły mąż, czyli Andrzej, pseudonim Słowik. To jeszcze był taki chłopaczek nieopierzony, z ple- rezą włosów farbowanych, bo wtedy była taka moda. Panowie nosili pasemka i robili sobie trwałą ondulację, co z perspektywy czasu wydaje się śmieszne, ale wtedy śmieszne nie było, tylko normalne. Pojawił się z błyskiem w oku i prężnym krokiem wkroczył do biura. Nie bardzo wysoki to był mężczyzna, powiedziałabym, że nawet niski. Taki mały ktoś, zagubiony chłopiec, który bardziej chciał zrobić na ludziach wrażenie. To emanowało z jego oczu. No bo nie ukrywajmy, Andrzej pochodzi ze Stargardu Szczecińskiego, małego miasteczka pod Szczecinem. Za nim przez lata będzie się ciągnął kompleks chłopca z małego miasteczka. Aczkolwiek o dosyć silnym, specyficznym i trudnym charakterze.

Więc wracając do tego dnia - pojawił się i trochę arogancko stwierdził, że on oczywiście do Wojtka. Nawet się nie przedstawił, nie powiedział dzień dobry, tylko że on do Wojtka. Zrobiło to na mnie nieprzyjemne wrażenie, wstałam i powiedziałam:

- Przepraszam pana bardzo, ale zechce pan uprzejmie się przedstawić, bo tak wypadaloby, jest pan w szacownym miejscu, to jest jedno z lepszych biur w Warszawie.

Oczywiście zrobiłam pijar ogromny. On widocznie nie przywykł, żeby ktokolwiek go strofował, w związku z czym, ku mojemu zdziwieniu, usiadł i powiedział:

- Jestem Słowik, ja do Wojtka.

A ja powiedziałam mu uprzejmie, że ma poczekać, poszłam do gabinetu Pimpka i powiedziałam:

- Wojtek, jakiś Słowik do ciebie.

Byłam przekonana, że Słowik to nazwisko.

Wojtek mówi:

- Jezu, Moni, Słowik. No i co powiedziałaś?

- No powiedziałam, żeby usiadł i czekał.

- Zwariowałaś?!

- A co ja miałam powiedzieć, żeby wszedł? Przecież masz kogoś w gabinecie.

- Ale wiesz, przecież to Słowik. Ale wiesz, to wariat.

- Wariat? - mówię. - Jeżeli tak, to sympatyczny wariat.

- Moni, może i sympatyczny, ale zupełny wariat.

Wojtek nazywał mnie Moni. To on wymyślił ten skrót.

Teraz na aktach mojej sprawy sądowej występuję jako Monika Banasiak, pseudonim Moni. Jaki to pseudonim? Skrót imienia po prostu.

Na mnie Słowik rzeczywiście zrobił wrażenie człowieka takiego trochę impulsywnego, ale do ujarzmienia. Zanim wszedł do tego gabinetu, spojrzał na mnie z taką, jak już powiedziałam, arogancją i wręcz nawet ze wzburzeniem, że kazałam mu czekać. Oczywiście osobiście wprowadziłam go do gabinetu prezesa Pimpka. Trzeba było wejść po trzech schodkach do

takiego korytarzyka i potem do gabinetu szefa. To były czasy, kiedy chodziło się na dwunasto- centymetrowych szpilkach, w krótkich spódnicach, które opinały pupcię, i nosiło się długi warkocz, który mi gdzieś tam w tych rejonach pupy się kończył. Powiem wprost, robiło się na facetach wrażenie. Ja wtedy jeszcze mogłam, bo teraz to już raczej nie, ale wtedy podobno mogłam.

W każdym razie Andrzej, jak już bliżej się poznaliśmy, powiedział, że zrobiło to na nim wrażenie, bo na przestrzeni tych trzech stopni zrobiłam kocim, plażowym, jak on to określił, krokiem 250 ruchów i dwie rzeczy mu utkwiły w pamięci - moje oczy brązowe i te długie, długie nogi. No i tak poznałam właśnie Andrzejkę.

Potem na życzenie Andrzeja wchodziłam jeszcze kilka razy do tego gabinetu. Przynosiłam kawę, bo akurat ode mnie kawy chciał się napić Andrzejek. Wodę mineralną, bo mu się pić zachciało. Kiedy wchodziłam, Andrzej baczenie mi się przyglądał. Nawet trochę bezczelnie. Ja też go z ukosa obcinałam i nie ukrywam, że zafascynowały mnie jego oczy niebieskie, takie trochę płochliwe i takie trochę bezradne, kompletnie jakby niekompatybilne z tą jego agresją, z którą wszedł do biura.

W końcu Andrzej zaproponował, abyśmy umówili się na kawę. Powiedziałam, że nie przywykłam umawiać się na kawę z takimi aroganckimi mężczyznami. A ten niezrażony, że wymyśli fajne miejsce i na pewno się zgodzę. Próbuj, powiedziałam. I rzeczywiście wymyślił fajne miejsce, spróbował i mu się udało. Zaprosił mnie na kawę do Paryża. I rzeczywiście pojechałam do tego Paryża. Tam oprócz trzymania się za rękę i patrzenia sobie w oczy do niczego więcej nie doszło. Piliśmy przepyszne chablis i jedliśmy ostrygi. Chyba po raz pierwszy w życiu on wtedy jadł ostrygi. A ja po raz kolejny.

Z tymi ostrygami to mnie trochę wykorzystał. Nie wiedziałam wtedy, że go uczę, jak je jeść. Sprytnie uczył się ode mnie dobrych manier. Kiedy podszedł kelner, Andrzej zaproponował, jak na dżentelmena przystało, abym zamówiła, na co mam

ochotę, a on weźmie to samo. No to zamówiłam ostrygi i powiem, że zanim zabrał się do konsumpcji, przyglądał mi się uważnie, jak te ostrygi powinno się jeść. Kiedy tak patrzył, wydawało mi się, że jest zauroczony i zapatrzony we mnie. Potem zrozumiałam, że właśnie udzieliłam mu pierwszej lekcji *savoir-vivre*'u.

Był bardzo ambitny, nigdy nie chciał pytać, jak należy się zachowywać, jakie wino dobierać do jakiego mięsa, jak się ubierać gustownie. Jak on czegoś nie wiedział, to obserwował. I w ten sposób się uczył. To taka jego inteligencja emocjonalna. No i z tego Paryża wróciliśmy do Polski, potem był sylwester, były narty w Davos i długie spacerunki po parku. Wszyscy się dziwili, jak to jest możliwe, że Słowik takie rzeczy robi z kobietą, bo on raczej był arogancki w stosunku do wszystkich, do kobiet też.

Pierwszy raz kochaliśmy się właśnie w Davos, podczas tej narciarskiej wyprawy. Uczyłam go jeździć na nartach. Ja uwielbiam narty. Jak się kochać, nie musiałam go uczyć. Był w tym naprawdę świetny.

Jazda na nartach to jedna z rzeczy, które podobno dobrze robię i lubię. Nie jeżdżę na krechę, ale klasycznie, krystianią, jak w starych dobrych czasach. Kolanko pod kolanko, jak ktoś jeździ na nartach, to powinien wiedzieć, o czym mowa. Przeszłam dobrą szkołę na Gubałówce. Tam właśnie rodzice mnie w trzecim roku życia na narty postawili. Po latach to samo zrobiłam ze swoim synem, który również świetnie jeździ. To mi się udało zrobić, jeszcze go nauczyłam jeździć na nartach, zanim trafiłam za kraty i utraciłam z nim kontakt.

Skoro mowa o moich rodzicach, to wyjawię, że pochodzę z rodziny mieszczańsko-artystycznej, z korzeniami mieszanymi, trochę żydowskimi, a trochę innej mieszanki. Te żydowsko-lódzkie to po mieczu. Tata urodził się w Łodzi, mama taty była Żydówką z raczej bogatej rodziny, mieli sklep jubilerski na

Piotrkowskiej. Po babci odziedziczyłam dwie duże działki i część kamienicy. Jak poznałam Andrzeja, to nie byłam biedną dziewczynką, która prosiła o pięć złotych na rajstopy. Miałam pieniądze ze spadku. Można powiedzieć, że byłam posażną panną.

Ojciec mojego taty to lwowiak z krwi i kości. Pod Lwowem miał majątek ziemski. Zieleniewo, tak to się nazywało. Nosił się jak ziemianin, zawsze chodził w muszce, kupował pączki u Bliklego. Pamiętam nasze rodzinne, wspaniałe obiady u dziadków, jak przyjeżdżaliśmy z mamą i tatą do nich na ulicę Walecznych. Był tam ogromny dom, potem restauracja na dole. Taka rodzina z tradycjami, bogata, prawdziwa, związana ze sobą emocjonalnie.

Z kolei mama to dusza artystyczna, kończyła szkołę baletową w Bytomiu, w klasie tańca klasycznego. Dyplom zdawała u profesora Burkego, jednego z lepszych profesorów w tamtych latach. Tańczyła w Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk”. Potem w „Mazowszu”. Tańczyła też w operze bytomskiej i w warszawskiej. Uczyła choreografii na Moliera, w Szkole Baletowej, a potem, już przed moim urodzeniem, to były lata 60., tańczyła w operetce warszawskiej. Po mamie odziedziczyłam temperament.

Moja mama nazywała się z domu Marietta Tatiana Rybaków. Nazwisko i imiona kojarzą się z rosyjskim pochodzeniem, ale to nie do końca prawda, bo chociaż moja mama urodziła się w Mołdawii, a to jeszcze kiedyś była republika należąca do ZSRR, jej rodzina to była mieszanka niemiecko- włosko- rosyjska. W każdym razie ja jestem mieszanką, może dlatego jestem taka zwariowana. Jak widać, pochodzę z rodziny multi- kulti, w najwyższym stopniu narodowościowy miks. Taka krew podobno jest najbardziej gorąca.

Moja babcia prowadziła na Saskiej Kępie kawiarnię Sultán. To kultowe w latach 60. i 70. miejsce. Przychodziła tam ówczesna bohema, artyści, piosenkarze, pisarze, ale też tak zwani prywaciarze i złota młodzież. Ciekawi, przeróżni ludzie. I w tej

kawiarni bywała Agnieszka Osiecka. Przyjaźniła się z moimi rodzicami. Napisała Piosenkę dla Zielińskiej, śpiewali to Skaldowie. Krążyła opinia, że był to prezent dla jednego z braci Zielińskich ze Skaldów, który akurat brał ślub, ale ja znam inną opinię. To był wiersz dedykowany mojej mamie. Dotyczy Saskiej Kępy, a bracia Zielińscy mieszkali w Krakowie, nie mieli nic wspólnego z Saską. Agnieszka Osiecka przychodziła do Sułtana na kawę, miała swój stały stolik. A potem moja mama pamięta ją z tych najgorszych już czasów, kiedy niestety chodziła w jednej skarpetce po Saskiej Kępie, kiedy miała te ogromne załamania nerwowe.

Do Sułtana przychodził także sławny śpiewak operetkowy Mieczysław Wojnicki, ten, który śpiewał słynne Jabłuszko pełne snu. Kochał się w mojej mamie. Cała operetka warszawska przychodziła. Do babci mojej co czwartek przychodziły panie na brydża, jeszcze zachował się taki stolik specjalnie do brydża z zielonym sukniem, elegancki. Pamiętam jak przez mgłę te czasy, kiedy jeszcze Józia, która była u nas służącą, podawała przyjaciółkom babci ciasteczka i herbatkę.

Sułtana już nie ma. Najpierw należał do mojej babci, potem do mojego chrzestnego, a potem przechodził z rąk do rąk. Jakiś czas funkcjonował pod nazwą Maska. Dzisiaj nazywa się jeszcze inaczej.

Opowiadam o tym wszystkim, żeby pokazać, jakim paradoksem było moje życie. Dziewczyna z dobrego domu, która powędrowała do innego świata. Podobno ciekawszego. To we mnie kiełkowało od dawna. Chciałam narozrabiać. Poczuć się niegrzeczną dziewczynką. Wiele kobiet ma takie ciągoty, ale brakuje im odwagi. Ja się odważyłam.

W liceum byłam jeszcze grzeczna. Skończyłam słynną „Czwórkę”, ogólniak imienia Mickiewicza, jeden z trzech najlepszych wtedy w Warszawie. Wtedy Batory był na topie, Mickiewicz i jeszcze Rejtan. Po maturze próbowałam dostać się na medycynę, ale zdałam na farmację. Nie chciałam na farmację, chciałam uparcie na medycynę. Pracowałam dziewięć

miesiący w szpitalu na Mokotowie, przy ulicy Goszczyńskiego, żeby zbierać punkty. Zasuwałam szmatą, zmywałam krew i ropę na sali operacyjnej. Brałam dodatkowe dyżury, chciałam zobaczyć, jak wygląda ten szpital prawdziwy, nie filmowy. Zdobyłam dziewięć punktów, przydały się, dostałam się na medycynę, ale jej nie skończyłam, bo się zakochałam, na IV roku poszłam na urlop dziekański i już tak zostało.

Zakochałam się w chłopcu z dobrego domu. Taki trochę pogubiony był, ale go wyprowadziłam na ludzi. Dzięki mnie zdał dobrze maturę i dostał się na studia. Zaplanowaliśmy ślub, ale w ostatniej chwili odwiedziło mi się. Uciekłam sprzed ołtarza, dosłownie. Czemu? Bo był za nudny, chyba. Już wtedy wiedziałam, że potrzebuję czegoś innego. Już się we mnie zagotowało i uciekłam sprzed ołtarza. Już jadąc do kościoła, wiedziałam, że to zrobię. Kazałam kierowcy limuzyny ślubnej czekać, bo będę go potrzebować.

Ksiądz zapytał, czy biorę tego oto Krzysztofa za męża, a ja krzyknęłam, że nie. Krzysiek spytał, czemu to mu robię. Ale nie odpowiedziałam, bo już pędziłam do wyjścia. Kiedy wybiegałam z kościoła, wszyscy wpadli w szok, a mama zemdlała. Kazałam kierowcy, żeby zawiózł mnie do domu i czekał. Miałam spakowany plecak, wzięłam narty i pojechaliśmy na dworzec. Ruszyłam w góry.

Krzysiek chciał sobie potem ułożyć życie, ożenił się, miał dziecko, ale gdzieś tam z tyłu głowy zawsze mnie miał, dzwonił do mojej mamy, dzwonił do mnie. Któregoś razu nie było mnie w Polsce, bo wyjechałam z Andrzejem, i nagle otrzymałam wiadomość, że Krzysiek skoczył z dachu. Podobno ostatnie dwa połączenia na komórce były do mojej mamy i do mnie. Ani do niej, ani do mnie się nie dodzwonił. To straszne. Może gdybym z nim porozmawiała, zmieniłby decyzję.

Byłam na jego pogrzebie i ta śmierć do dzisiaj nie daje mi spokoju. Tak sobie myślę, że całe życie płaczymy się między dobrymi i złymi wyborami. Zawsze tylko my jesteśmy odpowiedzialni za drogę, jaką idziemy. Krzysiek wybrał tak, jak

chciał. Efektem mojego wyboru, kiedy zakochałam się w Słowiku i wyszłam za niego za męża, jest to, że teraz siedzę przed tobą i wyrzucam z siebie wszystko, co gniozło mnie przez lata. Taka spowiedź.

Słowika poznałam w 1989 roku. Wyobraźcie sobie ten megalians. Dziewczyna z dobrego domu, niedoszła lekarka, poznaje jednego z czołowych polskich gangsterów. Gwoli prawdy, wtedy nie był jeszcze gangsterem, raczej złodziejem. Z zawodu fryzjer, wyuczył się tego fachu, odsiadując wyrok za kradzieże w zakładzie karnym w Płocku. Nawet podobno był dobrym fryzjerem męskim. I ten chłopczyk ze Stargardu Szczecińskiego, który był wtedy nieznanym światu złodziejem, przyjechał do Warszawy, żeby w wielkim mieście się ukryć. Bo trzeba wiedzieć, że wyszedł z więzienia na przepustkę i już nie wrócił. To się fachowo nazywa niepowrotem. Wybrał Warszawę, bo tu mieszkał jego poznany w kryminale przyjaciel, niejaki Zygmunt R., pseudonim Bolo albo Raźniaczek. Według mnie ten Zyga był tak naprawdę jedynym prawdziwym przyjacielem Słowika w całym jego życiu.

Zyga był bardzo męski, dobrze zbudowany, robił dobre wrażenie. Wyszedł wcześniej z więzienia i z tego, co pamiętam, to załatwił Andrzejowi taki telegram o śmierci mamy, który oczywiście był fikcyjny. W tym czasie dawało to możliwość wyjścia na pogrzeb. I Andrzej wyszedł, i już nie wrócił. Przyjechał do Warszawy do Zygmunta, Zygmunt wtedy mieszkał na Żoliborzu i załatwił Słowikowi jakieś mieszkanie u swojej koleżanki. No i Andrzej zaczął funkcjonować razem z Zygmuntem, wchodził w ten świat warszawski. Zyga był dla niego kimś w rodzaju mentora. Andrzej bardzo słuchał się Zygmunta i bardzo go szanował, do dzisiejszego dnia chyba tak jest, to jest jedyny prawdziwy przyjaciel i jedyny człowiek, który wie, jaki Andrzej jest. Oprócz mnie, bo ja też wiem, jaki Andrzej jest naprawdę.

ROZDZIAŁ 2

O tańcu na fortepianie, drogim winie i ułaskawieniu Słowika

W okresie, tak to nazwijmy, narzeczeństwa z Andrzejem wciąż pracowałam w biurze u Wojtka P. Już dobrze się orientowałam, kto tam bywa i w jakim celu. I jakie tam pieniądze ogromne, że tak powiem, się przewijają. Uczciwe również, no bo przecież Wojtek uczciwie sprzedawał mieszkania. Natomiast do Wojtka przychodzili też ludzie w innych sprawach, nie tylko po to, żeby kupować mieszkanie, ale dopiero potem się o tym dowiedziałam. Na przykład żeby odzyskać pieniądze. I tych panów dwóch, jeden grubszy, drugi chudszy, jeden inteligentniejszy, drugi głupszy - Masa i Kiełbasa w duecie, zawsze razem - pierwszy raz zjawilo się u Wojtka właśnie w sprawie długu. A gdzieś tam za ich plecami stał „Pruszków”.

Wojtka łatwo było im podejść, no bo Wojtuś to był, i chyba nadal jest, słynny gracz warszawski. Grał dobrze i wysoko. Jak wysoko, to i grubo. Kasynowy gracz. No i skądś te pieniądze musiał brać. Był bogaty, ale i tak się zadłużał, bo hazard w jego wykonaniu to były wielkie pieniądze. Jeśli już nie starczało z tego, co ludzie wpłacali na mieszkania, to trzeba było brać od tych, którzy się tym procederem na co dzień zajmowali, czyli pożyczali pieniądze na procent. U takich panów się pożyczca dużo, na krótko, na wysokie procenty, i szybko wszystko trzeba oddać co do grosza. A jak się nie oddaje, to są potem przykre konsekwencje i już nie stosuje się gróźb i próśb, ale siłowe rozwiązania.

Nie pamiętam już, kto to zlecił, żeby odzyskać pieniążki od

Wojtka, ale zaczęli go najeżdzać właśnie panowie Masa z Kielbasą, ale potem windykatorzy i ich ofiara polubili się nawzajem i już wspólnie i w porozumieniu, jak by powiedział prokurator, działali zupełnie w drugą stronę. Czyli najpierw go windykowali, a potem się zaprzyjaźnili, bo Wojtka nie sposób było nie lubić. Wojtek był szarmancki, kobiety go wszystkie kochały, aczkolwiek urodą nie grzeszył. Z tym że to bardzo sympatyczny pan, inteligentny i z takim, brzydko mówiąc, cwaniactwem życiowym. On wiedział, jak pieniądze zarabiać. W tym świecie wokół takich ludzi, którzy zarabiają pieniądze, krąży ci, którzy chcą zarobić przy okazji. To miejsce, mówię o biurze, gdzie pracowałam u Wojtka, to był taki tygiel, gdzie się przewijali tacy ludzie, którzy jedli okruchy z tego pańskiego stołu Wojtka, przy okazji zarabiali z nim pieniądze, na pewno niekoniecznie uczciwe i czyste.

Pora wyjaśnić, skąd wziął się pseudonim Wojtka. Bo był mały i miał okrągły, gruby brzuszek, dlatego Pimpek. On bardzo nie lubił, jak go tak nazywano. Właściwie tylko Andrzej mógł tak na niego mówić. Brzmiało to pieścizotliwie. Wojtek lubił Andrzeja i Andrzej Wojtka, to była taka nawet, powiedziałabym, nie czysto biznesowa przyjaźń. Świadczy o tym fakt, że Wojtek i jego partnerka Agnieszka byli naszymi świadkami na ślubie, który zawarliśmy z Andrzejem w Las Vegas. Opowiem o tym zdarzeniu nieco później.

Zanim doszło do ślubu, Andrzej, mój Słowiczek, jak go z miłością nazywałam, zaczął mnie wprowadzać w swój świat i swoje środowisko. Poznawałam jego przyjaciół, ich żony i kochanki. Wchodziłam w ten nowy dla mnie krąg towarzyski. Szybko pojęłam, że jestem w tym świecie trochę obca, inna. Byłam inna przede wszystkim od tych żon i kochanek kolegów mojego przyszłego męża. Byłam wśród nich najmłodsza. Wtedy i Andrzej był najmłodszy z tej słynnej piątki szefostwa tak zwanej grupy pruszkowskiej. Precyzyjniej będzie powiedzieć: rzekomego

szefostwa. Mówię o Leszku D., pseudonim Wańka. Mówię o jego bracie Mirku D., pseudonim Malizna. Mówię o Ryśku Sz., pseudonim Kajtek. Mówię o Januszu R, pseudonim Parasol. Mówię o Andrzeju Z., pseudonim Słowik. Andrzej co prawda nosił wtedy inne nazwisko, był Andrzejem B. Jeszcze był Rysiek P, pseudonim Krzysio, przyjaciel Parasola, ale jego nie zaliczano do zarządu. Proszę zobaczyć, że ci ludzie, których wymieniłam, to z nich wszystkich z Pruszkowa wywodził się tylko Parasol, dla mnie Janek.

Janek, trzeba to powiedzieć uczciwie, sympatyczny człowiek, ale formatem odbiegał od pozostałych. W ważnych przedsięwzięciach i dużych pieniądzach to gdzieś Janek się gubił. W jakichś rozliczeniach może był brany pod uwagę, ale generalnie pozostali panowie woleli w swoim gronie te sprawy załatwiać, bo Janek to był Janek. Janek był specyficzny. I gdy było trzeba, powiedzmy, inaczej zadziałać niż intelektualnie, to wtedy ewentualnie pana Janka się prosiło do stołu. A tak naprawdę to jego nie było przy jakichś takich rozmowach, bo to się kręciło w Warszawie, do Pruszkowa tak naprawdę się nie jeździło. Może ten Pruszków wziął się dlatego, że mieszkali w nim Masa i Kielbasa oraz ich młodszy koledzy, tak zwani żołnierze, czyli młody „Pruszków”?

Na początku, wyznaję to szczerze, byłam zafascynowana światem, w który wprowadzał mnie Słowik. To był kompletnie inny świat od tego, który dotychczas znałam. Inni mężczyźni, inne zachowania, inne reakcje. Świat złych chłopców, czasami wulgarnych, czasami nieokrzesanych. Ja ich fascynowałam i oni fascynowali mnie.

Cały ten czas pamiętam jako zabawę. Lał się szampan, były i kawior, i dobre wina. Takie nieustanne święta, każdego dnia był 1 maja. No bo ci chłopcy wtedy zarabiali szybko, dużo, a jak szybko i dużo jutro będzie znowu, to przecież życie jest piękne. Król się bawi, złotem płaci, prawda? W związku z czym było pięknie, łatwo i przyjemnie.

Były dobre samochody, były dobre lokale, były wyjazdy, były

weekendy w hotelu Tadzia Gołębińskiego w Mikołajkach. Kiedy brakowało pieniędzy, wysyłało się chłopców po pieniądze do Warszawy. I dalej szalerstwo. Zamawiało się świniaki z rożna, grała orkiestra całą noc, ja kąpałam się w jeziorze na koniu, a potem na oklep wjeżdżałam na mokrym jeszcze rumaku do recepcji, po klucze do pokoju. Miałam konia w hotelu Gołębiński, czekał na mnie w tamtejszej stajni. Dostałam go od Andrzeja w prezencie. Jeżdżę konno od dziecka, lubię konie na równi z nartami.

I tańczyłam w czarnych dwunastocentymetrowych szpilkach na nowym fortepianie, kupionym właśnie przez Gołębińskiego Tadzia. A Tadzio za głowę się złapał i mówi: „Andrzejku, to jest mój nowy fortepian”. A Andrzej ze swoim wdziękiem mówił: „Moni, tańcz, Andrzejek zapłaci”. Potem rzeczywiście kupił ten fortepian, bo po moich tańcach nie był już do użytku. No to były takie właśnie piękne, trochę durne, ale też fajne i kolorowe czasy.

Andrzej miał przez całe życie ogromną umiejętność wydawania pieniędzy i cieszenia się tym życiem, to jest prawda. Czasami wydawał ponad stan, ale przeważnie miał z czego płacić. Te pieniądze na pewno przy nim były i czasem naprawdę duże. Raz mniejsze, raz większe, ale były przez cały czas.

Wchodziłam w ten świat bez obaw. Wchodziłam zafascynowana, patrzyłam przez różowe okulary, nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jak ogromną cenę w przyszłości będę za to płacić. Wtedy ten świat był jak stworzony dla mnie, ci ludzie byli do mnie bardzo pozytywnie nastawieni, więc ja nie widziałam drugiej strony lustra. Nie widziałam tego zła, które kryło się pod powierzchnią. A może nie chciałam widzieć?

To prawda, że nie byłam dziewczyną z ich kręgu, inaczej mówiłam, inaczej zachowywałam się, inaczej ubierałam. Ale to był mój plus w ich oczach, bo to byli ludzie, którzy mieli parcie, żeby być lepszymi, żeby się kreować. W większości byli to prości chłopcy. Prości i źli chłopcy, którzy nie pokończyli w większości podstawówek. I oni dzięki tym pieniądzom, dzięki temu, jak

wyglądali, jak się ubierali i kto wokół nich był, starali się właśnie ten status swój społeczny podnieść. Więc taka dziewczynka koło nich, która potrafiła mówić, potrafiła się zachować, zamówić stolik, kupić bilety do teatru, pojechać gdzieś na jakieś wakacje fajne, zameldować ich w hotelu, zamówić obiad, bo oni w większości nie mówili w żadnym języku - taka dziewczyna była na wagę złota i oni to szybko docenili. Szczególnie za granicą byłam im przydatna, bo przeważnie oni dwoma językami się posługiwali, dwoma językami w butach, jak mawiał pewien mój kolega. Dwa języki w butach mieli, tylko to. Byłam ich przewodniczką i rezydentką biura podróży opiekującą się mafią pruszkowską na zagranicznych wakacjach. Bywało to dla mnie nieco uciążliwe. Zdarzało się, że jeśli w nocy cokolwiek się stało, to mnie budzili, bo tu się umywalka zapchała, tu znowu trzeba było coś zamówić do hotelu, tu któryś nie wiedział, jakie piętro zadysponować windziarzowi. No to w te pędy do Moniki, żeby załatwiła, pomogła i przetłumaczyła. Gubili się w wielkim świecie, a ja musiałam ich odnajdywać. Kiedy wędrowaliśmy przez jakieś, dajmy na to, francuskie miasto, szłam zawsze pierwsza, a oni gęsiego za mną, jak przedszkolaki na spacerze. Moni, zapytaj, ile to kosztuje, Moni, zamów mi kotleta. Było to zabawne, ale męczące.

Uczyłam ich zachowania w dobrych restauracjach. Muszę powiedzieć, że niektórzy, na przykład Andrzej, uczyli się szybko, mieli talent. Pojechaliliśmy kiedyś w większym towarzystwie do Monte Carlo. Zamieszkaliśmy w hotelu Hermitage, niedaleko kasyna. Obchodziliśmy drugą rocznicę ślubu i Andrzej wydał przepiękny obiad, wystawny. Wśród gości byli Raźniaczek i Malizna z rodzinami. Pamiętam, że wtedy właśnie nauczyłam Andrzeja, że najdroższą potrawą na takich eleganckich, proszonych obiadach powinno być wino. I to wino powinno być najdroższe i najlepsze, wszystko pozostałe może być trochę gorsze. Do tej pory pamiętam, kelner w eleganckiej muszce przyniósł wino bardzo drogie, nie chcę mówić o kwotach, bo to nieistotne, ale było naprawdę drogie. Niósł je na poduszce, a

tire- bouchon, czyli korkociąg, na drugiej. Pan w muszce otworzył przy nas wino i korek dał Andrzejowi do powąchania. Powiedziałam mu, jak to trzeba robić. On się cudownie czuł w takiej roli, bo brylował, błyszczał, jak on to potrafi.

Andrzej łatwo przyswajał ten cały bon ton, ale do uczenia się języków obcych nie miał cierpliwości. Wystarczyło mu, że ja już wtedy mówiłam po angielsku, dogadywałam się po niemiecku i francusku. Później nauczyłam się niejako z konieczności hiszpańskiego i rosyjskiego. Z tym hiszpańskim miałam trudne początki. Pojechaliliśmy z Andrzejem do Ameryki Południowej i tam zamówiłam lekcje hiszpańskiego, nauczycielka, młoda dziewczyna, przychodziła do mnie, do hotelu. Poszłam raz z Andrzejem do restauracji i chciałam się popisać, ile już nauczyłam się tego języka. Zamówiłam pięć kaw. A kawa, w oryginale cava, to taki szampan hiszpański. Barman spojrział na mnie, czy na pewno. Na pewno, cinco cava por favor. Ja proszę o pięć kaw, a barman serwuje nam pięć butelek szampana. Najadłam się wstydu, ale potem zacisnęłam zęby i przyłożyłam się do nauki hiszpańskiego. Powiedziałam sobie, że to wstyd i hańba, żebym ja popełniała takie błędy.

Andrzej, jak mówiłam, pod tym względem był leniwy, ponieważ miał mnie, swoją małą zabaweczkę, jak czasami o mnie mówił. Wkurzało mnie, kiedy nazywał mnie swoją małą Monią zabaweczką. Na początku fajne, ale później takie trochę niepasujące do mojego charakteru. A on uznał, że jak ma taką Moni zabaweczkę przy sobie, to Moni wszystko załatwi, po co mu się uczyć. Twierdził, że skoro ma taką żonę przy sobie, to muszę być mądra, muszę być ładna, inteligentna, a za wszystko inne zapłaci się kartą kredytową. Czyli ja nie musiałam nic robić, tylko być i funkcjonować jako partner biznesowy i życiowy przy nim. Nie prac, nie gotować, nie sprzątać, to jest be, od tego jest inna pani. Twierdził, że skoro stać go na taką żonę, to stać również na pokojówkę i kucharkę, i sprzątaczkę.

Prowadziliśmy z Andrzejem życie towarzyskie zgodne ze standardami obowiązującymi wśród jego przyjaciół. Oni bywali u nas, my u nich. Imprezy w dobrych knajpach. Andrzeja i jego kumpli łączyły różne biznesy. Kiedy te interesy dobrze funkcjonowały, to życie towarzyskie kwitło. Obowiązywały wzorce rodzinne, jak w scenach z amerykańskich filmów o mafii. Zachowywaliśmy się jak członkowie rodziny Soprano. Obchodziliśmy wspólnie chrzciny, śluby, pogrzeby, wyjazdy. W tym samym gronie cały czas. Tak było od święta, bo na co dzień panowie toczyli życie w tak zwanym mieście. Wiadomo, jak przystało na ludzi z miasta, pieniądź wymagał, żeby go pilnować.

Zony nie pytały o te sprawy, nazwijmy je, biznesowe. Wiedziały, o co chodzi, ale nie wypadało być ciekawską. Mądre żony nigdy nie pytały. Stosowały mądrą zasadę, zgodnie z powiedzeniem ze świetnego rosyjskiego filmu Brygada, o prawdziwych mafiosach, że nie budzi się śpiącego psa. Lepiej nie zadawać pytań, na które się nie chce usłyszeć odpowiedzi. Na tym polega mądrość żony gangstera i mądrość kochanki mafiosa. Że nie pyta, bo po co uzyskać odpowiedzi, których się nie chce.

Ja też nie pytałam, nie było mi to potrzebne, powiem szczerze. Do pewnego momentu nie było mi to potrzebne. Andrzej czasem sam z siebie rozmawiał ze mną o problemach. Bo on, o dziwo, jak byliśmy tylko we dwoje, potrafił być elokwentny, bystry, inteligentny, po prostu może dlatego, że mi ufał. Kiedy byliśmy tylko we dwoje, on się odkrywał przede mną.

Był uczciwy wobec mnie. Na początku naszej znajomości sam z siebie powiedział mi o więzieniu, z którego wyszedł na przerwę w karze i do którego nie miał zamiaru wrócić. Powiedział, że nie możemy być ze sobą od razu. Najpierw musi załatwić tę sprawę. Stara się o ułaskawienie i dopiero potem, jak już będzie mógł funkcjonować na tak zwanych białkach legalnych, to wtedy się pobierzemy, bo on nie chce mnie wciągać w niepewne życie. Nie chce w przypadku, kiedy będzie musiał wrócić za kraty, żebym ja na niego czekała, tak jak wszystkie te kobiety recydywi-

stów. To było uczciwe.

Czasem rozmawialiśmy o problemach Andrzeja, nazwijmy to, biznesowych. Z czego żyje, jak zamierza zapewnić mi przyszłość, jeżeli zostanie jego żoną. To chyba normalne, że kobieta chce wiedzieć, co ją czeka u boku tego wybranego. To było wtedy, kiedy Andrzej i jego przyjaciele jeszcze nie zarabiali kroci. To były śmiesznie małe, w porównaniu z tym co później, pieniądze, które zarabiali na, jak mówili, konfiskowaniu tirów z papierosami czy ze spirytusem.

Modne było wtedy okradanie innych złodziei albo przemytników. To bezpieczne zajęcie, bo wszystko zostaje niejako w rodzinie, krzywda się nikomu nie robi, bo to tylko złodziej złodziejowi kradnie. Powiedzmy jasno, to też jest niemoralne, przestępstwo jest zawsze przestępstwem, ale w tym świecie traktowano ten proceder jako przestępstwo bezpieczne. Uczciwym krzywda się nie dzieje, to o co chodzi?

W tym czasie w ogóle nie funkcjonowała instytucja świadka koronnego, więc nie było obaw, że ktoś pójdzie i sprzeda kolegów. To jeszcze byli chłopcy z ferajny, jak to się mówi, z zasadami, którzy jak sobie coś mieli powiedzieć, to umawiali się na ubitej ziemi i dawali sobie po pysku. Nie strzelali z kałachów, jak nie było potrzeby, a jeśli już, to do wrogów, a nie do swoich. Ale to był ten świat, którego już nie ma i nie będzie. I tamten świat mnie fascynował. Chciałam się z tym światem zmierzyć, zobaczyć, jaka jest cena za lojalność i uczciwość. Okazuje się, że teraz cena jest. I ja ją płacę.

Świadkowie koronni, w których tak wierzy wymiar sprawiedliwości, to osobnicy bardziej niemoralni od bandytów. Ich nielojalność kupuje się wolnością i darowaniem kary. Mówi się o nich, że to skruszeni gangsterzy. Nie wierzę w taką skruchę. Wierzę w chęć poprawy, ale nie wierzę w skruchę. Zły człowiek zostanie złym człowiekiem, dla mnie świat jest czarno-biały, zero- jedynekowy. Można się nauczyć być poprawnym, ale nie wierzę w gruntowną przemianę człowieka. Bandyta zostanie bandytą, nawet jeżeli nazwą go świadkiem koronnym i

skruszonym przestępcą. Człowiek się nie zmieni, może się jedynie nauczyć, jak trzeba postępować, żeby nie podpaść. Człowiek się podobno uczy całe życie i zaczyna jako *carte blanche*. Ale ja nie wierzę, że człowieka kształtuje środowisko, w jakim żyje. Myślę, że człowiek się rodzi z pewnymi cechami charakteru i oczywiście kreuje go dom rodzinny, tak jak mnie wykreował i jakby z mlekiem matki wyssałam te zasady, które do tej pory mam i które mi pozwoliły przeżyć więzienie, ale myślę, że to charakter, urodzenie i geny decydują o losie ludzkim.

Wspomniałam o ułaskawieniu Andrzeja. Wiem, że to budzi ciekawość. Wiadomo, łapówka za wolność to frapujące.

Andrzej nie ukrywał przede mną, że właśnie w ten sposób chce załatwić sobie prezydencki akt łaski. Mówił, że ma dobrego mecenasa, a mecenas ma wysoko ustawionych kolegów, którzy za pewną sumę pieniędzy są w stanie wyczyścić konto Andrzeja. I tak się stało. To było 150 tysięcy dolarów za ułaskawienie Andrzeja B., pseudonim Słowik.

Z tym zmieniającym się nazwiskiem Andrzeja - wtedy był B., a dzisiaj Z. - sprawa jest banalnie prosta. Ja z domu jestem Zielińska. Gdy braliśmy ślub w Las Vegas, to taki *surprise* chcieliśmy panom policjantom zrobić, żeby trudniej było Andrzejka jakoś zlokalizować, i on przyjął moje nazwisko. Ja byłam jeszcze przez długi czas Zielińska. Jeszcze po urodzeniu syna byliśmy oboje Zielińscy. Dopiero w warszawskim Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie zalegalizowaliśmy ślub z Las Vegas i formalnie zarejestrowano nasze małżeństwo, przyjąłam poprzednie nazwisko Andrzeja i zostałam panią Banasiak. Proste, prawda? Dzisiaj on nosi moje panięskie nazwisko, a ja jego rodowe.

Zabawne było, kiedy w USC pani, która pisała na maszynie nasz akt ślubu, zapytała, gdzie go braliśmy. Wyjaśniłam, że w Las Vegas. Zdziwiła się i dopytywała: „Las co?”. No to jej powiedziałam, że to było w Las Vegas, stan Nevada, Stany

Zjednoczone Ameryki Północnej. Ta pani miała ogromny problem z napisaniem tego wszystkiego, ale jakoś się jej udało po godzinie.

Andrzej chciał potem wrócić do swojego nazwiska, czyli tego, które ja teraz noszę, ale ponieważ toczyły się przeciwko niemu już wtedy procesy, a jest taki przepis, że w czasie trwania procedury sądowej nie można zmieniać nazwiska z racji różnych trudności formalnych, zrezygnował. Może teraz, jak już skończy go sądzić, przybierze nazwisko Banasiak. Będzie zabawnie, bo oboje, chociaż już osobno, znów będziemy nazywać się tak samo. A może zdarzy się tak, że ja wrócę do nazwiska panińskiego i znów będę Zielińska.

Wracając do ułaskawienia Słowika. Pieniądze dał adwokatowi, a ten wszystko załatwił. Można? Można! Już słyszę te pytania: kto się rzucił na łapówkę, kto pomógł? Nikt! Żartem można powiedzieć, że Andrzej poszedł do banku i wypłacił. To były jego pieniądze. Zawsze takie sprawy załatwiał sam, nie lubił pożyczać od kogoś, lubił pożyczać komuś, bo miał dobre serce, takie Janosikowe trochę. Śmieję się, że kradł bogatym i oddawał biednym, a że sam był biedny, więc sobie samemu oddawał. Tak więc on sam załatwił te 150 tysięcy dolarów.

Nazwisko adwokata ujawnił Heniek Niewiadomski, pseudonim Dziad, w swojej książce. To był pan mecenas N. Nie będę tego nazwiska wymieniała, bo jego syn, zdaje się, też jest adwokatem i nie chcę mu szkodzić. Mecenas N. zginął w wypadku. Dostał zawału serca w czasie prowadzenia samochodu i nacisnął na pedał gazu zamiast na hamulec, uderzył centralnie w ścianę jakiegoś budynku i w ten sposób zginął. Komu dał pieniądze za ułaskawienie Andrzeja, nie wiemy. Ani Andrzej, ani ja. I niech tak zostanie. Mecenas nigdy nam nie zdradzał kuchni swoich sposobów. A nazwisko skorumpowanego urzędnika kancelarii prezydenta Wałęsy zabrał do grobu. Jedno było pewne, Andrzej musiał szybko zapłacić, nie interesowało go nawet ile. Przypomina mi się, że adwokat powiedział o 120 tysiącach dolarów, a Andrzej oświadczył, że da mu 150, tylko żeby to było

załatwione szybko i na pewno. Miał zaufanie do mecenasa, bo to był dobry adwokat, który nie rzucał słów na wiatr. Jego mocną stroną był fakt, że miał mnóstwo kolegów z okresu studiów, ze swojego roku, dobrze ułożonych w wielu miejscach.

To były czasy korupcji, każdy doskonale wiedział, komu trzeba dać, żeby załatwić. Komu dał mecenas N.? Taki wniosek o ułaskawienie musiał przejść przez prokuratury i sąd i uzyskać ich akceptację. Może tam trzeba szukać sprawcy? Andrzejowi było to obojętne, kto wziął. Dla Andrzeja liczył się efekt i efekt nastąpił. Dla mnie też liczył się efekt. Akt łaski otwierał drogę do naszego ślubu. Tak to odbierałam i byłam naprawdę szczęśliwa.

ROZDZIAŁ 3

O Las Vegas, zabójstwach i przywracającym nadzieję zapachu Polo Lauren

Ślub postanowiliśmy zawrzeć niebanalnie. Padło na Las Vegas. Było i uroczyście, i zabawnie. Pojechali z nami do Las Vegas nasi przyjaciele - Wojtek E, czyli Pimpek, i jego partnerka Agnieszka. Zostali naszymi świadkami.

Przed samym ślubem, już w Las Vegas, zapakowaliśmy zapas johnniego walkera i wybraliśmy się na połączony wieczór kawalerski i panieński. Wynajęliśmy helikopter i poleciliśmy z Las Vegas nad Wielki Kanion, wylądowaliśmy na dnie rzeki Missisipi, bo to była pora sucha i rzeka wyschła. Wieczorem helikopter wysadził nas na dachu naszego hotelu Mirage, gdzie mieszkaliśmy w przepięknym apartamencie z widokiem na Grand Canyon.

Ślub wzięliśmy w tym właśnie hotelu, w Chapel Mirage, czyli w kaplicy Mirage, przy Viva Las Vegas w wykonaniu Presleya. Potem zjedliśmy kolację i poszliśmy na ekskluzywne występy, gdzie pierwszy raz w życiu widziałam białe tygrysy o niebieskich oczach. Przedstawienie było urozmaicone fajerwerkami, występowały piękne dziewczyny o długich nogach. Miałam zawrót głowy od przelewającego się wszędzie przepychu i bogactwa. Z okna tego apartamentu widać było całą Nevadę, całą pustynię, widać było jeszcze basen, na dnie którego pływały delfiny, bo tam było jeszcze delfinarium w naszym hotelu.

Przepiękne czasy, przepiękna miłość, która się skończyła nie tak, jak powinna. Może się nie skończyła jeszcze? Może trwa, bo prawdziwa miłość nigdy nie umiera.

Wojtek, jak już wspomniałam, był hazardzistą. W Las Vegas czuł się jak ryba w wodzie. Oczywiście natychmiast oddał się swojej ulubionej rozrywce. Grał jak zwykle wysoko i ryzykownie. Szczęście mu sprzyjało. W hotelowym kasynie wygrał ogromne pieniądze, jakieś 300 czy 400 tysięcy dolarów w jedną noc. Kiedy wrócił do pokoju i położył się spać, ja, Andrzej i Agnieszka uradziliśmy, że trzeba coś zrobić, żeby tego wszystkiego nie przegrał. Wiadomo, że w kasynie nie ma wygranych, najpierw trafiasz, a potem ciebie trafiają, szczęście trwa krótką chwilę. Postanowiliśmy ratować Wojtkę. Schowaliśmy mu rzeczy, ubranie i buty. Przecież w bieliźnie i na bosaka nie pójdzie grać. Udało nam się schować też część jego pieniędzy, ale większość gdzieś zakamufłował, jak to Wojtek. Rano wstajemy, rozglądamy się, Wojtkę nie ma. Schodzimy do kasyna. Jest Wojtek. Siedzi w ręczniku i w samych skarpetkach przy stole i gra. Las Vegas to jest takie miejsce, że wystarczy mieć pieniądze i nikogo nie interesuje, jak jest się ubranym w kasynie. W trampkach tak naprawdę można wchodzić i w krótkich spodenkach. Ale bez butów to tylko Wojtek potrafił.

Z dzisiejszej perspektywy ten ślub w Las Vegas to była piękna i kolorowa bajka. Codziennosc miała różne kolory, ale najczęściej szare i przechodzące w czerń. Na początku nie uświadamiałam sobie, że nieustannie Andrzej, a przy nim ja także, ociera się o krwawe sprawy. A potem nagle odkryłam, że znajduję się w świecie, gdzie ludzie do siebie strzelają. To nie to, że się przerażam, bo strachliwa nie jestem. Po prostu skonstatowałam taki fakt i nie było mi z tym dobrze.

Jeżdżę konno. Kiedyś miałam takiego trenera, który mnie uczył skakać przez przeszkody i się zastanawiał, dlaczego ja skaczę zawsze przez te najwyższe. Jak najeżdżałam na przeszkodę, to

przez nią skakałam, nie zastanawiałam się, jaka jest wysoka. Jak człowiek zaczyna się zastanawiać, to na ogół mu się nie udaje. Ta setna sekundy, kiedy trzeba podjąć decyzję, to jest jak odruch. Zamiast kombinować, trzeba zdać się na instynkt. U boku Andrzeja nie bałam się, bo byłam na grzbiecie fali.

Powiedzieć, że po prostu kochałam Andrzeja, to za mało. Byłam w nim bezgranicznie zakochana. Wiedziałam przecież, kim on jest, ale stworzyłam sobie w głowie jego idylliczny obraz, że jest wspaniały, wielki, niezniszczalny i kuloodporny. I ja jestem taka sama. I na tej fali płynęłam, niczego się nie bałam. Prawda jest też taka, że ja o tych różnych strzelaninach tylko słyszałam, że były, ale to działo się w oddaleniu, nie dotyczyło mnie. Jak człowiek czegoś nie zna, to się tego nie boi. Prawdopodobnie gdybym ja była rzeczywiście z tego świata Słowika, Masy i zaułków Pruszkowa, tobym zdawała sobie sprawę, że może mnie coś złego spotkać. Ale ja byłam ze świata eleganckiej Saskiej Kępy, kawiarni Sułtan i moich mądrych rodziców. Tam takie rzeczy się nie zdarzały.

Kiedy przyszła pierwsza śmierć, poczułam ją jak odech złego na twarzy. Ta pierwsza śmierć zrobiła na mnie wrażenie, bo to była śmierć Jacka Dresza.

Jacek był człowiekiem, którego Andrzej bardzo szanował. Zginął dwa dni po tym, jak gościł u nas na kolacji. Myśmy wtedy z Andrzejem wynajmowali mieszkanie gdzieś na Goławiu i on przyjechał do nas, Andrzej miał szacunek dla takich prawdziwych gangsterów.

Jacek Dresz to był człowiek, który miał zasady, na przykład niestrzelania do własnych dzieci, nawet kiedy chcą cię zabić, bo przecież wiadomo, kto zabił Jacka Dresza. Jacek Dresz został zabity przez syna, Czarka Dresza. Nie zdążył wyjąć pistoletu, kiedy wychodził z windy, bo przecież nie kieruje się pistoletu do własnego syna. A został zabity za brudne pieniądze. Pieniądze były motorem tej zbrodni i tylko pieniądze.

On wiedział, jakiego ma syna - wrednego i podłego. Klócili się cały czas o te brudne pieniądze. Klócili się o pieniądze, w

których też paluszki maczali Masa i Kielbasa. To były pieniądze z jakiejś roboty wspólnej, tak to się mówiło.

Dwa dni przed śmiercią Jacek Dresz do nas przyszedł, chciał pogadać. On czuł, że coś się wydarzy, to się podobno czuje. I rozmawiał z Andrzejem, całą noc siedział. Ja potem poszłam spać, rano zrobiłam im kanapki. Jacek mówił, że spodziewa się ataku ze strony własnego syna. Mówił o Czarku, że jego na to stać. I dwa dni później było jakieś wesele i na tym weselu się dowiedzieliśmy, że Jacek został zastrzelony.

Pamiętam rozmowę z tym Czarkiem Dreszem, który pytał, jaki kupić wieniec na pogrzeb ojca. Zapytałam go, czy wie, kto zabił Jacka. Powiedział, że wie.

- Co ty z tym zrobisz? - spytałam.

- Pomszczę.

Wtedy jeszcze nie byłam pewna, że to on zastrzelił Jacka. Ja tę śmierć bardzo przeżyłam. To była pierwsza śmierć kogoś, kogo znałam tak blisko. Jacek nie umarł, ale poległ, został zabity z pistoletu, zastrzelony. No i potem, już za chwilę, prawdziwa wojna wybuchła. Potem już się strzelali wszyscy i za wszystko.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Do tej pory nie przerywałem, ale w tym miejscu muszę. Czy jesteś pewna, że to Cezary Dresz zastrzelił własnego ojca?

Tak, wiem to na pewno.

Ale nigdy mu zarzutów nie postawiono.

Policja też wiedziała, ale nie mieli dowodów. Potem pewnie by go dopadli, bo dowody by się w końcu znalazły, ale nie zdążyli. Potem za chwilę i on już nie żył.

Za chwilę?

Po niecałym roku Czarek Dresz został zastrzelony. Ktoś

wymierzył mu sprawiedliwość.

Kto?

Ktoś, nieważne kto. Przyjmijmy, że nie wiadomo kto.

To była zemsta za śmierć jego ojca?

Nie tylko. To była też zemsta za inne rzeczy.

Za co?

Proszę o inne pytanie.

Dużo wiesz na ten temat.

Nie jestem pewna, czy tak dużo. Ale wiem wystarczająco, tak powiem.

Nie boisz się tej wiedzy?

Nie, bo ją ze sobą do grobu zabiorę.

Jest zbrodnia, powinna być i kara, ale myślę, że kara nie z ręki drugiego człowieka, z ręki Boga czy przeznaczenia tak, ale nie z ręki drugiego człowieka. Nie wiem, czybym potrafiła kogoś zabić. Albo inaczej - wiem, że bym zabiła w obronie własnego dziecka, w obronie koniecznej, ale nie w imię takich podłych, brudnych pieniędzy, nigdy.

Całe zło bierze się z chęci posiadania pieniędzy. I żeby było ich coraz więcej. Brudnych, obrzydliwych pieniędzy, które cię tak oblepiają, że bez nich nie możesz żyć, i potem dla tych pieniędzy się zdradza, sprzedaje albo morduje kolegów. Te same brudne pieniądze, w imię których zginął Jacek Dresz, potem

spowodowały śmierć Wojtka Kielbasy.

Wojtek uważał, że te pieniądze powinny być w jakiś sposób podzielone. Masa był kompletnie innego zdania, jak zwykle. To już były takie czasy, kiedy Masie zaczynał się tak trochę podnosić łąpek do góry, bo ta chęć posiadania była już wszystko inne. Bez żadnych skrupułów szedł do przodu.

Jeśli spytasz, czy wiem, kto zabił Wojtkę, to odpowiem, że takie pytania czasami lepiej zostawić bez odpowiedzi. Czy wiem? Słyszałam, ale pewności nie mam. Wojtek był lojalny i, co może nie pasuje do charakterystyki gangstera, na swój sposób uczciwy. Wszyscy mówili o tym, dlaczego zginął i kto wydał na niego wyrok, ale jakoś nie było chętnych, żeby go pomścić. Najwięcej wie na ten temat Jarek Masa, ale on nigdy nie powie prawdy. Prawda w tej sprawie nie jest w jego interesie, tak to nazwijmy.

Zabójców było dwóch, strzelali z krótkiej i z długiej broni. To wykonawcy. Zleceniodawca pozostał w cieniu. Mam nadzieję, że sumienie go gryzie, chociaż jak go znam, to w jego sumienie nie wierzę.

W tym czasie Masa i Kielbasa już byli wrogami, chociaż Wojtek, ja mam takie wrażenie, nigdy nie potrafiłby wygenerować takiej nienawiści z powodu pieniędzy do Masy, jak Masa do Wojtka. To byli kompletnie inni ludzie. I Wojtek zawsze go traktował jak brata, myślę, że mu dużo wybaczał, on by mu nigdy nie dał krzywdy zrobić. Jezus Maria, Masa był inny, od takich ludzi zawsze przychodzi to zło najgorsze, właśnie takich ludzi powinno się obawiać - nienawistnych i pazernych. Takich ludzi powinno się obawiać.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Pamiętasz ten poranek, kiedy Wojtek został zastrzelony w Pruszkowie?

Dowiedziałam się później. On wyjechał, jak zwykle o tej samej porze, po bułki do piekarni. Potem te bułki leżały przy nim w

takiej reklamówce. Ja tam nie byłam, pamiętam to zdjęcie w gazetach, jak on tak leży. Zdjęcie było zrobione jakby z drugiej strony samochodu, było bardzo drastyczne i sugestywne. Jak zobaczyłam tę fotografię, byłam w szoku. To mi uświadomiło, w jakim świecie żyję i wśród jakich ludzi.

Podobno Wojtek był wtedy z psem?

Tak, on zawsze z nim jeździł. Bulterier, taki białutki. Potem Masa miał takiego samego, z jednej rodziny te psy pochodziły.

A co z tym psem się stało?

Z tego, co wiem, zastrzelili go policjanci. Wojtek go od małego wychowywał, był taki wierny, wszędzie z nim jeździł, ale pies nie był agresywny. Agresywnie wyglądał, był biały, brzydki, mordę miał taką jak te psy zwane bandytami na czterech łapach.

Na miejscu zjawiała się mama Wojtka, ale policjanci nie pozwolili jej podejść.

Matka strasznie to przeżyła. Była kompletnie z innego rozdania, o połowie rzeczy Wojtek jej nie mówił. Ona naprawdę nie wiedziała do końca, czym syn się zajmuje. Dla niej to był szok totalny. Wojtek się bez ojca wychowywał, ale matka była bardzo emocjonalnie z tym dzieckiem związana. Był przecież jedynakiem. I taka niespodziewana śmierć.

Śmierć, która go dopadła pod piekarnią.

Myszę, że Wojtek jakby coś przeczuwał. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy u niego, to on tak cały czas z bronią chodził, jakby się bał czegoś. Podobno to się czuje, kiedy śmierć nadchodzi.

Zginął przez nielojalność i przez zdradę?

Przez pazerność. Wszyscy giną przez pieniądze, a jeszcze nikt nie padł przez to, że kogoś zdradził. Myślę o świadkach koronnych.

Może są dobrze chronieni?

Nie, nigdy nie aż tak dobrze, żeby nie można było tego zrobić. Kiedyś padali ludzie właśnie za to, że byli nie w porządku do siebie nawzajem, coś zrobili nie tak. A potem już tylko za pieniądze. Brzydki, brudny świat. Coraz brudniejszy, coraz bardziej okrutny, przeraża mnie to, że ja w tym świecie tkwiłam.

Śmierci Wojtka Kiełbasy i Jacka Dresza bardzo mną wstrząsnęły. Potem było coraz więcej ofiar, a ja się z tym stanem rzeczy powoli oswajałam.

Wcześniej zginęli Lulek, Słoń i Szarak, ale ich nie znałam, więc jakiejś wielkiej straty nie odczuwałam. Bardzo przeżywałam śmierć Balbina. On był postrzegany jako człowiek Oczki, tego Marka ze Szczecina. Niektórzy mieli do niego pretensje, że związał się z Oczkiem. On się nawet wyniósł w tamte rejony i tu już go nie traktowano jako swojego, były pretensje, że pracuje z Markiem, a przestał pracować tutaj.

Położyli go w Aninie przed sklepem, brzydko strzelając mu w plecy, nie patrząc mu w oczy. On tam przyjeżdżał, zawoził dzieci do szkoły, był bardzo dobrym ojcem i dobrym mężem. W tym sklepie robił zakupy i ta powtarzalność go zgubiła. To było bardzo podłe. Chorował na parkinsona, ledwo chodził. To świadczyło o tym, że nie ma zasad, już wtedy ich nie było. Nie można strzelać do człowieka, który się trzęsie i który stoi nad grobem. Jak już się z kimś bijesz, to bij się z równym sobie, a nie ze słabszym, to jest moja zasada. Ci, którzy to zrobili, to na pewno się będą smażyli podwójnie w piekle. Bo ja pamiętam, widziałam Zbyszka Balbina może miesiąc przed jego śmiercią i

był w strasznym stanie. Miał parkinsona, miał demencję, był na lekach. To był człowiek po 25 latach więzienia. On nie powinien taką śmiercią zginąć, on powinien umrzeć w łóżku.

Pamiętam też zamach na Janka Parasola, jego ostrzelano w Pruszkowie. Janek to duży człowiek z wielką masą mięśniową, więc to wszystko przeszło przez niego jak przez sito. Sprawca podobno jechał na rowerze i to wyglądało komicznie, ponieważ Janek zaczął biec za tym rowerem, mimo że tamten się ostrzeliwał. Jak zobaczył, że Janek ranny, ale go goni, przestraszył się i uciekł. Po prostu spieprzył robotę. A Janka znajomy taksówkarz zawiózł do szpitala, gdzie go pozszywali.

Poza wymienionymi po stronie pruszkowskiej to tak naprawdę nie poległ nikt więcej z tych ważniejszych chłopców z ferajny. Owszem, umierali, ale z przyczyn naturalnych, z powodu chorób, głównie na raka. Tak umarli Czesiek Borowski, pseudonim Dzikus, i Rysiek Pawlik, pseudonim Krzyś. Na tak zwaną ołowicę, czyli od kuli albo w wyniku wybuchu bomby, ginęli przede wszystkim ludzie od strony wołomińskiej. Ceber, pięciu ludzi w restauracji Gama, w tym Lutek i Klepak. Potem syn Klepaka. Brat Heńka Niewiadomskiego, Wiesiek Wariat. Długo by wymieniać. Tak naprawdę to tak zwani wołomińscy wytracali się głównie sami. Podkładali sobie bomby, porywali się albo strzelali z za węgła.

Zanim doszło do wojny domowej, „Pruszków” doskonale sobie radził w interesach. Ogromne pieniądze chłopaki zarabiali na spirytusie, jak to się mówi, wspólnie i w porozumieniu z Dziadem. Wszystko się przewróciło, kiedy z Niemiec wrócił brat Dziada, czyli Wiesiek Wariat. Chciał, kolokwialnie mówiąc, wjechać do Warszawy i tutaj rządzić po swojemu. Ale tego nie chciał mój Andrzejek. Nie lubił Wariata, to trzeba szczerze powiedzieć. Dlatego Wariat wydał wyrok śmierci na Andrzeja. Zamówił chłopców z Gdańska, żeby zlikwidowali Słowika. Podłożyli bombę przed naszym blokiem na Żoliborzu. W

wybuchu mało brakowało, a zginąłby Andrzej, i ja także.

Nikt nie chciał przyjąć zlecenia na Słowika, więc Wariat skrzyknął amatorów. Podłożyli cztery i pół kilograma trotylu, ale bombę źle skonstruowali, na szybko, byle jak. Ale i tak narobili szkód. Właśnie wtedy dotarło do mnie, że też jestem celem w tej wymianie ognia.

Mieszkaliśmy wtedy na Żoliborzu, na Broniewskiego. Mieliśmy własne mieszkanie na pierwszym piętrze. Następnego dnia wypadały andrzejki, szykowaliśmy się do imieninowej kolacji. Wracaliśmy z zakupów.

Te bloki na Broniewskiego mają dwa wejścia, my czasami wchodziliśmy od strony parkingu, a czasami od frontu, w zależności, czy przyjechaliśmy samochodem czy nie. I wtedy podjechaliśmy pod to drugie wejście, ponieważ mieliśmy zakupy. Ta ekipa z Gdańska na nasz widok ukryła się w rowach. Wymieniano akurat rury ciepłownicze i wszędzie wykopano rowy. Kątem oka widziałam wystające głowy, ale pomyślałam, że dzieci się bawią. I oni odpalili swoje bomby z daleka, myśleli, że my jesteśmy bliżej.

Bomby były zakopane w trzech miejscach, pół metra pod ziemią. Nieporadnie to zrobili. Oni wiedzieli, którędy przeważnie wracamy do domu. Ale ja, to taki siódmy zmysł, chyba kobieca intuicja, ja ich wcześniej widziałam. Potem mówiłam Andrzejowi, że widziałam takich dziwnych ludzi idących i patrzących się w ziemię. Przez chwilę spojrzeli mi w oczy z takim wzrokiem chłopców, którzy idą na robotę. To widać, ja to widzę, umiem to zobaczyć, jak ktoś idzie, kolokwialnie mówiąc, do czarnej roboty. To widać, po co on idzie - zabić czy ukraść. Oni właśnie szli po coś. Wytrzymałam ich wzrok, bo nie wiedziałam, że oni idą po mnie wtedy. Potem zrozumiałam, że idą w sprawie naszej, po nas idą.

Tam oprócz trotylu były powkładane śruby, nakrętki, igły, gwoździe. Wszystko, co może się wbić w człowieka i uszkodzić go. Jak to wybuchło, to w tych ośmiopiętrowych budynkach z okien wyleciały szyby. Dużo szkła poleciało na mnie. Gdyby

Andrzej nie przykrył mnie sobą, pewnie nieźle bym oberwała, może już by mnie nie było. Upadłam i usłyszałam potworny wybuch, rozdzwoniło mi się w uszach, włączyły się alarmy we wszystkich samochodach. I tylko błagałam Boga, żeby się nic we mnie nie wbiło. Część twarzy Andrzeja była taka, jakby ktoś ją makiem posypał, czarna, jakby zwęglona, ja miałam opiłki tej bomby, tych szpilek, nakrętek, w sobie, w pupie, w plecach, miałam pęknięte dwa bębny w uszach potwornie. Mam do tej pory problem, czasem zbyt głośno mówię, bo słabo słyszę.

Miałam wtedy na sobie czarny płaszcz. Jak potem go odbierałam z policji, to wyglądał jak mundur w Muzeum Wojska Polskiego. Miałam takie skojarzenie, bo podobnie jak mundury z wojny, był pocięty odłamkami od bomby i szkłem.

Kiedy szkło i odłamki opadły i zrobiło się ciszej, Andrzej wstał i krzyknął:

- Uciekaj, Moni!

A ja krzyknęłam:

- Nie!

I zaczęliśmy się kłócić, on mówi: Uciekaj, ja mówię: Nie! Trochę to było humorystyczne. Wtedy wszyscy panowie pruszkowscy chodzili podpięci, to znaczy chodzili z bronią przy sobie. Andrzej miał ją zawsze z tyłu za dżinsami i, pamiętam, takie dżinsy miał, w których lubił chodzić, bo najlepiej się broń tam układała. Te dżinsy z tyłu miały od lufy taki wytarty fragment na pupie. Wyciągnął giwerę i mówi:

- Frajery, dlaczego nie podejdziecie blisko! Chcieliście mnie zabić? Zobacz, Moni, chcieli mnie zabić!

Zaczął się śmiać. A ja chyba zemdlałam, bo nie pamiętam, co było dalej. Później się dowiedziałam, że zanim zdążyła przyjechać karetka, pojechaliśmy taksówką do szpitala. Tam nas opatrzone, powyciągano z nas szkło i kawałki metalu. Potem w gazetach czytałam, że wybuch był taki, że jakiś pan z drugiego piętra wyskoczył nago, bo akurat się kąpał, na klatkę schodową, zaczął uciekać, bo nie wiedział, co się dzieje.

Powodem tego wybuchu było to, że Wariat nienawidził

Andrzeja, który się sprzeciwiał, żeby jakiś, jak mówił, frajerzyna spod Warszawy, który węgiel pomagał bratu wozić, żeby on sobie przyjechał do Warszawy i próbował rządzić. Andrzej mawiał, że miejsce gołębiarza jest w gołębniku, a nie tutaj gdzieś na salonach. A wszyscy doskonale wiedzieli, że wtedy dla Andrzeja pieniądze nie były największą wartością, liczyły się zasady, a Wariat nie uznawał żadnych zasad. Po tym wszystkim Dziad też przestał się kolegować z Andrzejem. A już zupełnie go znienawidził po śmierci Wariata. Kiedy wpadli policjanci, żeby go poinformować, że jego brat zginął, to zaczął krzyczeć, żeby jechać do Słowika, bo to na pewno on zlecił.

Pierwszy raz zobaczyłam, jak można zginąć. To było tak, jakbym zobaczyła śmierć tuż obok siebie. Takich rzeczy się nie zapomina.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Czy kiedy doszło do tej wojny gangów, porywano i strzelano tylko do mężczyzn?

Skrzywdzono też jedną kobietę. Mnie. Wszyscy wiedzieli, że Andrzej mnie bardzo kocha. Jak w tej piosence Grzesiuka, „dla ciebie pragnę żyć, dla ciebie też kraść”. No, powiedzmy, że kradł dla mnie. Dlatego zostałam porwana, żeby on to odebrał jako karę.

Porwana za młodu? Przepraszam, tak mi się powiedziało, niestosowny żarcik.

To nie było śmieszne. Do dzisiaj pozostała we mnie trauma z tamtego czasu. Porwano mnie w biały dzień z ulicy. Wychodziłam z domu. I nagle zrobiło mi się ciemno przed oczyma i straciłam świadomość. Może użyto chloroformu albo innego usypiacza. Obudziłam się w jakiejś piwnicy, gdzie panował dokuczliwy ziąb. Widziałam tylko ciemność i czułam smród. Oprócz kapania wody panowała potworna cisza. Ręce miałam przykute kajdankami nad głową do czegoś, co mogło

być kaloryferem. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, kto mi to zrobił i dlaczego. Bałam się o życie i ze strachu się posusiałam. Oczywiście pod siebie. Potem były utraty świadomości i powroty do tej zimnej i mokrej piwnicy, ale to krótko trwało, znów mdlałam.

Ile czasu spędziłaś w tej ciemnicy?

Trzy dni.

Dostawałaś jedzenie?

Tylko picie.

Kto ci wodę przynosił?

Nie wiem. Wchodził, było ciemno, na głowie miałam coś założone.

Do ubikacji cię prowadzono?

Nie, sikałam pod siebie. Na szczęście tylko sikałam, bo nic nie jadłam, tylko piłam.

Jaki był powód porwania?

Pieniądze. Porwano mnie dla okupu i dla pogrożenia Andrzejowi. Bo wtedy Andrzej się już buntował, to był początek wojny z „Wołominem”.

Kto za tym stał?

„Wołomin”.

Ale kto konkretnie?

Przecież wiesz, że to byli ludzie Wariata, brata Dziada.

Ktoś poniósł karę?

Poniósł. Ale nie chcę o szczegółach mówić, bo ich nie znam. Została poniesiona kara, ja nie wiem, kto to był i jaka kara. Kto ją wymierzył, też nie wiem.

To, co zostało w twoich wspomnieniach z tego makabrycznego zdarzenia, to przede wszystkim strach, upokorzenie, bezradność?

To też, ale przede wszystkim niebieskie oczy Andrzeja i jego woda kolońska. I jego ciepłe ramiona. Nagle ktoś mnie objął, poczułam wodę kolońską marki Polo Lauren i byłam wolna. Andrzej mnie znalazł, przyjechał po mnie i przywiózł do domu. On do dzisiaj chyba używa tej samej wody Polo Ralpha Laurena, bardzo dobra woda. W zielonej butelce ze złotym, okrągłym korkiem i na tle tej butelkowej zieleni złoty gracz na koniu grający w polo, stąd nazwa Polo. Uwielbiam ten zapach.

ROZDZIAŁ 4

O chłopcach z ferajny, ciernistej koronie i czarnych łabędziach

Skoro pytasz, Piotrze, czy miałam poczucie władzy, czy byłam kimś w rodzaju królowej tego świata przestępczego, to powiem, że nigdy nie uważałam siebie za królową mafii. Ktoś kiedyś tak mnie nazwał, bo twierdził, że miałam autorytet i szacunek jak królowa. Słynny Jarosław Sokołowski, oby żył wiecznie, pseudonim Masa, w jednej z książek mianował mnie bodajże Carycą Mafii. On sam nosi na głowie koronę, chociaż ciernistą - przyjął rolę świadka koronnego. Jeżeli ja bym miała wybierać z tych dwóch koron, oczywiście wolę koronę królowej mafii niż świadka koronnego.

Mogłam być świadkiem koronnym, mogłam kupić sobie wolność, a w zamian zdradzić wszystkich wokół. Tak jak Masa, tak jak Sproket, przez którego trafiłam za kraty. Tak na marginesie to właśnie Sproket, kiedy wymawiał imię swojego szefa i mentora, Masy, zawsze dodawał: oby żył wiecznie. Mogłam zostać świadkiem, ale nie skorzystałam. Wiem, że wiele osób obawiało się, że zdradzę. Nie zrobiłam tego, bo zdradę trzeba mieć w genach, a moje geny wyznają inne wartości.

Korona królowej mafii kojarzy się z władzą, a ja tej władzy nigdy nie miałam. Ale postrzegano mnie jako inną i kreatywną, wносиłam jakiś świeży powiew. Kiedy byłam młodsza, to wszędzie mnie było pełno, stawiałam sobie wyzwania, nie miałam żadnych barier w pokonywaniu problemów. Wszyscy się śmiali, że jak czegoś nie można, tam trzeba Monikę posłać, wiadomo, że zakręci, poobraca i załatwi jak trzeba. Począwszy

od załatwiania wycieczek i wyjazdów, biletów samolotowych, a skończywszy na biletach do teatru i wyborze sztuki. Można powiedzieć, że byłam dla nich kimś w rodzaju instruktora kulturalno- oświatowego. W tej dziedzinie miałam posłuch. Ale nimi nie rządziłam.

Świadek koronny Masa, oby żył wiecznie, w jakimś wywiadzie stwierdził, że to śmiesznie by wyglądało i absurdalnie, gdyby taka kobieta jak ja rządziła takimi facetami jak oni. Kobiетка bardziej, 158 cm wzrostu, a oni to oficerowie przedstawiani przez media jako pułkownicy albo generałowie mafii. Nie było możliwości, żeby stawali przede mną na bacność, ale uznawali, że mam silną osobowość, i jakoś tak po swojemu liczyli się ze mną. Wiedzieli, że ich przyjaciel Słowik traktuje mnie jak silną partnerkę, a nie żonę idącą zawsze pół kroku z tyłu. Skoro on się liczy ze mną, to znaczy, że trzeba się ze mną liczyć.

Tak naprawdę, jakkolwiek by to zabrzmiało, byłam jedynie księżniczką swojego króla. Słowik jako mój król dawał mi aprobatę i środki na życie. Miałam jego pieniądze, a swoją fantazję i swoje umiejętności korzystania z marzeń. Dzięki niemu mogłam te marzenia realizować. Andrzej miał niefrasobliwą lekkość bytu i umiejętność wydawania pieniędzy. On nawet ostatnie sto dolarów, bo zdarzały się takie czasy, że nie zawsze było bardzo bogato, potrafił wydać wdzięcznie i pięknie.

Byliśmy w Hiszpanii na wczasach. Nadeszły moje urodziny, a mieliśmy wtedy bardzo skromny budżet. Andrzej zaprosił mnie na paellę i była to bardzo romantyczna kolacja gdzieś na hiszpańskim wybrzeżu. Paella jest takim daniem dla ludzi ubogich. To jest ryż i w ten ryż wrzucone są wszystkie owoce morza i papryka. Można powiedzieć, hiszpański bigos. Z najtańszych składników, bo owoce morza w Hiszpanii są tanie. Powiem szczerze, wspominam tę kolację z większym rozrzewnieniem niż inną, podczas której Słowik zamówił stół pod wodospadem, a kelnerzy w ukłonach wnosili homara pod beszamelem z trufkami.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Gdzie był ten wodospad?

Na jednej z wysp karaibskich, w hotelu Hilton chyba.

Kolacja pod wodospadem musiała kosztować z tysiąc dolarów?

A nie pamiętam. Kobieta nie pyta, ile jej mężczyzna płaci w dobrych restauracjach.

Ale sto dolarów kobieta zapamiętała.

Sto dolarów kobieta zapamiętała. Byliśmy wtedy sami, jedliśmy tę paellę, piliśmy tanie wino Rioja. I pamiętam, że kiedy wyszliśmy z plaży przez ogród pełen przepięknych kwiatów, kolorystycznie cudownie to wszystko z miłością i romantyzmem współgrało. Andrzej zerwał taki czerwony kwiat z tego drzewa, włożył mi za ucho i powiedział: „Kocham cię bardzo do końca świata”. I dlatego tak pamiętam tę kolację za sto dolarów. On był jak chłopiec, ja byłam jak dziewczynka i miało się wrażenie, że to będzie trwało wiecznie i do końca życia naprawdę.

Wolałaś wyjazdy sam na sam z Andrzejem czy wesołe z całą grupą jego przyjaciół?

Wolałam sam na sam, bo Andrzej był inny, kiedy byliśmy tylko my. A kiedy wokół byli jego koledzy, zachowywał się inaczej.

Na czym ta różnica polegała?

Mężczyźni mają to do siebie, że w towarzystwie swoich kobiet bywają fajnymi, ciepłymi chłopczykami, takimi do przytulenia, a jak się pojawia jakiś kolega na horyzoncie, to każdy chce być macho, każdy chce udowodniać, że jest samcem alfa, a kobieta koło niego to tylko drobny dodatek, on jest panem, władcą i

dobrodziejstwem całego jej świata. Więc kiedy były te wyjazdy takie ze mną tylko, to wtedy on był kompletnie inny, to był taki mój Andrzej, jakiego chciałam mieć, w którym się zakochałam.

Romantyczny, wrażliwy?

Romantyczny, wrażliwy, ciepły, dobry, opiekuńczy.

A jaki był, kiedy pojawiali się wokół kumple?

Stawał się zimny, nie chciał pokazywać uczuć.

Bywał brutalny?

Nie, z tą brutalnością to nie przesadzajmy, on mnie nie lał tak, jak niektórzy lali swoje żony. Ja nie musiałam zakładać okularów przeciwsłonecznych i chodzić tygodniami po Warszawie w okularach. On mnie nie dotykał, palcem nie dotknął. O, skłamałabym. Kiedyś zlał mnie paskiem po pupie. Przełożył mnie przez kolano i lał mnie po tyłku. Ale zasłużyłam.

Co zrobiłaś?

Zasłużyłam, zatańczyłam o jeden taniec więcej, niż powinnam, z kimś, z kim nie powinnam tańczyć. To było w Sopocie, w Grandzie. Tak mnie zlał, że potem nie mogłam siedzieć. Kiedy wracaliśmy do Warszawy samochodem, to miałam trzy poduszki pod tyłkiem, bo nie mogłam siedzieć. Zlał mnie po prostu, powiedział, że będę teraz pamiętała, ile razy mogę tańczyć. Sens jego przekazu był taki, że w ogóle mam z nikim nie tańczyć, bo jestem tylko jego.

Przyjęłaś to jako przyjazny gest zakochanego mężczyzny?

No przecież nie zlał mnie do krwi, tylko symbolicznie.

Ale nie mogłaś siedzieć.

No, nie mogłam, bo mocno bił. Ale nie szarpał, nie walił na odlew, nie katował.

Przeprosił chociaż?

Tak, na swój sposób przeprosił. Potem miałam chyba z dwa tygodnie raj. Dostawałam wszystko, co chciałam, bo on czuł, że to, co zrobił, było niewspółmierne do tego, co ja zrobiłam. Ale formalnie nie przeprosił, bo Andrzej rzadko kiedy mówi przepaszam. Ale dawał do zrozumienia, że czuje, iż źle zrobił. Miewał poczucie winy, ale wyrażał je w inny sposób, bo według niego przeprosiny to przyznanie się do błędu i świadczą o słabym charakterze.

A ty przepraszasz, kiedy zawinisz?

Tak, bo według mnie przyznanie się do błędu świadczy, że się ma charakter i że się ma pokorę. Andrzej tej pokory nie miał nigdy i myślę, że nigdy jej nie będzie miał. Te trzynaście lat, jakie spędził w więzieniu, chyba jeszcze gorzej mu zrobiło pod tym względem. Niczego nie rozumiał, niczego się nie nauczył. Zresztą wiadomo, że więzienie z każdego robi gorszego człowieka, na pewno nie lepszego.

Nie wychowuje?

Absolutnie nie. Powiem na swoim przykładzie, po dwuipół-letnim pobycie w areszcie śledczym - żeby przeżyć więzienie, to wszystkie ludzkie cechy, wszystkie pozytywne emocje trzeba wyrzucić, brzydko mówiąc, do kibla i spuścić z wodą. I potem po wyjściu na wolność, tak jak to robię teraz ja, powoli,

systematycznie do nich wracać i je odkurzać. Dlatego cieszę się, że cały czas umiem płakać, umiem współczuć, ale ja i tak znajduję w sobie cechy, których nie lubię. Już nie jestem tak wrażliwa, jak byłam. Jestem przerażona, bo jednak gdzieś tam zostawiłam przez te dwa i pół roku tę dziewczęcość i tę świeżość, która zawsze była we mnie.

Życie u boku Andrzeja było ekstremalne, ciekawe, szybkie, bogate. Na pewno nie monotematyczne. W ciągu jednego dnia działy się tysiące rzeczy, rano mogliśmy zjeść śniadanie na Żoliborzu, a kolację na przykład w Barcelonie. Andrzej miał tysiące pomysłów, które powodowały, że dla nas codziennie był 1 maja. Jak się ma pieniądze, to cię stać na spełnienie marzeń. Pieniądze tak naprawdę nigdy nie służyły nam do tego, żeby je gromadzić, tylko były środkiem, który pozwalał to życie ciekawie i na jakimś poziomie przeżyć.

Gdy poznałam Andrzeja, nie miał wtedy strasznych pieniędzy. Prowadził firmę, miał chyba dwa sklepy z alkoholami, takie dwudziestoczworogodzinne.

Teraz powiesz, że to nie był biznes pozwalający jeść kolację w Barcelonie. Jasne, że nie. To wiadomo, wszyscy wtedy robili coś nielegalnie, handlowali jakimś alkoholem, jakimiś papierosami. Ja gdzieś tam przypuszczałam, że może te pieniądze pochodzą z nielegalnych źródeł, ale wtedy wszyscy tak żyli. Ja wiem, zaraz powiesz, że niemoralna byłam. No, umówmy się, ja hipokryzji nienawidzę. Te pieniądze były mniej lub bardziej nielegalne, ale nie pochodziły z jakichś zabójstw, morderstw, porwań.

Pytasz, czy to akceptowałam, czy nie miałam z tym problemu, że te pieniądze są mniej lub bardziej nielegalne? Nie, nie miałam. A moja wyobraźnia nie sięgała wtedy tak daleko, aby przewidzieć, że to wcześniej czy później może się dla mnie czy Andrzeja źle skończyć. Nie miałam takiej świadomości. Jak już powiedziałam, pochodziłam z normalnego świata, więc w tym normalnym świecie nie było w ogóle pojęcia mafii, morderstw,

porwań, zabójstw. Dla mnie to było obce, więc ja nie przypuszczałam, że na to się mogę natknąć, że się z tym mogę spotkać. Słowik mi się nie jawił jako bandyta, który łamie nogi ludziom, ręce, porywa dzieci, gwałci kobiety i bije swoją żonę, bo zupa była za słona, absolutnie. Nie był taki, chociaż Masa, oby żył wiecznie, takim go przedstawiał.

Żeby oceniać i zrozumieć, nie możemy patrzeć z perspektywy dzisiejszego dnia. Nasze głowy są zabrudzone informacjami, którymi nas karmiono. Dzisiaj to dzisiaj, a wtedy były szalone lata 90. Inna była percepcja wtedy, inna jest teraz. Oczywiście za coś tam Andrzej dostał wyrok, za to, co robił, i za to, czego nie zrobił też, ale generalnie poniósł konsekwencje tych czynów i tych pieniędzy, jakoś tam broił i za to odpowiedział.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Wtedy oceniałaś, że było to tylko brojenie?

Tak. Uważałam, że to niegroźne brojenie. Bo wtedy zarabiano się na spirytusie, na przemyśle papierosów, na innych podobnie nielegalnych rzeczach, ale przecież nie napadali na banki, nie strzelali do niewinnych. Nie zabijali, nie porywali ludzi.

Zabijali. I porywali.

To nie tak. Zabijali i porywali tak zwani wołomińscy. Nasi chłopcy byli przez nich porywani. Do naszych chłopców strzelano. Trudno się dziwić, że w obronie własnej czasem chwyтали za broń. Nie można stawiać znaku równości między bandyckimi metodami a zwykłym przemysłem

Dla was przemysł to było zwykle uzupełnienie luki rynkowej?

To była nisza. Państwo tak sformułowało pewne przepisy, że umożliwiały działanie na granicy prawa. Pozwolono na przykład

na przywóz alkoholu na własne potrzeby praktycznie bez cła. No to handlowało się spirytusem na potęgę. Nastaly czasy, kiedy wiedzialam, że jak Andrzej robi jakiś interes, to zyski nie zmieszczą mu się w kieszeniach, tylko raczej w reklamówkach. Przychodził do domu i mówił: No to, Moni, gdzie jedziemy, wymyśl jakiś kierunek świata, jutro idź i kup bilety i pojedziemy kąpać się z delfinami i ponurkujemy sobie poniżej 15 metrów gdzieś w jakimś ciepłym morzu. Patrzyłam na to na zasadzie takiej, że można było wtedy zarabiać pieniądze na pewnych niszach, wchodzić w nie i je wypełniać. Takie były te słynne lata 90., kiedy pieniądze leżały na ulicach i każdy mógł się po nie schylić.

Ty też się schylałaś?

Ja byłam tylko małą dziewczynką uwikłaną w to wszystko, w tym kolorowym świecie sobie pływałam i dobrze mi było.

Jak delfin?

Tak, jak różowy delfin, bo takie istnieją, kąpałam się zresztą z nimi w Amazonce, są przepiękne i słodkie. Wszyscy wtedy schylali się po pieniądze i zarabiali. To nie było niemoralne, to było tylko na granicy prawa.

Dla osób, które tak zarobkowały, to nie było niemoralne. W świetle prawa było nielegalne. Zgodzisz się z tym?

Oczywiście, że tak.

Obracaliście brudnymi pieniędzmi. Zgodzisz się?

To nie takie proste. Uważam, że w ogóle nie ma czystych pieniędzy. Forsa generalnie jest zawsze brudna.

Wiedziałaś, czym się Andrzej zajmuje?

Wtedy wiedziałam, że robi na granicy legalności duże pieniądze. Na spirytusie, na papierosach, na takich rzeczach.

Czy uzgadniał z tobą swoje plany?

Nie, ja byłam wtedy jego narzeczoną, nie byłam jeszcze żoną. Nie musiał nic uzgadniać.

Ale kiedy już zostałaś jego żoną?

Też nie. Przecież wszyscy wiemy, że Andrzej nie lubi mówić. Mówi mało, nie jest wylewny, nie wtajemnicza nikogo, a co dopiero kobietę.

Ale przecież byłaś ciekawska?

Dopytywałam się i byłam brzydko, kolokwialnie mówiąc, zlewana. Interesuj się, jaki kolor lakieru chcesz mieć na paznokciach albo gdzie chcesz pojechać, o pieniądze nie pytaj. Taki był przekaz od Słowika. Zresztą mi się to podobało, bo lepiej wiedzieć mniej niż za dużo. On miał takie fajne powiedzenia. Mówił, że jak ma żonę, to musi zarobić na to, żeby leżała, pachniała, żeby była partnerką, a nie gospodynią. Twierdził, że na prawdziwą kobietę tylko mężczyzną prawdziwego stać. Ja mu kiedyś powiedziałam, że kiedy ma się brodę, to też musi cię stać na brzytwę. Potem to powtarzał jako swoje. Andrzej spełniał warunki takiego prawdziwego samca alfa, który uważa, że mężczyzna powinien umieć zdobyć trzy rzeczy: pieniądze, władzę i kobietę, a potem na tyle być mądry, by umieć tę zdobycz utrzymać. Andrzej potrafił utrzymać i władzę, i kobietę, i pieniądze. To silny facet.

Z wyglądu wydaje się niepozorny.

Jest niewysoki, ale tak naprawdę jest duży. To jak w tej anegdocie z Napoleonem, który chciał coś zdjąć z półki. Jego ordynans natychmiast ruszył z pomocą: wasza cesarska mość, proszę pozwolić, ja jestem większy. Na co Napoleon odpowiedział: Nie, ty jesteś tylko wyższy. Słowik jest większy od wielu wyższych mężczyzn i to dobrze, że się pojawił w moim życiu, dobrze, że mam z nim dziecko, bo dziecko moje to jest owoc miłości.

Pamiętasz Chłopców z ferajny? Oni mieli swój fajny czas. Żyli na pełnym gazie. Gdyby porównać, przy zachowaniu proporcji, też żyliśmy szybko i też ryzykownie. I jak mówiłam, kolorowo. Jakby się chciało o nas nakręcić film, to mógłby zaczynać się od sceny, jak mieszkamy w Miami na riorydzie. Wchodzimy do jakiegoś klubu i z daleka widać mnie na wysokich szpilach, opaloną, z rudymi kłakami, a za mną idzie Andrzej. Sala nabita, igły nie włożysz, ale stolik na barkach kelnerów już płynie przez salę, znajdują nam godne miejsce.

Andrzej, chociaż niewysoki, budził respekt. Jak się gdzieś pojawiał, natychmiast wszyscy na ogół cichli. O takich mówi się: silna osobowość. Budził szacunek nawet u nieznających nas kelnerów z knajpy w Miami.

Mieszkaliśmy dwa lata na Florydzie. Andrzej prowadził tam uczciwe interesy. Handlowaliśmy jachtami, handlowaliśmy samochodami. Mieszkaliśmy w Fort Lauderdale, bardzo blisko centrum Miami. Często bywaliśmy na tej słynnej ulicy Ocean Drive, zwanej też Art Deco, bo w tym stylu zachowana jest zabudowa tej słynnej drogi ciągnącej się wzdłuż oceanu. To kultowa ulica Miami, usiana lokalami, które nigdy się nie zamykają.

Mieliśmy swój ulubiony klub, który sąsiadował z domem Gianniego Versacego, tego słynnego dyktatora mody.

Widziałam go niejednokrotnie, ba, miałam nawet przyjemność pić kawę przy stoliku sąsiadującym z jego stolikiem w takiej włoskiej kafeterii. On codziennie rano wychodził z tego swojego pięknego domu, szedł ulicą Art Deco do tej kafeterii, gdzie pił codziennie rano kawę i jadł croissanta. Wszystkim się grzecznie kłaniał, do mnie też się uśmiechał i potem po wypiciu kawy i przeczytaniu porannej gazety szedł z powrotem do tego swojego pięknego domu z meduzami. Ten dom po jego śmierci wystawiono na aukcję. Ktoś go kupił wraz z planetarium i z tym przepięknym basenem, na którego dnie ułożono mozaikę z kryształów Swarovskiego, z porcelany i z masy perłowej. Przepiękny, bogaty dom.

Później na schodach tego domu Versace został zamordowany przez swojego kochanka Andrew Cunanana i przez długi okres leżały tam kwiaty, codziennie świeże róże, przepiękną kokardą udekorowane. Cunanan zastrzelił się podczas oblawy. Zginął na barce vis- à- vis hotelu Fontainebleau, widziałam tę barkę. Mówiono, że on się sam nie zastrzelił, to jego zastrzelili. Mieszkał na tej barce.

Miami jest poprzecinane kanałami, to nie jest typowa Ameryka, to jest specyficzny twór. Mieszkanina latynoska, meksykańsko-kubańska, wspaniała atmosfera nieustannej fiesty. I tam bogaci ludzie kupują sobie barki, tak jak na Sekwanie we Francji. I tam właśnie, na tej barce, zastrzelił się morderca Versacego.

Zarabialiśmy na handlu jachtami, a wieczorami bawiliśmy się, tak jak wszyscy bawią się w Miami. Pamiętam taką scenę jak z filmu. Na gitarze gra mi jakiś Brazylijczyk czy Argentyńczyk, a ja tańczę na stole. Czuję zapach cygar, oceanu, i słyszę, jak szumią palmy nad głową. Takie lepkie, ciepłe powietrze otula mnie i tańczę na stole.

Jak porównuję moje eskapady sam na sam z Andrzejem z tymi wakacjami spędzonymi z jego kolegami i ich kobietami, to nie znajduję wielu podobieństw. Oni inaczej pojmowali zabawę i

wypoczynek. Raczej monotematyczni, bez tej fantazji, która cechowała mnie i Andrzeja. Jechali do egzotycznych miejsc, żeby robić to samo, co w Warszawie, czyli głównie żeby się tam napić, najeść i poleżeć na basenie. Andrzej próbował ich rozruszać, ale z różnym skutkiem.

Pamiętam, jak obiecał całemu towarzystwu, byliśmy wtedy na Cyprze, ale w części greckiej, że zorganizuje ciekawą wycieczkę. Nie wykazali zainteresowania. Nikomu się nie chciało, wszyscy leżeli na basenie, jedli i pili. Dopiero gdy usłyszeli wołanie Andrzeja dobiegające z morza, ruszyli, jak to określił mój małżonek, tłuste tyłki.

Nasz hotel stał nad samym morzem. Andrzej na rano

Ilmówił właściciela niewielkiego stateczku, zapłacił mu z góry. Faceta nazywaliśmy Pavarotti, bo był gruby i pięknie śpiewał. Podpłynęliśmy tym stateczkiem pod hotel i całe towarzystwo wybrało się na morze. Piliśmy dobre wino, Pavarotti śpiewał i dopłynął na jakąś lagunę. Wokół przepiękne, szafirowe morze, a my pałaszowaliśmy świeżutkie ryby z grilla i piliśmy tequilę. Panowie lizali z ręki albo z biustu swoich kobiet sól do tequili, a Pavarotti wciąż śpiewał.

Pamiętam, że był z nami wtedy Leszek, zwany Wańką, z żoną, jego brat Mirek, zwany Malizną, z żoną Gosią i z córką, był też trzeci brat Leszka, zupełnie, że się tak wyrażę, spoza branży. Był Zygmunt, zwany Raźniaczkiem, z narzeczoną. Był Zbyszek z Lublina. W sumie fajna ekipa. Masy, oby żył wiecznie, z nami nie było, nie ten poziom.

Przy Andrzeju nigdy nie było nudno. Lubił zaskakiwać, tryskał pomysłami. Wiem, że czytelnik oczekuje innego portretu sławnego gangstera, za jakiego Andrzej uchodził. Powinien być brutalny, bezwzględny i zły. Po trupach do celu. Ale nic nie poradzę, że dla mnie Słowik nie był uosobieniem zła, jak opisuje go w swoich wspominkach Masa, oby żył wiecznie. Dla mnie, i tak go chcę zawsze pamiętać, był ciepłym chłopakiem, w którym byłam autentycznie zakochana. Jeżeli nawet zdarzały się złe rzeczy, to od nich uciekłam, zagubiłam w pamięci. To chyba

naturalne. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie?

Andrzej miewał szeroki gest i lubił efektowne niespodzianki. Na któreś z moich imienin kupił recital Michała Milowicza. Wyobraźcie sobie, ile miałam frajdy, kiedy znany aktor śpiewał i tańczył dla mnie. Na inną imprezę, chyba moje urodziny, zamówił Bohdana Łazukę, który śpiewał dla mnie w Czarnym Kocie w hotelu Victoria. Brał dla mnie gwiazdy i łamał stereotypy imprez ferajny, gdzie siedziało się przy kotlecie i ciepłej wódce.

Dla odmiany jeszcze jedno wspomnienie z mojej i Andrzeja wyprawy na drugą półkulę. Byliśmy sami, więc było super. Na Jamajce wynajęliśmy konie z klubu gry w polo. Dojechaliśmy do takiej fajnej, małej plaży, ja rozkulba- czytałam konie, wsiadłam na rumaka na oklep, Andrzej też, i wjechaliśmy w ocean. To niesamowite uczucie kąpać się z koniem w morzu, kiedy koń biegnie klusem tak, jakby płynął, wodę miałam na wysokości brzucha. W wodzie wiadomo, że wszystkie ruchy są spowolnione, ten koń był cudowny, biały. Ech, było, minęło.

Jamajkę wspominam jako rajski kraj. Tam właśnie zrobiliśmy sobie patent PADI, pozwalający nurkować poniżej 15 metrów głębokości. Jest taki moment, kiedy się schodzi poniżej 15 metrów, że nie ma się ochoty już potem wypłynąć. Jest tam tak cicho i tak cudownie, że się nie chce wrócić do góry.

Piękne czasy. Kochaliśmy się bardzo mocno i żyliśmy bardzo mocno. A potem za to wszystko bardzo drogo zapłaciliśmy. To tak, jakbyś nagle przeskoczył z tych wspaniałych, kolorowych filmów znad oceanów, z tego rajku na ziemi, do ekstremalnych zdarzeń, kiedy tylko włos dzieli cię od śmierci. Kiedy wybuchają bomby przed naszym domem na Żoliborzu. Albo porywają mnie i wrzucają do jakiejś piwnicy ze związanymi rękoma. Trzeba psychikę mieć taką giętą, żeby umieć znosić te ekstrema. Wchodzisz w szpilkach do hotelu, w eleganckim futrze, a potem leżysz w piwnicy i musisz sikać pod siebie. Albo spędzasz dwa i pół roku w areszcie zwanym Kamczatką. To jest trudne dla mężczyzny, a jak bardzo trudne dla kobiety? Z rajku do piekła.

Staram się wrócić teraz z tego piekła do normalności. Modłę się do Boga z wdzięcznością, że pozwolił mi bywać w ziemskim raju i uciec z ziemskiego piekła.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Zachodzę w głowę, jak się odnajdywałaś w tym środowisku chłopaków z ferajny.

No, rozerwą mnie, jak powiem. No dobrze, bawili mnie. Bawiłam się trochę tym wszystkim. A poza tym ci ludzie generalnie nie byli źli, tak powiem.

Ale chłopcy z ferajny przeważnie nie sięgają po Biblię.

Niektórzy nazywali mnie królową, bo sięgałam trochę wyżej niż oni, ale nie byli źli. Byli trudni. Mnie zawsze to pociągało, a poza tym ja uwielbiam męskie towarzystwo, nie mówię o łóżku. W łóżku normalnie, jak każda kobieta lubię czuć mężczyznę. Ale mówię o tym, że ja się dogaduję z mężczyznami. Mężczyźni są konkretni, i ci źli, i ci dobrzy. Wolę męskie towarzystwo niż kobiece. Ktoś tam powiedział, że ja nimi manipuluję. Nieprawda, ja umiem z nimi rozmawiać, to jest ogromna różnica.

Czym w tym świecie mężczyzna różni się od kobiety?

Prawdziwy jest bardziej i bardziej oczywisty.

Nie fałszuje rzeczywistości?

Tak, jest wyraźny, czytelny, prawdziwy, konkretny, nierozmazany, w krótkich słowach wyraża sens, nie bajdurzy długo i nie na temat. Wyznam, że jak gadam z kobietami, to dostaję kota. Nie umiem z babami gadać, nużą mnie, nudne są dla mnie kobiety.

Lubisz rozmawiać i mówisz smacznie. Kiedy do nich mówiłaś, słuchali?

No jasne, dlatego lubiłam z nimi rozmawiać, bo to bardziej ja mówiłam, a oni słuchali. Ja uwielbiam, nie to, że się mądrzyć, ale ludziom wyjaśniać, dzielić się wiedzą.

Jaki świat im wyjaśniałaś?

Dzielić się wiedzą lubię. Fajne to było, jak ktoś czegoś nie mógł powiedzieć po angielsku, a ja umiałam na przykład. To próżność moja ogromna, każdy człowiek jest próżny bardziej lub mniej. Lubię być pomocna, lubię przekazywać wiedzę, lubię się dzielić wszystkim, mnie to bawi, cieszy, buduje moje relacje z innymi.

Zdarzało się, że cię pytali o to, jaką książkę przeczytać, bo nagle zapragnęli chłonąć literaturę?

No jasne, że tak. I książkę doradziłam, i do teatru ich prowadziłam. Andrzej też bardzo często wyciągał wszystkich do teatru. Chodziliśmy i do teatrów, i do opery, i do operetki.

Na trzeźwo się dało?

Wyłącznie, z małymi wyjątkami. Ale nie będę wypominać.

Do operetki ubierali się w garnitury?

Ależ oczywiście, trudno, żeby w dresie, z łańcuchem na szyi i z pałką baseballową w ręku szli do przybytków kultury. To nie dzikusy. Potrafili się zachować.

A nie zasypiali?

Kiedyś tam się komuś zdarzyło, chyba nawet zaczął chrapać,

nie powiem kto.

Żeby było jasne, nie organizowaliśmy grupowych wypraw teatralnych. Chodzili ci, którzy mieli taką potrzebę. Byli ludzie, którzy lubili z nami chodzić, inni nie chodzili z zasady. Lubiliśmy chodzić na spektakle z Ryśkiem Sz., pseudonim Kajtek, i jego żoną Basią oraz z Zygmuntem R., ksywka Bolo vel Raźniaczek. Zygmunta do dzisiaj bardzo pozytywnie odbieram, myśmy się zawsze dogadywali. Zygmunt to niegłupi chłopak, odczytany jest. Lubiłam z nim rozmawiać. Zygmunt bardzo mnie wspierał w trudnych chwilach. Mówił do Andrzeja, że jest ślepakiem. Ślepaku, masz taką dziewczynę, powinieneś ją szanować. Zawsze za mną stawał murem. Często wpadał do nas na wódeczkę i nocne Polaków rozmowy.

Siedziałaś z nimi podczas męskich spotkań?

Tak, i nikomu to nie przeszkadzało. Dobrze się ze mną czuli, bo ja nie byłam nigdy rozmazana, nie marudziłam.

Zwykle padało hasło od Andrzeja: Moni, za pół godziny wpadam z chłopakami, potrzebuję, żeby były kanapki, dobry łyskacz, masz się umalować, wrzucić szpilki, masz być elegancka, miła i uśmiechnięta. Otwierały się drzwi i stała Moni, która była uśmiechnięta, czy to była druga w nocy, czy piąta rano, nigdy nie marudziła, nigdy nie krzyczała, że sprowadzasz mi, kurwa, do picia ludzi, a ja chcę spać. Byłam po prostu otwarta, chciałam żyć, lubiłam żyć, lubiłam emocje, lubiłam ludzi, lubię, jak coś się dzieje, więc byłam idealna na tamte czasy dla Andrzeja i dla nich wszystkich, nic złego się nie działo, kochaliśmy życie i żyliśmy mocno i szybko, myślę, że każdy na naszym miejscu, gdyby mógł, to by tak żył.

Każdy? Mam nadzieję, że jednak nie.

No pewnie, że nie. Rozpędziłam się trochę. To była literacka figura, tak to potraktujmy.

No właśnie, literatura. Wiem, że dużo czytasz. Twój Słowik też lubił książki?

Zdziwisz się, ale lubił. Trylogię znał prawie na pamięć. Trzech muszkieterów też. Trochę starałam się zainteresować go moją ulubioną literaturą rosyjską, podsuwałam Dostojewskiego i Tołstoja. Czytał Londona, szczególnie Martina Edena, czytał *Portret Doriana Graya*, *Stąd do wieczności*, *Cienką czerwoną linię*, *Młode lwy*. Także ja uwielbiałam taką męską literaturę. No i co? Jak to się mówi, zatkało kakao?

Nie dodajesz?

Nic a nic. Czytaliśmy po prostu, chodziliśmy też dużo do kina.

Filmy gangsterskie?

Nie tylko, ale te o mafii też. Na przykład Człowieka z blizną, oboje uznaliśmy, że to jedna z ważniejszych ról Ala Pacino po Ojcu chrestnym. A sceny z Dawno temu w Ameryce nawet skopiowaliśmy do naszego życia. Kultową rolę zagrał tam Robert De Niro jako Noodles.

Co skopiowaliście? Strzelaniny?

Romantyczny wieczór. To było na jednej z wysp karaibskich. Obchodziliśmy moje urodziny, Andrzej zamówił stolik i nie tylko jeden stolik, ale stoliki. Dlatego, że w słynnej scenie właśnie z tego filmu De Niro zamawia całą salę, ale każde nakryć stoliki tylko na dwie osoby, na każdym stoliku stoi jedna róża i on ją zaprasza, miłość swojego życia, która wyszła za mąż za jego kolegę. Nigdy nie mógł jej zdobyć, chociaż go kochała. Tam jest ta scena, kiedy on z nią tańczy, gra orkiestra tylko dla nich i potem gwałci ją w samochodzie nad oceanem.

Odegraliście scenę gwałtu?

Andrzej nigdy mnie nie zgwałcił. Odegraliśmy scenę tańca. Te stoliki stały na takich krążkach na wodzie pod wodospadem, wchodziło się przez takie małe pomościki i wokół pływały czarne łabędzie i ryby. Te wysepki, na których stały stoliki, miały takie schodki, więc te łabędzie podpływały, te ryby aż się kładły na tym, można było dotknąć, no, niewiarygodne. I tam właśnie odegraliśmy scenę z De Niro. I Andrzej nie zgwałcił mnie, tylko było mi bardzo dobrze potem z nim w łóżku, bo bardzo dobrze zawsze mi z nim było. I bardzo tego chciałam.

Było, minęło, jak sama mawiasz.

No, niestety. Ale coś zostało. Chodzi o to, żeby przeżyć to życie, nie po to, by gromadzić brylanty na palcach, futra w szafie i limuzyny w garażu, tylko żeby gromadzić wspomnienia, przeżycia, emocje, po to, żeby móc wracać do nich, karmić siebie, budować się nimi w ciężkich chwilach. Kiedy leżałam na pryczy w celi 603 pod śmierdzącym kocem, patrzyłam bez sensu w klapę bez klamki, potem zamykałam oczy i wracałam do tych miejsc, do tych chwil, do tego zapachu. To mi też pomogło przeżyć. Cena ogromna, ale prawda jest taka, że wszystko, co dobre, jest drogie.

ROZDZIAŁ 5

O żonach, kochankach, miłości i zdradzie

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że od początku pozostawałam w dobrych relacjach z kobietami pruszkowskich, jak wy to mówicie, bossów. Z Andrzejem byliśmy najmłodszym duetem w tym środowisku. O mnie wiadano niewiele poza faktem, że jestem narzeczoną Słowika. Żony gangsterów mogły mnie postrzegać jako potencjalne zagrożenie dla ich pozycji. Były ode mnie starsze, a tu pojawia się taka młoda laska znikąd. Każda nowa kobieta budziła niepokój i raczej nie była witana entuzjastycznie. Ja również.

Nie mogłam wtedy aspirować do zajęcia pozycji na ich poziomie. Narzeczoną to ktoś niepewny. Może kochanka? Te żony zdawały sobie sprawę, że w życiu ich mężów przewijały się kochanki. To taki nieoficjalny krąg, o tym się głośno nie mówiło. Kochanki były umieszczane w hotelach czy prywatnych kwaterach wynajmowanych przez chłopaków. Nigdy nie były wprowadzane na salony. Dla żon stanowiły zagrożenie, bo nie wiedziały, czy czasem ich facetom nie strzeli do głowy zastąpić na stałe starej kobiety nową. Więc ja też na początku byłam postrzegana jako zagrożenie. Ni to narzeczoną, ni to kochanką Andrzeja. Słowik, mimo że najmłodszy, był jedynym mężczyzną w tym środowisku, który nie miał kochanki. Kiedy pojawiłam się ja i Andrzej zaczął ze mną bywać, żony uznały, że jestem łączniczką kochanek, które niebawem pójdą moim śladem i wyjdą z ukrycia. W głębi ducha te żony miały mi za złe, że Andrzej mnie kocha i ja jego także.

Były zdradzane, ale udawały, że wszystko jest okej. Nie chciały

za dużo wiedzieć, żeby nie burzyć ustalonego porządku. Andrzej, przynajmniej od kiedy związał się ze mną, nie miał kochanek na boku, był wierny.

Wierność to pojęcie względne. Każda kobieta inaczej je rozumie. Dla jednej nawet spojrzenie na inną to już początek zdrady, dla drugiej jak facet skoczył w bok, to zaledwie epizod. Mnie można zaliczyć do tej drugiej grupy. Byłabym zazdrosna, gdyby Andrzej romansował z jakąś panią, spotykał się z nią potajemnie i gdyby to trwało dłużej. Jednorazowa przygoda każdemu może się zdarzyć, zarówno mężczyźnie, jak i kobiecie. Zgodzisz się, Piotrze?

Kiedyś był taki moment, jakiś życzliwy mi doniósł, że jak wyjechałam z pewnego kraju, Andrzej, który tam został, z kimś się przespał. Nie robiłam z tego dramatu, w końcu jesteśmy dorosłymi ludźmi. Uznałam, że mogło się zdarzyć, ale to nie była zdrada, to nie była kochanka, z którą się spotykał, z którą wiązał jakieś plany, nadzieje. Ten świat, w którym wtedy byłam, wymagał poświęceń. Na pewne rzeczy trzeba przymknąć oczy.

Generalnie Andrzej nie miał kochanek. Był mi wiemy. Dla wielu innych było dyshonorem nie mieć kochanki. Ilością i jakością, nazwijmy to, nałożnic mierzyli swoją wartość.

Prawdziwy mężczyzna, tak uważam, nie musi w ten sposób udowadniać, że jest ważny. Nie musiał tego robić Andrzej. Podobnie Leszek D., pseudonim Wańka. Bardzo go szanowałam, również dlatego, że świata poza swoją Zosią nie widział. Był stateczny, wyglądał nobliwie i zawsze zachowywał się rozsądnie. O Zosi też mogę powiedzieć wszystko, co najlepsze, ale ona postrzegала mnie niestety jako rywalkę. Coś sobie wymyśliła i patrzyła na mnie wilkiem. Kiedyś spotkałyśmy się w poczekalni przed salą widzeń w areszcie na Rakowieckiej i ona zaczęła na mnie krzyczeć. Była zazdrosna o Leszka i o to, że mnie gdzieś widziano w jego lowarzystwie. Chodziło o męski obiad, na którym byli Leszek i Andrzej oraz ja. Leszek generalnie lubił ładne kobiety i umiał je uszanować. Mnie po prostu szanował i lubił jako żonę swojego przyjaciela.

Niejednokrotnie kupował mi kwiaty, lubił ze mną tańczyć na imprezach i to wystarczyło, żeby Zosia widziała we mnie rywalkę.

Często bywałam razem z Andrzejem na męskich naradach i inne żony uważały, że tak być nie powinno, bo miejsce kobiety jest w domu, a nie na widoku publicznym. A co ja mogłam poradzić, że Andrzej lubił przebywać ze inną, bo kochał mnie? Wynikało to też prawdopodobnie z tego, że pewniej się czuł ze mną u boku.

Poza tym było mu wygodnie ze mną - ja prowadziłam samochód, ja wszystko załatwiałam, ja go, że tak powiem, wprowadzałam w świat dobrych win, cygar, spinek do koszul, dobrych hoteli, fajnych wyjazdów, ciekawych książek, teatru, filmu i interesujących ludzi. Żyliśmy w równoległych światach. Jednego dnia w towarzystwie mafiosów w dresach i ze złotem na szyi, drugiego widziano nas elegancko ubranych w teatrze, na jakimś pokazie, na jakiejś wystawie, na jakiejś aukcji obrazów. Andrzeja to fascynowało, bo on gdzieś tam w środku swojej duszy miał taką nutę, że go ciągnęło do ładnych rzeczy.

Gdzieś tam mu w duszy grało, żeby wdrapywać się wyżej i żyć lepiej. Nie chodzi o blichtr, ale duchowe przeżycia. On chciał się wybić z tego swojego małego Stargardu Szczecińskiego. Zawsze imponowały mu kobiety, które są silne, ciekawe, niezależne. Na marginesie mówiąc, teraz właśnie jest z taką panią, podobno silną i niezależną. Zawsze lubił otaczać się rzeczami ładnymi i ładnymi kobietami.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Trochę balansowałaś między żonami a kochankami panów z miasta.

Kiedy byłam jeszcze nie żoną, ale już partnerką Andrzeja, często zabierał mnie na imprezy, gdzie nie było żon, a były właśnie panie do towarzystwa albo kochanki jego kolegów. Więc uczestniczyłam w imprezach z kochankami na przykład z piątku na sobotę, a w niedzielę szłam na wspólny obiad z żonami.

Można było wpaść w jakąś schizofrenię, jak się widziało z dnia na dzień zmianę ról tych facetów. Tu prężące się samce alfa, a następnego dnia potulni małżonkowie.

A żony tolerowały drugie życie swoich facetów?

Czasem nie wytrzymały napięcia i reagowały.

Kiedyś doszło do zabawnego w gruncie rzeczy zdarzenia. Jedną z tych żon, którą bardzo potem polubiłam i szanowałam, była Basia, żona Ryśka Sz., pseudonim Kajtek. Mogłam z nią godzinami rozmawiać, taka sensowna, mądra kobieta, która bardzo Ryśka kochała. Kobieta jego życia. Mają córkę, poukładany dom. No i była taka sytuacja, kiedy poznałam Basię. Byłam wtedy początkującą narzeczoną, niewprowadzoną w ten świat jeszcze. I poszłam z Andrzejem na imprezę do Sofii, to był bodajże pierwszy klub w Warszawie z tańcami go-go na rurach. Po jednej stronie był go-go, a po drugiej tradycyjny dancing. Siedzieliśmy przy długim stole, ja z Andrzejem, znaczy Andrzej ze mną, no i panowie ze swoimi koleżankami, czyli kochankami. I tam był też Rysiu Kajtek.

Rysiu z koleżanką czy z żoną?

Nie, Rysiu był z koleżanką.

Czyli ciebie też postrzegali jako koleżankę, a nie przyszłą żonę?

To był jeszcze ten moment, kiedy łączyłam te dwa światy. Potem też łączyłam, ale już mniej, bo chciałam być lojalna w stosunku do tych żon. Wolałam tych pań- koleżanek nie widywać, żeby móc spojrzeć żonom w oczy i kiedy zapytają, odpowiedzieć, że nie wiem, czy ich faceci mają kochanki czy też nie.

I jak doszło do poznania się z Basią, małżonką Rysia, w klubie go- go?

Zabawa w najlepsze, a nagle wpada Basia, wymachuje parasolką i krzyczy na Ryśka, że zaraz mu przywali. I takie różne fajne epitety leciały. Rysiek zaczął uciekać wokół stołu, Baśka za nim. Komedialnie. Miała też pretensje również do mnie, bo zostałam potraktowana jako jedna z tych pań- koleżanek.

A koleżanka Ryśka co zrobiła?

Koleżanka Rysia? No, czym prędzej uciekła gdzie pieprz rośnie, bo w powietrzu latały jakieś popielniczki i parasolki. Zrobiło się niebezpiecznie, tym bardziej że za chwilę wpadła chyba też Gosia, żona Mirka D., pseudonim Malizna.

Zmówiły się?

Tak, skądś się dowiedziały i postanowiły ostro zareagować. Zresztą w mieście trudno było takie rzeczy ukryć, a one miały własny system powiadomień. Jedna się jakoś dowiedziała i dawać dzwonić po pozostałych, ostrzegać. Kiedy już zostałam żoną Słowika, to mnie też wpisały w system. Telefonowały: Słuchaj, nie wiesz, gdzie jest Andrzej? Andrzej jest tu, leży ze mną w łóżku. A nie wiesz, gdzie jest Mirek albo Rysiek? Ja mówię, że pewnie siedzą gdzieś, interesy załatwiają. No, starałam się zawsze jakoś z tej sytuacji wybrnąć, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Nie demaskowałaś chłopaków?

No nie, skąd. Nigdy nie uznawałam lojalności jawników, że tak się wyrażę. Dlatego panowie uznali, że ze mną można konie kraść. Wtajemniczyli mnie w coś, co nazywali akcją Granica. Trzymali garnitury i eleganckie buty w naszym mieszkaniu.

Przychodzili w dresach i adidasach, przebierali się w garnitury i lakierki i jechali na imprezy z panienkami. Ich ubrania były oznaczone fiszkami z ich ksywkami, żeby wiedzieli, do kogo garnitur i buty należą.

Gdzie mieszkaliście wtedy?

To były początki naszej znajomości, więc wynajmowaliśmy mieszkanie. Andrzej, kiedy odszedł od swojej partnerki Ani, miała pseudonim Bela, zostawił jej mieszkanie, bardzo elegancko się zachował, i coś musieliśmy dla siebie wynająć. Mieszkanie nie za wielkie, ale wystarczyło metrażu na przechowanie ciuchów kolegów Słowika. Pojemne szafy mieliśmy.

Musieli cię uważać za wyjątkowo tolerancyjną osobę?

Wszyscy wiedzieli, że Moni to jest taka żona, że kiedy Andrzejek przyjedzie rano z kolegami, to ona wstanie, zrobi kanapki i ugotuje dobrego rosółu, żeby panom lepiej kac przeszedł. Nigdy nie napadałam telefonami na Andrzeja, jak gdzieś zabradziażył, nie robiłam awantur, gdy wracał nad ranem. Jakoś generalnie, w środku, rozumiałam ten męski świat, dlatego że był mi bliższy niż świat kobiet. Rozumiałam, że można pić i nie uprawiać seksu, bo trzeba rozmawiać o interesach. Niestety większość kobiet reaguje klasycznie, bo tak jest ukształtowana. Tysiące pytań, a gdzie, a kto, a co. Faceci dociskani kręcą, a one już widzą oczami wyobraźni łóżko i swojego mężczyznę uprawiającego seks z inną, piękną, oczywiście młodszą od siebie kobietą.

Ty nie dopytywałaś, nie zmuszałaś Andrzeja do kręcenia?

Trzeba było równowagę w tym wszystkim jakoś utrzymać. Ja to potrafiłam robić, stąd był szacunek i sympatia chłopców do

mnie. Podawali mnie swoim połowicom za przykład, jak się kobieta powinna zachowywać. Musiały dostawać na mnie alergii, kiedy bez przerwy słyszały: Gdybyś była taka jak Monika, gdybyś umiała tak jak Monika.

Ja zawsze byłam sobą. Byłam przy Andrzeju, z Andrzejem i wyłącznie dla niego, nie dla tych pań i tych panów. Wszyscy o tym wiedzieli. Panie starały się nie okazywać aż tak bardzo niechęci do mnie z racji tego, że tam się wszyscy bali mojego Andrzejka. A w końcu niektóre już mnie polubiły. Szczególnie Basia, żona Ryska, i Małgosia, żona Malizny.

Basia to inteligentna pani, która wtedy rozumiała życie bardziej niż ja, bo była ode mnie starsza. Bardzo mocno związana z Rysiem, jak ja z Andrzejem, oddana mu, mądra życiowo i nie tylko, bo miała jakieś wykształcenie, była z zawodu księgową. Kiedy ją poznałam, nie pracowała, ale wcześniej prowadziła jakąś firmę.

Gośka, żona Mirka Malizny, też była fajna. Zajęta prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci. Bardzo wspaniałomyślna dla swojego Mirka, potrafiła dużo mu wybaczyć. One wszystkie dużo wybaczały, podpowiadała im to mądrość życiowa. Wiedziały, że zasada, iż nie budzi się śpiącego psa, jest uniwersalna. Czasem robiły sceny, ale to taki stały fragment gry, raczej folklor. Wiadomo było, że nikt od nikogo nie odejdzie. A faceci nawet rośli, jak żony okazywały trochę zazdrości. Ale w miarę, której nie należało przekraczać.

Wspominałam już o Zośce, żonie Wańki. To też ciekawa postać, ponieważ Zosia to była dziewczyna, która miała w sobie to coś, czego brakuje wielu babkom. Bo ja wiem, jak to nazwać? Nie chodzi tylko o seksapil, ale trochę tajemniczości i trochę łagodności. Skończyła studia psychologiczne, kiedy Leszek przebywał w areszcie śledczym, a potem w zakładzie karnym na Rakowieckiej. No, taka kobieta z ambicjami. Ładna, zadbana. Miałyśmy coś wspólnego z Zosią. Obie byłyśmy takie nieduże, filigranowe, kobiece.

Natomiast Ela, żona Jarka Masy, trzymała się z boku, towarzysko taka trochę wycofana, strasznie zdominowana przez męża. Była z gatunku tych żon, które swoim chłopom nic nie mogły powiedzieć, musiały tylko słuchać. Bardzo często chodziła w czarnych okularach, dobrze wiedziałam, jaka jest tego przyczyna, bo zdarzało się, że czasem leczyłam jej rany. Ona nawet wtedy nie śmiała się żalić. Mówiła ogólnie o problemie, starała się znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego tak się dzieje. A ja jej tłumaczyłam, że Jarek nie jest taki zły, ale ma, nazwijmy to, stresującą pracę, bo przecież go kochasz, że ogólnie jest fajny. Przekonywałam ją, ale sama tego przekonania nie miałam. Nigdy nie namawiałam jej, aby go zostawiła. Nigdy bym nie śmiała, ja w ogóle staram się nie oceniać ludzi i próbuję zawsze wszystkich tłumaczyć.

Masa czasami traktował ją tak, jak nie powinno się traktować kobiet. Zresztą on zawsze miał tendencje do przemocy, ręce leciały mu nie tylko do facetów, ale i do kobiet. O takich mówi się damski bokser. Miał dużo kompleksów, w związku z czym te kompleksy musiał czymś nadrobić, siłą na przykład. Kiedyś był ratownikiem na basenie i zajmował się kanalizacją. Jak się nazywa tego, co przepycha toalety? Już wiem - hydraulik. No, taki był ten Masa. Kiedyś dostał zarzut gwałtu i pobicia, ale dziewczyna wycofała oskarżenie. Dostała gratyfikację jakąś za to. Czy to był mały fiat, czy to były pieniądze, nie wiem.

Kiedy po śmierci Pershinga Masa się ukrywał, a potem został aresztowany, Ela zachowała się dziwnie. Powinna przyjść, zapytać, czy to prawda, że Słowik, Parasol i inni, kolokwialnie mówiąc, dojeżdżają jej dom, straszą syna Mariusza i skaczą po jej samochodzie. Gdyby do mnie przyszła, pomogłabym jej, wyjaśniła wszystko. Nie zrobiła tego, bo uwierzyła Masie, że to robota pruszkowskich, którzy chcą go zastraszyć.

A przecież myśmy jeździły razem na wakacje. Jej dzieci, Mariusz i Olka, sypiały na moich kolanach podczas podróży. Kąpałyśmy się w jednym basenie, przy jednym stole jadłyśmy. Więc ona powinna, ale się bała Jarka, była zahukana i

całkowicie zdominowana. Podobno niedawno Ela i Masa się rozwiedli, on ożenił się z inną. No nic, tej nowej życzę powodzenia, a Eli gratuluję. Ten rozwód to najlepsza rzecz, jaka mogła ją spotkać w życiu.

Była bardzo dobrą matką. Żoną też. One wszystkie były dobrymi matkami i żonami. Żadna normalna kobieta by nie wytrzymała tyle, ile one wytrzymały przy tych swoich mężczyznach. Niektóre dodatkowo musiały przeżywać żalobę po stracie męża. Tak jak Małgosia, żona Wojtka K., pseudonim Kielbasa.

Byłam przy narodzinach ich związku. Byłam też na ich weselu. Wojtek poznał ją podczas eliminacji do wyborów Miss Polski, na etapie wyborów Miss Mazowska chyba. Została wtedy wicemiss. Śliczna dziewczyna. Wojtek K. pochodził z bardzo dobrej rodziny i był bardzo inteligentny. Mama - lekarka, kulturalna. Masa zawsze pozostawał w jego cieniu i mu zazdrościł, ale Wojtek go lubił. Był czas, że pojawiali się zawsze we dwóch, jak papużki nierozłączki. Ale tak tylko na zewnątrz wyglądało, bo różniło ich wszystko. Masa materialista, a Wojtek był jakoś ponad takimi materialnymi rzeczami. Nie miał parcia na kasę.

Małgosia śliczna, młoda, wrażliwa, pasowali idealnie do siebie. Dbała o Wojtka i strasznie bała się o niego. Urodziła mu pięknego syna, który był awatarem Wojtka, identyczny. Kiedy Wojtka zastrzelono, strasznie tę śmierć przeżywała. Kiedy się otrząsnęła, otworzyła jakiś sklep w Pruszkowie z ciuchami, wychowywała synka i odsunęła się od dawnego środowiska, chciała żyć normalnie.

Była z kimś potem, kto się nią opiekował, ale z tego, co wiem, do tej pory nie wyszła ponownie za męża. Ktoś mówił, że wzięła z kimś ślub, ale ja w to nie wierzę, bo ona za bardzo kochała Wojtka.

Na pewno nie pomagał jej Masa, chociaż jako przyjaciel Wojtka miał taki moralny obowiązek. Ale ona nigdy Masy nie lubiła i pewnie nie oczekiwała od niego pomocy.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Żona Kielbasy od początku wiedziała, do jakiego świata przechodzi. Tak jak ty.

Nie miała oporów, podobnie jak ja nie miałam oporów. To był świat pociągający. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto będzie brał pod uwagę tylko moralność i etykę.

Ten świat z zewnątrz wydawał się niemoralny, zły, ale kiedy patrzyło się od środka, obowiązywały w nim pewne proste zasady. Przynajmniej na początku. Lojalność, wzajemna uczciwość, koleżeńskość, wspólnota.

Wspólne wyjazdy, imprezy, grille, imieniny, urodziny, chrzciny, komunie dzieci. To ludzi scalało. Byliśmy hermetyczni, to prawda, ale w tym naszym gronie nie nudziliśmy się.

Taki zamknięty świat.

Zamknięty i przez to ciekawy. Przez pewien czas niezmienny. Trywializując, można powiedzieć, że kochanki się zmieniały, ale żony pozostawały te same. Obowiązywało niepisane prawo, że się żon nie zostawia, ale też obowiązywało prawo, że się mężów nie zostawia.

Złamałaś tę zasadę.

Złamałam. Tak wyszło. Później to wyjaśnię. Za to, co zrobiłam Andrzejowi, spotkała mnie surowa kara. Jego przyjaciele i ich żony to mnie do piekła wszyscy razem posyłają.

Ja po części siebie też wysyłam, bo powiem szczerze, z perspektywy czasu już wiem, że nie powinnam tego zrobić, nie powinnam Andrzeja zostawić, powinnam trzymać się zasad naszego kodeksu honorowego.

Przecież zakochałaś się w innym mężczyźnie. To nie jest usprawiedliwienie?

Dla Andrzeja nie jest. Nie dał mi przyzwolenia. Na innego przyzwolenie by mi dał, ale nie na Wadima.

Na każdego innego?

Myślę, że tak. On Wadima nie trawił. Nie lubił go, bo jest z Ukrainy, bo jest byłym komandosem i silnym facetem.

Obaj są silnymi mężczyznami, w sensie charakteru. Obaj mieli władzę, mieli pieniądze, mieli wpływy. Nie ukrywam, że zawsze kochałam takich mężczyzn, dla mnie największym afrodyzjakiem jest piękny umysł i władza u mężczyzny.

Był czas pracy i czas zabawy. Podczas imprez wszyscy siedzieli przy wspólnym stole. Panowie czasem odchodzili na bok, żeby porozmawiać w męskim gronie. Przy żonach generalnie o swojej pracy nie rozmawiali. One gdzieś tam i tak swoimi drogami wiedziały, na czym ta praca polegała. Pewnie dowiadywały się w domu, bo tak naprawdę ci panowie rozmawiali o tych swoich sprawach różnych z żonami, tylko udawali, że nie rozmawiają, a te żony były na tyle mądre, że mówiły, że nic nie wiedzą. A i tak wiedziały. Ja też z Andrzejem o wielu rzeczach rozmawiałam.

To były piękne, kolorowe lata 90., gdzie wszyscy zarabiali pieniądze i dolary leżały na ulicy. Nikt nie myślał o konsekwencjach, zgodnie z zasadą, że jak coś dobrze Idzie, to wierzysz, że tak będzie zawsze.

Ich praca polegała na wzajemnym okradaniu się. To były Interesy, które się kręciły wokół papierosów, wokół agencji towarzyskich, wokół spirytusu, i to się kręciło wokół tego, że oni sobie nawzajem te tiry, te spirytusy zabierali, przejmowali, kradli, oddawali, czyli praktycznie rzecz biorąc, taka szara strefa.

To nie były czasy strzelania do policji, to nawet nie były czasy strzelania do siebie nawzajem. Oni byli groźni, ale tak naprawdę nie dla społeczeństwa, tylko dla siebie, dla swoich zysków.

Szczytem brutalności było dawanie sobie po mordach, przywiązywanie jakiegoś kierowcy tira do drzewa i podbieranie

sobie nawzajem towarów z przemytu. To była taka wojna dużych chłopców bez strzelania, dopiero potem zaczęły się te brzydkie rzeczy.

Zabawa trudna, niebezpieczna, ale nie na granicy śmierci i życia, bo te porozbijane kości i mordy, brzydko mówiąc, można było skleić.

Lubiłam tych panów, nawet Jarka Masę, oby żył wiecznie. On się dawał lubić, taki duży misiu, trochę spocony. Dlatego przykro mi było, jak on mnie obrażał i pomawiał. Przecież on mnie znał, wiedział, jaka byłam.

Na początku to Jarek był kimś w rodzaju takiego pomocnika. Dostawał polecenie i mył samochód Wojtka Pimpka. Mój też, jak poprosiłam. Latał dla nas po frytki i po kurczaka. Wykonywał polecenia. Jak to fajnie brzmi, Słowikowa, szefowa mafii pruszkowskiej, wydawała Masie polecenia, aby zakupił jej frytki i kurczaka.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Znałaś żony z tak zwanej mafii wołomińskiej?

Trudno, żebym dobrze je znała, bo przecież były po przeciwnej stronie.

Ale kiedyś nie było dwóch stron.

Nie było dwóch stron, ale życia towarzyskiego tamte kobiety raczej nie prowadziły, więc trudno było poznać je bliżej. Poza tym, powiem szczerze, że to były panie z innego rozdania. Trochę mniej wykształcone, mniej obyte, może trochę gorzej ubrane.

Metaforycznie mówiąc, panie, do których bardziej pasowała wódka niż wino. Po prostu troszeczkę inaczej funkcjonowały. Tak jak Jolka i Ewka, żony dwóch braci - Dziada i Wieśka Wariata.

Jak funkcjonowały?

Bardziej w swoim małym światku. Do naszego nie zaglądały. A po śmierci Wariata jedna z nich krzyczała, że to sprawka Słowika, mojego męża. Rozumiesz więc, że trudno było o dobre relacje między nami.

Może miała rację. Przecież Słowik miał wyjątkowy powód, aby próbować unieszkodliwić przeciwnika, jakim był dla niego Wariat.

Miał powód, ale to nie on zabił. Kiedy Wariat wrócił z Niemiec i chciał przejąć te wszystkie interesy i wjechać na Warszawę, Andrzej się na to nie zgadzał. Dlatego Wariat dał zlecenie na likwidację Słowika i moje porwanie. Tak było. Wariat poległ z głową na krawężniku. Podobno umarł na zawał serca, a nie od kuli. Zabójca strzelał, ale zanim kula dotarła, to Wariat już nie żył.

Gdyby nie zawał, to i tak by nie przeżył.

Bez wątplenia, było dużo strzałów w niego oddanych.

Dziś już wiemy, że wykonawcą był chłopak o imieniu Michał, który potem też został zastrzelony.

Pod hotelem Holiday. Ładny chłopak, mądry i sympatyczny. Szkoda go. Jedna z wersji mówi, że jemu zlecono zabójstwo Wariata w ramach zemsty za porwanie Ryśka Sz., pseudonim Kajtek. Tak mówiono, że ponieważ ktoś ważył się podnieść rękę na tak sympatycznego, starszego, schorowanego i dobrego człowieka, jakim był Rysiu, to sprawcę porwania powinna spotkać kara.

Wariat zlecił porwanie Ryśka?

Tak. Przetrzymywali go w jakiejś piwnicy bez leków. Biednego,

starszego, schorowanego człowieka z nadciśnieniem.

Zażądali 120 tysięcy dolarów okupu. On był poważnie chory, musiał brać leki i mało brakowało, żeby on tam naprawdę umarł. Gdyby nie jego wierna, wspianała i mądra żona, która wyłożyła te pieniądze, bo nikt nie chciał pomóc. Wiem, że Andrzej bardzo się udzielał, chyba też tam coś dał.

Podobno zarząd pruszkowski nie bardzo się palił, żeby pomóc koledze Ryśkowi, bo podejrzewano, że on już nie żyje, i nie chcieli za trupa płacić.

Wiem, że były problemy z pieniędzmi. Summa summarum zostały w końcu zapłacone pieniądze. Baśka, jak to żona, stanęła na wysokości zadania.

Skąd wzięła te pieniądze?

A chyba ze słoika spod brzoźki wykopała, tak mi się wydaje.

To miała fajny ogródek.

Dużo tych brzoźek i dużo tych słoików. Fajny, bogaty w warzywa i brzoźki ogródek.

Jaki był powód, że Ryśka porwano? Chodziło tylko o okup czy także o zemstę?

Nie, to był wyłącznie okup. Rysiek też był bardzo charakternym mężczyzną, który miał swoje zasady, przesiedział pół życia w więzieniu. To jest człowiek, który ma swój kodeks honorowy w środku i twardy kręgosłup.

Ludzie z podobnymi zasadami zapominali o kodeksie honorowym i szli na skróty, zostając na przykład świadkami koronnymi.

No co ty mówisz?! Nikt z prawdziwych pruszkowskich by nie został świadkiem koronnym, to są chłopaki z zasadami. Ja też nie zostałam świadkiem koronnym.

Bo jesteś kobietą z zasadami.

To ty powiedziałaś, ale bardzo mi miło. Według jakichś zasad trzeba żyć, bo daleko się nie zajdzie, tak mnie uczono i tak mam gdzieś w głębi duszy zapisane.

Mówisz, że nikt z pruszkowskich by nie został. Ale został.

Ale Masiątko, oby żył wiecznie, nie jest pruszkowski, umówmy się. Mówię o tych pruszkowskich, moich kolegach i przyjaciółach. O tym tak zwanym zarządzie. Skoro mówimy o „Pruszkowie” i domniemanych szefach domniemanej mafii i domniemanym zarządzie, to ja myślę o tych konkretnych chłopakach. O ludziach honorowych, a nie tej reszcie, która wybrała drogę zdrady.

Jak ich nazwać? To kapusie z charakteru?

To są ludzie, którzy mają słabe charaktery. Chodzili po tym mieście i mówili, że są tacy mocni, a potem przestali być mocni i za judaszowe srebrniki zaczęli donosić. Jak już coś robisz, to ponoś konsekwencje. Umiej to zrobić. Nie zginaj karku. Słowik nigdy karku nie zgiął. Taka jest prawda.

Z tego, co mówisz, wynika, że nawet przestępca na swój sposób powinien być przyzwoity.

Tak, bo w tym brudnym świecie można przetrwać, zachowując nieskazitelnie czyste zasady.

Czy sądzisz, że gdyby Wojtek Kielbasa dożył czasów, kiedy weszła ustawa o świadku koronnym, poszedłby na skróty jak jego kumpel Masa?

Wojtek? Nie, nigdy. Tego jestem pewna. Tacy nie zdradzają. Wojtek, Jacek Dresz, Rysiek Pawlik, Kajtek, Wańka, Malizna, Raźniaczek, Słowik czy Parasol nigdy, jak to nazywasz, nie poszliby na skróty.

Wspomniałam Parasola, którego nazywam Jankiem, to nie mogę pominąć jego żony Małgosi. Taka kochana, domowa dziewczyna. Jasiu miał zawsze ugotowane, sprzątnięte, cudowna matka i żona. Zawsze pełna lodówka i uprane koszule.

Jasiu miał restaurację, potem ją zamknął i otworzył sklep. Biznesmenem się zrobił w Pruszkowie pan Janek. A Małgosia zaliczała się do tych żon, które, kiedy mąż trafiał za kraty, nie potrafiły sobie dać rady. Ona biedna nie potrafiła bez niego zapłacić rachunku na pocztę. Całe życie w domu siedziała, wychowywała dzieci. On zaś zajmował się zdobywaniem pieniędzy. Kiedy go zamknęli, dzwoniła do mnie i żaliła się, że nie ma forsy nawet na bilet, żeby na widzenie pojechać do Jasia. Nie radziła sobie.

Jasiu Parasol, chociaż nie wyglądał, był bardzo rodzinny.

U Jasia musiała być lodówka zapakowana po brzegi, wtedy wszystko grało. Był dobrym ojcem, dbał o żonę. Mieli dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Małgosia wolała nie wiedzieć, skąd pochodzą środki na życie, ten urobek, jaki po szychcie Jasiu przynosił do domu. Instynktownie stosowała zasadę, jak już powiedziałam kiedyś, że nie budzi się śpiącego psa i nie zadaje się pytań, na które nie chce się znać odpowiedzi. Ona wiedziała, że skądś tam Jasiu wraca, ale to jej wystarczało. Co robił, już wiedzieć nie chciała. Ważne było, że Jasiu wraca, jest pełna lodówka, są święta, jest choinka i dzieci mają książki w tornistrze.

W większości tych małżeństw było jedno lub dwoje dzieci,

wielodzietne rodziny raczej się nie zdarzały. Przyznaję z żalem, że nasze środowisko nie pomagało w przezwyciężeniu kryzysu demograficznego. Ale były to rodziny zgodne i na swój sposób szczęśliwe. Mężczyźni, oprócz tego, że czasami szli popić alkohol i z jakąś panienką się zawieruszyć, to jakby dwa życia prowadzili. Kiedy już z tą żoną i dziećmi trzeba było posiedzieć w sobotę, wyprowadzić stadło na spacer i na jakiś obiad zabrać, jakieś zakupy, to byli doskonałymi mężami i ojcami. W weekendy zmieniali się w domatorów i wzuwali kapcie. Kiedy spotykaliśmy się na grilla, dzieci latały po ogrodzie. Atmosfera jak w szkółce niedzielnej.

Osobny rozdział to Pershing i jego rodzina.

Żonę Pershinga zapamiętałam jako biedną kobietę, kompletnie poza środowiskiem. On się jej wstydził, bo miała problemy alkoholowe i psychiczne. Mieli bardzo fajne dziecko, córkę. Mała zakochana w ojcu, a on w niej. Mieszkali w Ożarowie w dużym domu z basenem. Ale ten dom nie był piękny, tylko duży i tandetny, a ten basen nigdy nie był czyszczony. To wszystko było na pokaz. Andrzej Pershing był za prosty, żeby umieć korzystać ze swoich wielkich pieniędzy. Pozostał na poziomie cieplej wódki w szklankach po musztardzie postawionych na plastikowym obrusie.

Lubił się bawić, a jak się bawił, to pieniądze latały w powietrzu. Jak to mówią, król się bawi, złotem płaci. Ale w tych zabawach nigdy jego żona nie uczestniczyła.

Widziałam ją ze dwa razy, kiedy jeździliśmy do Andrzeja w jakiejś sprawie. Potem się rozwiedli, to był wtedy chyba jedyny rozwód w naszym środowisku. Związał się z drugą kobietą, chyba wzięli ślub, ale cały czas otaczał się ładnymi, młodymi dziewczynami, które w większości widziały w nim przede wszystkim pieniądze. Kiedyś zaprzyjaźniłam się z jedną z dziewczyn z jego stajni.

To była tancerka, Ukrainka, śliczna dziewczyna. On ją poznał na jakimś kolejnym wyjeździe do hotelu Gołębiowski. Ukrainka

miała tam jakiś występ. Pershing się zachwycił i przywiózł ją do Warszawy. Umieścił w jakimś hotelu. Opiekowałam się nią z racji tego, że nie znała polskiego. Wozila ją na zakupy. Jakoś bardzo blisko przez jakiś czas byłyśmy. Prześliczna dziewczyna i w sumie niegłupia. Aż trudno uwierzyć, ale ona była w nim zakochana. Jakiś czas to trwało, później Pershing poleciał na inny kwiatek, a ona wyjechała.

W swoją ostatnią podróż do Zakopanego Pershing zabrał kolejną panienkę, studentkę ze Szczecina. Była jego ostatnią kochanką. Potem rozpuszczano plotki, że to kochanka mojego męża, który miał ją specjalnie podstawić Pershingowi, żeby go wystawiła zabójcom. To bzdura. Andrzej ją znał, ale wyłącznie jako kochankę Pershinga, a nie własną.

Było niepisane prawo, że w takich miejscach jak Zakopane czy Sopot nie prowadzi się wojny, nie strzela do ludzi. A jednak ktoś to zrobił, Pershing został zastrzelony. Takich rzeczy się nie robi, ale jednak się zrobiło. Czy Pershing zasłużył na taką śmierć? Nie mnie to oceniać. Żadna śmierć z powodu pieniędzy nie jest potrzebna.

ROZDZIAŁ 6

O długich południowoamerykańskich wakacjach, transporcie bananów i walce kogutów

Narkotyki. Od tego tematu nie uciekniemy, wiem to. Ale muszę uczciwie powiedzieć, że z różnych powodów powinnam zachować ostrożność. Głównie dlatego, aby nie narazić nikogo na konsekwencje karne. Już mówiłam, że nie mam genu zdrady, nie donoszę, nie obciążam. W sprawie narkotyków jestem czysta jak łąza, chociaż spreparowano mi jeden z zarzutów, że miałam nimi handlować. To oczywista nieprawda. O rynku narkotykowym wiem sporo, ale wyłącznie teoretycznie. Jak się człowiek obracał przez lata w takim środowisku jak moje, to musiał słyszeć to i owo.

Masa, oby żył wiecznie, był łaskaw wielokrotnie opowiadać, że byłam w Kolumbii razem ze Słowikiem zastawem za partię narkotyków. Nie wiem, z jakiego źródła zaczerpnął swoją wiedzę, ale mam przekonanie graniczące z pewnością, że było to źródło zatrute. Inaczej mówiąc, Jarek kłamał. Nigdy i nigdzie nie byłam żadnym zastawem. Nigdy i nigdzie nie kupowałam narkotyków. Gdyby było inaczej, ja i Andrzej nie wyszlibyśmy z więzienia, bo prokuratura zdobyłaby dowody, że współpracowaliśmy z kartelami narkotykowymi, jak opowiadał Masa. Widocznie nawet prokuratura doszła do wniosku, że Masa mija się z prawdą.

W latach 90. narkotyki wjeżdżały do Polski dużymi transportami, dlatego że stworzył się na nie rynek. Wtedy już była tania amfetamina, ale istniała grupa bogatszych osób, która chciała brać drogą kokainę. Byli ci, którzy potrzebowali

amfetaminy, ale byli tacy, którzy chcieli już coś lepszego. A tak na marginesie, ja osobiście jestem przeciwniczką narkotyków, alkoholu, papierosów, moim nałogiem są cygara. Trochę dziwne jak na kobietę, prawda? Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nigdy nie próbowałam narkotyków. Oczywiście próbowałam, bo chciałam zobaczyć, jak to jest, na zasadzie eksperymentu. Już wiem i dlatego nie używam. Andrzej zaś był zawsze przeciwnikiem takich używek, absolutnie.

Skoro istniał popyt na narkotyki, to jasne, że znalazło się paru chętnych, aby go zaspokoić. Mówię teraz całkowicie teoretycznie, bo przecież praktyki nie miałam, ale ściągnięcie partii kokainy to poważna inwestycja. W pojedynkę mało kto by dał radę. Dlatego musiało się skrzyknąć przynajmniej paru panów albo parunastu, zrobić biznesplan, wyłożyć kasę, zdobyć kontakty, drogi przerzutu i stworzyć dystrybucję. Inaczej mówiąc, zabrać się jak do dużego interesu. Wiem, że także ktoś z naszego środowiska tym się zajmował, ale konkretnie kto, nie mam pojęcia. Nie wypadało pytać.

Kokainę transportowano w sprasowanych kostkach, hermetycznie zamykanych pod ciśnieniem. Potem koka przechodziła proces chemiczny polegający na tym, że trzeba ją było z czymś mieszać, bo nie mogła być w czystej postaci. Nie widziałam na własne oczy żadnego transportu, widziałam przejęte transporty w telewizji, w gazetach, fotografie, jak to leży na ziemi w takich cegiełkach popakowane. Nie byłam bezpośrednio przy nadawaniu tego towaru, przy odbiorze i przy sprzedaży. Mówię teoretycznie. To był jeden z biznesów, o którym wiedziałam, który gdzieś tam się toczył, i ja zbytnio nie przywiązywałam do tego wagi.

Jest jasne, że aby zdobyć ten towar, trzeba było znaleźć kontakt, na przykład w Kolumbii. Tam się zgłasza mnóstwo kontrahentów, żeby bezpośrednio kupić w miejscu produkcji. Klienci, jak sobie wyobrażam, przechodzą dosyć ścisłą weryfikację. Muszą być sprawdzeni, czy nie są policjantami pod przykryciem i czy mają środki. Duży producent chce wiedzieć,

komu sprzedaje i co dalej się stanie z towarem. Dokąd pojedzie i jak będzie rozprowadzany. Ale jak to się odbywa w szczegółach, nie wiem, więc nie powiem. Mogę natomiast opowiedzieć o moich podróżach do Ameryki Południowej. Umówmy się, że to nie był szlak narkotykowy. Nazwijmy moje i Andrzeja wyprawę szlakiem cytrusowym, w sprawie bananów, ale też skór cielęcych i innych tego rodzaju towarów, na których można było zarobić.

PIOTR PYTLAKOWSKI: **Pojechaliście z Polski?**

Pojechaliśmy na wycieczkę, nie bezpośrednio z Polski, tylko przylecieliśmy z Miami, gdzie, jak mówiłam, Andrzej zajmował się interesami. Chcieliśmy zwiedzić kilka krajów, na przykład Dominikanę i Chile. Byliśmy też na Karaibach. Turystycznie, żeby zobaczyć, jak tam jest.

Ale przy okazji w interesach?

No tak, wiadomo. Mieliśmy dojście do dużego farmera w jednym z tych krajów. Hodował byki i miał plantację bananów. Musieliśmy mieć osobę wprowadzającą, bo nie reprezentowaliśmy żadnej dużej i znanej im firmy. Nie tak łatwo robić z nimi biznesy, oni przestrzegają bhp, kontrahent musi być rzetelny. Oni cię obserwują, patrzą, czy jesteś wypłacalny, jak funkcjonujesz, jak się zachowujesz, w jakich hotelach mieszkasz, jakie rachunki płacisz. Naszym wprowadzającym był pewien Polak, od lat tam mieszkający. Do niego mieli zaufanie. Pamiętaj, że cały czas mówimy o cytrusach, a nie kokainie.

Oczywiście. Przecież wiem, że producenci cytrusów zawsze sprawdzają kontrahentów tak dokładnie, jakby sprzedawali im nie banany, ale kokainę. Klienci przechodzą weryfikację.

Tak, dokładną weryfikację. To nie jest tak, że gdzieś jedziesz i

wchodzisz z ulicy.

Kto finansował waszą podróż? Sam Andrzej?

Nie, to wspólne pieniądze.

Czyli grupa przeznaczyła jakąś kasę na te banany. To by pasowało, bo bracia D. prowadzili przecież pod Warszawą hurtownię owoców.

Tak. Od Andrzeja też na pewno były jakieś pieniądze, które pozwalały tam funkcjonować trochę lepiej. I to nie było tak, że od razu to wszystko się łatwo zbudowało, to było kilkanaście wycieczek, żeby to jakoś połączyć i sfinalizować.

Opowiedz o tym, co widziałaś.

Spotkaliśmy się z tym Polakiem. Powiedzmy, w Ameryce l'oludniowej, bez wskazywania konkretnego miejsca. Więc jeżeli jedzie się biznesowo coś załatwiać, powiedzmy, transport owoców, bananów, transport skór czy jakichś wyrobów ludowych do Cepelii, to o tym się rozmawia. Natomiast szczegóły omawiano poza mną. Bo widocznie nawet ta osoba nie chciała o tym mówić przy mnie. Andrzej też, mam takie wrażenie, nie za bardzo chciał. Ja wtedy jeszcze byłam nowo poznaną dziewczyną, więc on też nie za bardzo chciał, żebym ja wiedziała o wszystkich jego biznesach. Oficjalnie jechałam z nim jako osoba towarzysząca.

W sprawie dostawy towaru do hurtowni cytrusów?

Właśnie tak. Z Andrzejem często jeździłam po Polsce czy po świecie biznesowo. Jak jeździliśmy do Miami, to żeby handlować jachtami i samochodami. Także to był kolejny jakiś biznes. Łódki, samochody i teraz banany.

Jakie łódki?

Takie pełnomorskie jachty, które w Miami można było kupić mało używane. Zresztą tam używane to prawie jak nowe, oni dbają o sprzęt.

Sprowadzaliście jachty do Polski?

Był taki pomysł, ale ja nie wiem, czy to wypaliło. Wiem, że samochody wypaliły.

Samochody jakie?

Amerykańskie. To jakoś nieźle funkcjonowało, z tego były uczciwe, normalne pieniądze.

Nie były to kradzione bryki?

Nie, to były naprawdę uczciwe samochody, które były kupowane, podpisywaliśmy umowy w komisach samochodowych. I te komisary uczciwie sprowadzały auta.

I Andrzej to wszystko na własny rachunek robił?

Andrzej był udziałowcem, miał w tym jakiś swój pieniążek mały. Panowie z „Pruszkowa” to tak naprawdę zajmowali się nie tylko przestępstwami, ale także, a może przede wszystkim, uczciwymi biznesami.

To były łebskie interesy, wymagały dobrych kontaktów i szczególnych umiejętności.

Tylko wiesz, to było tak, że oni się bezpośrednio tym nie zajmowali - mówię o zarządzie. Wynajmowało się ludzi, którzy

troszeczkę biznesowo byli lepiej wprowadzeni. To musiał być ktoś, kto jednak pokończył trochę więcej niż osiem klas. Znał języki, orientował się w tych realiach technicznych i przepisach prawa, zarówno w Stanach, jak i tutaj. A wracając do Ameryki Południowej. Dla mnie to wszystko było piękną wycieczką, łącznie ze zwiedzaniem lasów tropikalnych, przelotów wspaniałych rzek, na przykład cudownej Amazonki. Nad takim lasem tropikalnym leciałam helikopterem, gdzieś tam wylądowaliśmy, gdzieś przyjechali panowie, którzy wyglądali tak jak z filmu Viva Maria!

Plantatorzy bananów?

Chyba tak. Zaprosili nas do siebie, w Polsce byśmy powiedzieli, że na daczę. Bardzo fajnie tam się robi interesy z cytrusami.

Przyjechaliśmy do Ameryki Południowej wczesną wiosną. Boże, jak tam było wspaniale i gorąco. Kraj, w którym wylądowaliśmy, barwny, roześmiany, pachnący słońcem i erotyką, bo to przecież Ameryka Południowa. Zawsze chciałam ją zobaczyć. Wtedy jeszcze nie było tych komarów roznoszących zarazę.

Dotarliśmy do miasta, które leży na wzgórzach, podobnie jak Barcelona, i ma jedno z najtrudniejszych lotnisk do lądowania, ponieważ jest w niecce, pomiędzy górami. Tam są różne prądy powietrzne i bardzo krótki pas startowy, więc lądowanie to prawdziwa sztuka. Samolot dwa razy podchodził, zanim pilot zdecydował się usiąść.

Uwielbiam latać i się nie boję. Nic a nic. Obleciałam cały świat, na ogół Lufthansą. Dostałam od tej linii premię, po Europie mogłam latać za darmo. Bo jakby tak zliczyć, to wiele razy obleciałam kulę ziemską. W Lufthansie stewardesy mnie już rozpoznawały. Kiedy latałam do Miami, to nawet ci, którzy stemplowali mi w paszporcie, pozdrawiali i uśmiechali się. Kilkakrotnie mi się zdarzyło.

Z wizą amerykańską przeważnie nie mieliśmy problemu. Raz się zdarzyło, że nam odmówiono, kiedy chcieliśmy lecieć na

pojedynek Andrzeja Gołoty. Sytuacja była dziwna, bo poleciał wtedy Pershing. On wizę dostał, a my nie. Pershing bardzo kiedyś chciał zawodowy boks przenieść na grunt Polski. Potem inni to zrobili, bo jemu się nie udało. Chciał na tym zarabiać duże pieniądze. I legalne. Chciał to zrobić sam i z nikim się nie dzielić.

Ale wróćmy do Ameryki Południowej. Kiedy wysiedliśmy z tego samolotu, to miałam takie wrażenie, że wchodzę do pieca martenowskiego. To była ściana lepkiego, ciepłego powietrza. W Ameryce jest specyficzna wilgotność, jesteś cały czas mokry, bo to osiada na tobie. Ale ja się dobrze z tym czułam. Oczywiście pojechaliśmy do bardzo eleganckiego, drogiego hotelu z widokiem na miasto. Poszliśmy na bardzo elegancką kolację, gdzie spotkaliśmy się z tą osobą, z którą się mieliśmy spotkać, i rozmawialiśmy na temat biznesowych różnych spraw.

To był Polak o imieniu Juan. Potem zawsze z nim się spotykaliśmy, a tylko raz z miejscowym, nazwijmy go, hurtownikiem, zresztą też w towarzystwie tego Polaka. Juan był w towarzystwie swojej żony i dzieci. To było tak, jakbyś przyjechał do kogoś na wakacje, ja to tak odczuwałam. Zresztą byliśmy również zaproszeni na jego finkę. U nich na daczę mówi się finka. Nad oceanem miał działkę, dom i cudowną, szybką łódź, taki jacht pełnomorski. Byliśmy z pełnymi honorami przyjęci. Andrzej był ojcem chrzestnym drugiego dziecka tego Juana. Dzieciak też miał na imię Juan. Widać taką mieli tradycję.

Juan miał własną hurtownię bananów i wyprawiał bycze skóry. Byliśmy też na ranczu jego byków, tam pierwszy raz jadłam jądra byka, bardzo smaczne zresztą. Podobno afrodyzjak straszny. Kiedyś do naszego hotelu przyjechała limuzyna, taka długa, czarna. Zostaliśmy przetransportowani na prywatne lotnisko i poleciliśmy do jakiejś dżungli, gdzie Juan był współwłaścicielem kopalni szlachetnych kamieni.

Ten helikopter dlatego mi tak utkwiał w pamięci, że miał otwarte drzwi na przestrzał, jak amerykańskie helikoptery w Wietnamie. Ta słynna scena w Czasie apokalipsy, jak ląduje takim

helikopterem kawaleria powietrzna, na plaży gdzieś w Wietnamie, i podpułkownik mówi, że najlepiej lubi zapach napalmu o świcie. To był taki sam helikopter, to niesamowite uczucie nim lecieć.

Wystawiłam głowę na zewnątrz, inaczej nie byłabym sobą. Oczywiście byłam przypięta pasami. Lecieliśmy w ogóle bardzo długo nad takim morzem zielonych drzew i w pewnym momencie gdzieś w morzu tej zieloności zobaczyłam takie charakterystyczne, okrągłe, wybetonowane miejsce z literą H, czyli lądowisko helikopterów. Po wylądowaniu wyglądało to strasznie śmiesznie, ponieważ nie przypuszczałam, gdzie lecę, nie wiedziałam, po co lecę, i byłam w szpilkach, które potem musiałam zdjąć, i szłam na bosaka. Przyjechały po nas jeepy. Ci panowie w tych jeepach wyglądali niesamowicie, wszyscy byli czarni, wielcy, szczerbaci, ze złotymi zębami, z jakimiś brudnymi rękawiczkami na szyi, bo tam cały czas gorąco.

Dostałam potem buty traperskie. Andrzej był ubrany też nie za bardzo adekwatnie, bo był w takich cieniutkich, włoskich butach, jak to on chodził, w eleganckiej białej koszuli i czarnych spodniach. To tylko świadczy o tym, że oboje nie za bardzo znaliśmy miejscowe realia. Dla mnie to była jedna wielka przygoda. Dla Andrzeja też.

Pokazali nam zaraz bardzo krwawą rzeź. Bez obaw, to była rzeź kogutów, nie ludzi. Pierwszy raz w życiu widziałam walkę kogutów. Tam na ogół kobiet się nie wpuszcza, bo to jest męski sport.

Walki kogutów są bardzo krwawe, bo te koguty skaczą sobie na głowę i się zadziobują na śmierć, a jeszcze przy okazji mają takie przyczepione ostrogi do nóg i zadają sobie rany. Do ostatniej krwi się tam dziobią. Widzowie obstawiali swoje typy, a pieniądze wpłacali w workach, bo w tym czasie szalała inflacja. Worki ważono na przedpotopowej wadze. Nieistotne były nominały banknotów, tylko to, ile ważą worki z pieniędzmi.

Wszystko odbywało się w scenerii filmowej. Koguty walczyły w wielkim namiocie, a na zewnątrz paliło się ogromne ognisko.

Wokół siedzieli mężczyźni w traperskich strojach. Na ogniu piekł się baran. Byłam bardzo głodna. Jeden z mężczyzn podszedł do tego barana, wyjął nóż, wbił w tego barana, drugim wykroił kawał mięsa. Tam nie było stołków, ale leżały drzwi wyjęte z framug. Mężczyzna zdjął z szyi brudny ręcznik, przetaił te drzwi i rzucił na nie mój kawałek mięsa. Po prostu horror, jeżeli chodzi o higienę, ale mięsko było smakowite.

Finka pana Juana to nie była dacza w polskim stylu, ale wspaniała, piękny dom. Wszędzie kręciło się mnóstwo mężczyzn, a kobiet mało, bo tam kobieta jest do tego, żeby podawać mężczyźnie jedzenie. Byłam blondynką wtedy, więc wszyscy mi się przyglądali. Zżerała ich zapewne ciekawość, co ja tu robię. Patrzyli tak natrętnie, że powiedziałam Andrzejowi, aby nie zostawać tu na noc. Poczułam niepokój, ale Andrzej to zlekceważył. Powiedziałam mu, że przecież nie pozabija wszystkich, jak będą chcieli coś ze mną zrobić. Zaczął się śmiać. Ale postawiłam na swoim i wróciliśmy na noc do hotelu, aczkolwiek Juan był przeciwny temu, ponieważ przydzielił nam w swoim domu najładniejszy pokój i chciał być gościnnie. Do dzisiaj się zastanawiam, co by się zdarzyło, gdybyśmy tam jednak zostali. Czy moje obawy były uzasadnione, czy też raczej miał Andrzej.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Juan był chyba bardzo bogatym człowiekiem.

Tak, bardzo bogaty człowiek. I serdeczny. Dostałam od niego w prezencie bardzo piękny komplet złotej biżuterii: pierścionek, bransoletkę i naszyjnik, połączone z brylantami.

Masz to nadal?

Nie, już dawno straciłam. Musiałam sprzedać, kiedy Andrzej został zatrzymany w Hiszpanii. Potrzebowałam pieniędzy na hiszpańskich adwokatów i zaczęłam sprzedawać swoje złoto.

Znałaś język hiszpański?

Tak, ja już wtedy znałam hiszpański. Nauczyłam się w Ameryce Południowej. Między innymi dlatego, że Andrzej zawsze myślał, że na koniec życia, jak będziemy starzy, nasz syn będzie sobie biegał po jakiejś egzotycznej plaży, a my będziemy sobie siedzieć i pić cuba libre i patrzeć na ocean. Zawsze myśleliśmy o osiedleniu się w Hiszpanii albo gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Więc znajomość języka hiszpańskiego bardzo by się wtedy przydała. Mówiłam po angielsku, więc łatwo mi się było tam porozumieć, natomiast chciałam też wiedzieć, co mówią koło mnie, nie lubię, jak czegoś nie rozumiem, jak coś się dzieje poza mną. Uczyłam się hiszpańskiego przez angielski, bo oczywiście ta dziewczyna, która mnie uczyła, nie mówiła po polsku.

Dziewczyna?

To była studentka jakaś, z ogłoszenia. Uczyła mnie, oprócz tego prała nam i gotowała. Można powiedzieć, że to była pani do wszystkiego. A uczyła dobrze, szybko i bezboleśnie. Bardzo miłe to wspominać, również dlatego, że dzięki niej poznałam wielu fajnych młodych ludzi, studentów iberystyki, podobnie jak ona. Chodziłyśmy razem na basen i na spacer nad ocean, w tym czasie Andrzej jakieś biznesy załatwiał i nie miał dla mnie czasu.

Biznesy cytrusowe?

No tak, bo przede wszystkim pojechaliśmy tam, żeby sprowadzać wyprawione bycze skóry i banany, więc jeżeli o cokolwiek rozmawialiśmy, o jakichś, powiedzmy, transportach do Polski, drogą morską oczywiście via Gdańsk, to były to właśnie skóry i banany.

Te cytrusy miały trafić do hurtowni braci D.?

Tak.

Z tego wniosek, że Andrzej był wtedy ich przedstawicielem handlowym?

Coś w tym rodzaju. A ja byłam osobą towarzyszącą, uczyłam się hiszpańskiego i zwiedzałam Amerykę Południową. Podziwiałam góry, ocean, ładne dziewczyny, przystojnych chłopaków, słuchałam dobrej muzyki, popijałam pyszne aquariente, jadłam świeże owoce i bawiłam się na rodeo. Czego chcieć więcej od życia? Byłam w Ekwadorze, w Meksyku, w Chile, w Argentynie, w Brazylii, w Peru, na Jamajce i jeszcze kilku krajach, które już mi się mylą. Na przykład Argentyna to przepiękny kraj, ciekawy, bardzo pasujący do mojej energii i temperamentu. Tam nikt się nie dziwił, że ja dużo mówię, że się często śmieję, że lubię tańczyć na stole, bo tam każda kobieta jest taka. Różne kolory włosów miałam, a kiedy farbowałam je na czarno, takie jak smoła, i starałam się mówić po hiszpańsku, patrzyli na mnie, jakbym była jedną z nich.

Szybko opanowałaś ten język?

Tak, bo to jest bardzo śpiewny język z grupy języków romańskich, w którym pisze się prawie tak, jak się czyta, a deklinacje i koniugacje są proste.

I dzięki temu już wiedziałaś, co mówią ludzie?

Tak, często komentowali mój wygląd. Dla nich byłam jasna i egzotyczna, mimo że opalona. Rubio to jest jasny po hiszpańsku i mówili na mnie bonita rubio, czyli ładna biała.

Biała piękność. Byłaś inna od tamtych kobiet. Faceci podrywali cię?

No, niestety tak. Tam jest specyficzny sposób traktowania kobiety. Oni mnie generalnie traktowali trochę inaczej, mniej nachalnie, bo byłam z Andrzejem. Potem, jak już rozmawialiśmy biznesowo o transportach tych bananów i skór i ja tłumaczyłam, to wyrażali swoisty szacunek. Nie byli przyzwyczajeni, że kobieta siedzi razem z nimi, bo tam miejsce niewiasty jest między stołem a szafą. Kobieta ma wykonywać polecenia swojego samca i nic więcej. Nie mogli zrozumieć, jak można mieć taki temperament, być tak podobną do ich kobiet, a jednocześnie być zupełnie inną. To ich fascynowało. Byłam biała, byłam taka gładka, a z drugiej strony tak samo tańczyłam, tak samo śpiewałam, tak samo się śmiałam i miałam tak samo białe zęby jak ich kobiety. W całej Ameryce ludzie są ciepli i otwarci. Tam witasz się z mężczyzną, to nie całuje cię w rękę, tylko przytula i całuje w policzki.

Jak na te ciepłe powitania reagował Andrzej?

Andrzej był strasznie zazdrosny. Tłumaczyłam mu, że tak trzeba biznesowo, niby rozumiał, ale szczęki mu chodziły. Ale to drobiazgi. W gruncie rzeczy korzystaliśmy z życia, ile się dało. Bawiliśmy się, tańczyliśmy, byliśmy przyjmowani w ekskluzywnych klubach.

W jednym z hoteli był niesamowity basen. Jak patrzyłeś na jego koniec, to miałeś wrażenie, że woda się wylewa, tam był taki spadek, a pod spodem mniejszy basen. Siedziałeś w basenie i widziałeś całe miasto.

Bajkowe życie.

Bajkowe. Za które potem musiałam zapłacić wysoką cenę.

Zatrzymajmy się przy tych mężczyznach. Jak cię podrywali?

Tam miarą mężczyzny jest to, jakie jest w stanie zapewnić kobiecie życie. Ile ma kochanek, jak o nie potrafi zadbać. Zdobywanie kobiety to sztuka sama w sobie.

Kobietę zdobywa się prezentami. Ja dostałam w prezencie konia. Przepięknego konia w prezencie od syna jednego z przyjaciół Juana.

Rasy arabskiej czy angielskiej?

To nie był jakiś europejski koń typu arab czy pełnej krwi. Miejscowa rasa, są trochę mniejsze, inaczej biegają, nie umieją kłusować.

Galopują od razu?

One tak biegną śmiesznie, nogi podnoszą do góry, jakby omijały kolce. Fajne koniki. Było to podczas takiego połączonego święta koni i kwiatów. To jakaś miejscowa tradycja. Odbywa się parada, ludzie wspaniale się ubierają, układają z kwiatów jakieś dywany, a kobiety dosiadają koni tak po męsku, nie na boczku. Te konie są zupełnie inne, inaczej chodzą, inaczej reagują. W tej paradzie pojechałam na tym wspaniałym koniu. Byłam ubrana w typowo męski strój.

Byłam w czarnych spodniach, takich jak Meksykanie noszą, miałam meksykański kapelusz. Tam się jeździ na strzemionach prostych, nie takich krótkich i nie sportowych, tylko w takiej kulbace, w takim bogatym, przepięknie inkrustowanym złotymi dodatkami siodle. I jedzie się w tym kapeluszu, kobieta ma spięte włosy w ogon. Ten koń zgrabnie pode mną chodził, więc po paradzie jego właściciel mi go podarował. Oczywiście go nie wzięłam do Europy, nie było jak przewieźć.

Jest twój nadal?

Jeżeli jeszcze żyje, to jest mój.

Kim był ten tajemniczy darczyńca?

Synem bardzo ważnej i bogatej osoby, wielkiego właściciela ziemskiego. Przyjaciela Juana. Ten syn był przepięknym chłopcem.

Tym prezentem chciał zdobyć twoje serce?

Myszę, że tak, ale spuścił z tonu, kiedy przedstawiłam mu Andrzeja jako swojego męża. Więc prezent przekazał mi całkowicie bezinteresownie. Zresztą został potem zbesztany przez tatę, bo to było takie faux pas, bo takie rzeczy jak konie to się darowuje komuś, względem kogo ma się jakieś zamiary, to jest więcej niż pierścionek z brylantem. To jest jasna propozycja. Był śliczny oczywiście, bajecznie przystojny.

Mówisz o koniu czy o chłopaku?

I o koniu, i o chłopaku. Ale byłam tak zakochana, że żadne pieniądze świata nie były mi wtedy w stanie zabrać Andrzeja. Wiesz, niejednokrotnie było w życiu tak, że mogłam zamienić Andrzeja, mówiąc żartobliwie, na inny model mężczyzny, ale pozostałam przy nim. Kiedyś biegałam po jakiejś plaży w jakimś miejscu na świecie, a na redzie stał bardzo piękny, bogaty jacht. Właściciel tego jachtu codziennie o godzinie siódmej rano patrzył, jak biegam. Byłam potem na zakupach i podszedł do mnie ktoś, pytając, czy nie miałabym ochoty zjeść kolacji z właścicielem tego jachtu, któremu się bardzo podobam. Odmówiłam. Potem się okazało, że gdzieś tam biznesowo się spotkaliśmy, ja i Andrzej, z tą osobą, która mnie zaprosiła wtedy. Pamiętam, że kiedy weszłam na ten jacht do salonu, to

zanurzyły mi się nogi w jakimś dywanie niewiarygodnym. Pamiętam też kominek na tym jachcie i Renoira wiszącego nad kominkiem.

Kim był ten właściciel?

Zmodyfikowany Rosjanin z paszportem tego kraju, w którym biegałam po plaży. Tak zwani nowi Rosjanie mogą wszystko. Kupują sobie paszporty każdego kraju, o jakim tylko pomyślą, i kupują sobie miejsca na ziemi.

Mafia?

Albo mafia, albo służby specjalne. Według mnie ten Rosjanin był ze służb. Nazwijmy go Sasza. Handel narkotykami, mięsem i metalami, jeżeli chodzi o Rosję - nie ma tam sytuacji, w której mafia działa sama. Ma kryszę, czyli dach w postaci służb. Tam nie ma możliwości, żeby ktokolwiek w tej branży mafijnej funkcjonował bez kryszy. Z mojego doświadczenia wynika, że w Polsce było podobnie.

Pobyt w Ameryce Południowej trwał kilka miesięcy, ale nie dlatego, jak uważa Jarek Masa, oby żył wiecznie, że wzięto nas w charakterze zakładników. Byliśmy tam dobrowolnie i z radością. Natomiast prawdą jest, że transakcja długo trwała i chodziło o duże pieniądze. Nie musieliśmy tam mieszkać do czasu, aż wpłynie cała kwota, tylko chcieliśmy się biznesowo elegancko zachować, żeby to było wiarygodne dla naszego kontrahenta. Wiadomo, że gdybym była zastawem, tobym tam musiała siedzieć z Andrzejem non stop i nie puściliby mnie na centymetr. Tymczasem zdarzyło się włamanie do mojego warszawskiego mieszkania. Powiedziała mi o tym mama i zauważyła, że dobrze by było, gdybym przyjechała do Polski, bo policja chce ustalić, co zginęło. I ja pojechałam do Polski.

Pojechałam, załatwiłam sprawę i wróciłam do Ameryki. Andrzej mnie odprowadził na lotnisko, potem na lotnisko po mnie przyjechał. Ja nie czułam, że ktoś mi trzyma pistolet przy skroni i przykuta jestem kajdankami.

Towar, jaki nabyliśmy, był częściowo spleacony. Skóry i banany popłynęły do Polski, potem nadeszła reszta pieniędzy, panowie się porozliczali i myśmy spokojnie wrócili do kraju. I tyle na ten temat.

Bardzo potem tęskniłam za Ameryką Południową, za każdym z tych krajów, za ludźmi, jakich poznaliśmy, za atmosferą tych miejsc, za jedzeniem, za bykami. Chciałam powiedzieć, za jądrami byków też. Tęskniłam za walczącymi kogutami. Miałam tam mnóstwo znajomych kobiet, za nimi też tęskniłam. One są takie, że wszystkie uczucia mają na twarzy, nic nie chowają do wewnątrz, niczego nie zazdroszczą, są kolorowe i uśmiechnięte, chociaż przez facetów traktowane przedmiotowo. Tęskniłam za tymi ulicami, które pachną wszystkimi zapachami świata, a ze wszystkich stron dobiega muzyka. Za tymi mężczyznami też, za tą lekkością bytu tam. Tam wszystko takie proste, łatwe, na wyciągnięcie ręki. Na tyle się z tymi ludźmi mocno zżyłam, że dostaliśmy z Andrzejem zaproszenie na chrzciny takiego ślicznego Javiera, który był synem jednego z dalszych członków rodziny Pabla Escobara. Takie chrzciny to jest wielkie wesele cygańskie. Dwieście, trzysta osób się zjeżdża z różnych krajów i wszyscy razem się bawią. Te chrzciny powinny odbywać się w Medellin, ale z różnych powodów zorganizowano je w innym kraju.

O Medellin dużo na tych chrzcinach słyszałam. Na przykład, że jest bogatszym miastem nawet od Bogoty. Z powodu Escobara i narkobiznesu. To przecież światowa stolica kokainy. Opowiadano mi na tych chrzcinach, że Escobar był odbierany jako zbawca ludzi biednych. Dzięki narkotykom dawał ludziom pracę i chleb. On z tych pieniędzy ogromnych, niebotycznych, niewyobrażalnych, które zarabiał na narkotykach, budował szkoły, kościoły, boiska, załatwiał opiekę zdrowotną. Taki jest

świat, tak jest zbudowany, że trochę dobra, trochę zła. On był tam czczony jak Bóg, uwielbiany. Jak go zabili, to ludzie płakali. Do tej pory, z tego, co wiem, są świeże kwiaty codziennie na jego grobie w Medellin.

Na chrzcinach dalekiego krewnego Escobara zauważyłam, z jakim szacunkiem ci ludzie się traktują, jaka to jest ogromna, wielka rodzina. Może podobne więzi widziałam w Izraelu, takie bardzo rodzinne, bardzo mocne. Tam rodzina jest podstawą rzeczywiście, na niej życie się zaczyna i kończy, trzyma się razem i za każdego kuzyna czy krewnego daliby się pokroić. Ale podobno nawet jak dochodzi do wojny gangów, to zabijają się z uśmiechem na ustach i nie w mroczny, deszczowy, ciemny dzień, tylko przy dźwiękach muzyki w słoneczne południe. Ze wszystkiego czerpią radość. Nawet jak człowiek umiera, to idzie do Boga przy dźwiękach muzyki.

Andrzej czuł się tam jak u siebie w domu, egzotyczne miejsca w ogóle go nie onieśmiały. Ale wiem, że on to tak fajnie przyjmował, bo obok byłam ja, w niego wpatrzona. Budowałam się nim, a on się budował mną. Andrzej bywa sceptyczny, raczej ukrywa nastroje. Ma ten rodzaj inteligencji, że potrafi się zachować nawet w środowisku, którego nie zna. Wychodzi z założenia bardzo słusznego, że jak nie potrafisz jeść kraba, to poczekaj, aż zaczną ci naprzeciwko, i zobaczysz, jak oni to robią. Dlatego był trochę wycofany, bo wolał poczekać niż palnąć gafę, ale to jego wycofanie brano za jego siłę. Jak ktoś nic nie mówi, to masz dwie możliwości - albo nie mówi, bo jest tak mądry, albo nie mówi, bo jest tak głupi i nie ma nic do powiedzenia. W jego przypadku wybierano tę pierwszą: mądry, milczący Polak. Zdałam sobie z tego później sprawę, ale to wyglądało tak, że ja wtedy byłam młoda, efektowna, dobrze ubrana, z dobrą biżuterią na rękach, pewna siebie, mówiąca po hiszpańsku i angielsku. To była jasna sugestia dla otoczenia - taka kobieta nie mogłaby mieć przy sobie byle jakiego faceta. Dodawałam mu w ich oczach znaczenia, a przecież było odwrotnie.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Po waszym pobycie w Ameryce Południowej polskie służby ogłosiły, że przejęły narkotyki na statku Jurata. Mówiło się, że adresatem tej przesyłki miał być Wańka. Miała trafić do jakiejś firmy pod Warszawą. Wańka został potem za to skazany.

Narkotyki, z tego, co czytałam, ukryto w jakiejś smole czy lepiku. Leszek Wańka miał firmę w Ożarowie i handlował cytrusami, więc to nie on był adresatem. To nie były banany przecież, ale lepik. Moje zdanie jest takie, że jeżeli się szmugluje takie ilości narkotyków, to bez zgody służb, obojętnie jakiego kraju, takie rzeczy się nie odbywają. Kiedy wpada tona towaru, to tego samego dnia albo dwa dni później wjeżdża transport nie z toną, tylko z pięcioma. I wszyscy są zadowoleni.

Inne statki dopływają bez przeszkód?

O to chodzi. To są pewne mechanizmy, o których wszyscy funkcjonujący w takim biznesie doskonale wiedzą. I ta Jurata wpadła, a ile statków dopłynęło, o tym cisza. Przypuszczam, że służby z tego czerpały profity, bo przecież nie były takie ślepe i głuche. Mówię teoretycznie, bo przecież ja od narkobiznesu byłam z daleka. Mnie interesowały banany.

A za banany nie byłaś zastawem?

Absolutnie nie. Gdyby to było co innego, a nie banany, to może rzeczywiście by nie pozwolono mi stamtąd wyjechać. A tak spędziłam fajne długie wakacje. I przy okazji nauczyłam się hiszpańskiego.

ROZDZIAŁ 7

O ślubie w Nazarecie, modlącym się Słowiku i seksie w hotelowym pokoju

Opowiadano, że Słowik, mój mąż, udaje bogobojnego, a w gruncie rzeczy jest bezbożnikiem. Ze to człowiek, który jeździł do Jerozolimy i stawał przy Ścianie Płaczu tylko dla zgrywy. Miał sobie budować fałszywą legendę, aby poprawić wizerunek.

Otóż chcę powiedzieć, że religijność Andrzeja nie była legendą. To była prawda. Andrzej, mało kto o tym wie, był nawet w Kalwarii Zebrzydowskiej, w seminarium duchownym, gdzie święcono go na diakona. To było przed naszym poznaniem, opowiadał mi o tym. Gdy byliśmy w Jerozolimie, to służył do mszy jako diakon w obrządku wschodnim, a oni mają trochę inny obrządek od naszego. Ale dawał sobie radę. Oczywiście miał stulę, ale przerzuconą przez ramię. Ksiądz ma stulę przez szyję, a diakon przez ramię.

Ja też myślałam początkowo, że to jest jakaś poza, Andrzej udaje kogoś innego. Ale nie, on ma taki specyficzny stosunek do wiary, który kompletnie nie pasuje do jego stosunku do życia. Wierzący człowiek musi tę wiarę dokumentować sposobem życia i zachowaniem, natomiast życie Andrzeja toczyło się wbrew naukom Kościoła. Dekalogu nie przestrzegał.

Dzisiaj już wiem, że Słowik cierpiał na dualizm osobowości, to co innego niż schizofrenia. Bo muszę powiedzieć, że mam podstawy ku temu, żeby przynajmniej próbować diagnozować jakieś przypadki medyczne. Kiedy studiowałam medycynę, ponad rok miałam zajęcia w szpitalu psychiatrycznym na ulicy Nowowiejskiej, zarówno na oddziałach otwartych, jak i

zamkniętych. Zaliczyłam trudne kolokwium ze schizofrenii, znam objawy hebefreniczne, katatoniczne, paranoidalne, znam objawy osiowe, wiem, jak charakteryzować daną jednostkę chorobową. U Słowika zaobserwowałam częściowe objawy dualizmu osobowości. W jego przypadku to nie jest jednostka chorobowa, ale skaza charakterologiczna. On ma w środku takiego chłopczyka załęcznionego, a z drugiej strony dużego mężczyznę, którego roznosi energia. Te osobowości zmagają się z sobą, czasem przewagę ma chłopczyk, ale częściej górą jest ten drugi. Andrzej ma charakter i to nieważne, czy zły czy dobry, ważne, że silny.

Religijność wyniósł z domu rodzinnego. Pochodził z prawidłowej rodziny, nie było tam patologii. Dobrze się uczył, miał osiągnięcia sportowe.

Kiedy już byliśmy ze sobą, zaskoczył mnie, bo lubił studiować Biblię. Potem dowiedziałam się, że zaszczepił mu szacunek do Biblii jego spowiednik, ksiądz Kazik Orzechowski, który jednocześnie był księdzem i aktorem. Zdaje się, że do dzisiejszego dnia mieszka w Skolimowie, w Domu Aktora, gdzie był kapłanem. Poznali się przez pierwszą partnerkę Andrzeja, bo ksiądz Kazik był przyjacielem jej brata. Często jeździliśmy przed ślubem do księdza, do Skolimowa. To on bardzo nas zachęcał, żebyśmy się pobrali. Nasz ślub w Jerozolimie odbył się z jego inspiracji.

Ksiądz Kazik nie miał pojęcia, czym się Andrzej zajmuje i w jakim środowisku się obraca. Tu znów się kłania dualizm osobowości Słowika. Myśmy tak naprawdę dwa równoległe życia prowadzili. Jedno życie było związane ze światem gangsterskim, na wysokiej adrenalinie. Ale drugie toczyło się normalnie, modliliśmy się w kościele, chodziliśmy do teatru, bywaliśmy na wspólnych przyjęciach ze znanymi aktorami, piosenkarzami, reżyserami czy dziennikarzami. Dla nich byliśmy znajomymi księdza Kazia, a to już dawało nam rękojmię. Postrzegali nas jako normalnych, uczciwych ludzi. Myślę, że głównie dzięki mnie. Legitymizowałam Andrzeja w tym gronie

moim sposobem bycia i moją normalnością. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby nawet przypuszczać, że taka kobieta jak ja może kochać gangstera. Przy mnie Andrzej zachowywał się łagodnie i potrafił odpowiednio się znaleźć, a nawet brylować wśród śmietanki towarzyskiej.

W Boga wierzył szczerze. W adwencie pościł, i to bardzo surowo. Z alkoholem bywało różnie, wina czasami nie odmawiał, ale starał się nie przedawkować. On w ogóle prowadził zdrowy tryb życia, nie palił papierosów, nie brał narkotyków. Wbrew różnym opiniom Andrzej nie miał wariackiego charakteru, do tej pory nie ma. Mam wrażenie, że gdyby mu życie pozwoliło trochę w drugą stronę iść, to byłby dobrym mężem i dobrym ojcem, a do tego uczciwym człowiekiem.

Z tą jego wiarą jest tak, że na pewno nie umocniła się ona przez te 13 lat pobytu w więzieniu. Według mnie człowiek, który wierzy, potrafi wybaczać. Andrzej zaś nie potrafi. Nie potrafi wybaczać nie tylko innym ludziom, ale przede wszystkim nie potrafi wybaczać sobie. A ja mu zawsze mówiłam, że Pan Bóg ukochał grzeszników najbardziej. Przecież największym grzesznikiem był Piotr, który się zaparł trzy razy Jezusa, a potem Jezus mu wybaczył i zrobił go pierwszym papieżem, a Watykan jest od tamtej pory zwany Stolicą Piotrową. I te słowa znamienne: Podaruję ci kamień, na tym kamieniu zbuduj Kościół. Imię Piotr pochodzi od greckiego petrus, czyli głaz. Takie są korzenie chrześcijaństwa. Jeżeli człowiek naprawdę wierzy w Boga i wyznaje jakąś religię, to ma dużo pokory do życia, do ludzi i do siebie samego i potrafi wybaczać. A Andrzej nie potrafi wybaczyć nikomu, mnie nie wybaczył i nie wybaczy nigdy. I nie wybaczy sobie przede wszystkim.

PIOTR PYTLAKOWSKI: A co Andrzej sobie miałby wybaczyć?

Wybaczyć sobie, że nie zawsze był w porządku.

Może nie umie sobie wybaczać, ale umie się rozgrzeszać?

Rozgrzeszenie to jest kolejny filar wiary, ale myślę, że człowiek sam siebie nie ma prawa rozgrzeszać, od rozgrzeszania jest Bóg.

Andrzej chodził do spowiedzi?

Chodził, jego spowiednikiem był ksiądz Kazimierz.

To ksiądz Kazimierz musiał dużo ciekawych rzeczy wiedzieć.

Przypuszczam, że jednak nie wiedział.

A jak z twoją wiarą?

Muszę ci powiedzieć, że dzięki wierze przetrwałam więzienie. Powiem d, że będąc tam, wiedziałam, że nie mogę stracić dwóch rzeczy - wiary w Boga i szacunku do samej siebie. I dzięki temu, że ich nie straciłam, wyszłam na wolność z w miarę nieprzetrażonym kręgosłupem moralnym. Bardzo mocno się modliłam, bardzo mocno wierzyłam. Modliłam się różańcem codziennie o trzeciej, w godzinę śmierci Jezusa na krzyżu, modliłam się psalmami Dawidowymi z Biblii, którą dostałam od księdza w więzieniu. Prosiłam o pożyczenie Biblii, bo chciałam poczytać, i ksiądz mi dał swoją. Przepiękną taką Biblię niebieską wydaną przez pallotynów. I jak czytałam psalmy Dawida, to modliłam się też do dziecka. Ksiądz Kazimierz zawsze mówił, że trzeba się modlić do dziecka, bo dziecko jest aniołem stróżem twoim. Więc modliłam się przez psalmy Dawida do mojego synka o wolność. Powiem ci, że w tej Biblii wyczytałam całe swoje życie i cały sens życia każdego człowieka. Biblię każdy powinien przeczytać.

A jak na twoją religijność reagowały współosadzone?

Modliły się ze mną, czytały ze mną Biblię, odmawiały ze mną różaniec. Nie umiałam wcześniej różańca zmnawiać, nauczyłam się tam, w więzieniu. Mówiliśmy na głos, przed snem. Czytałam Księgę Hioba, która była najbardziej dla mnie czytelna, i to ona mi dała podstawy tej siły, która mi pozwoliła przetrwać to piekło. Przecież mnie zostało wszystko praktycznie zabrane. I Andrzejowi też przecież wszystko zostało zabrane. Tak jak Bóg zabrał Hiobowi wszystko, łącznie z rodziną. Zrobił z niego nędzarza, spuścił na niego choroby, cierpienie, a jednak mimo wszystko Hiob nie przestał wierzyć. Diabeł go kusił, a Hiob wierzył, że to cierpienie ma jakiś sens. Na końcu tej księgi jest napisane, że potem Hiob żył 140 lat w dobrobycie, cieszył się szczęściem i zdrowiem. Czyli nic bez przyczyny się w życiu nie dzieje, widocznie takie są twoje ścieżki, które prowadzą cię gdzieś, gdzie ty nie wiesz. Bo tak naprawdę każdy człowiek ma swoje wyobrażenie o swoim życiu i uważa, że to, o czym marzy i gdzie chce iść, to jest dla niego najlepsze. A według mnie to jest tak, że czasami trzeba dać szansę życiu, trzeba zawierzyć, że to, co się dzieje, mimo tragedii, która cię spotyka, mimo trudów, które musisz przetrwać, mąk piekielnych tu na ziemi, że to wszystko czemuś służy i trzeba zaufać Bogu, że to jest twoja właściwa droga, nawet jeżeli czasem wiedzie na manowce. I tylko jednej rzeczy nie możesz. Tracić wiary, że to ma jakiś sens. Z pokorą schyl głowę i nie proś, żeby było lepiej. Proś o to, żeby Pan Bóg dał ci siłę do przetrwania i mądrość, żebyś wiedział, jak to zrobić. I ja tak właśnie myślałam i to mi pozwoliło przegryźć te kraty.

Pięknie to mówisz, aż się wzruszyłem, chociaż jestem ateistą. Skąd u ciebie ta wiara żarliwa?

Jeżeli mam być szczerą, ta wiara umocniła się we mnie dopiero

w więzieniu. Ja tam może po to poszłam, żeby właśnie uwierzyć. Albo inaczej. Ja poszłam do więzienia, żeby stracić tylko wiarę, a zyskać aż pewność, że Pan Bóg istnieje. Można to nazywać różnie. Ty też czasami masz wątpliwości, jestem tego pewna. Pewnie też cię spotkały takie sytuacje, w których gdzieś podświadomie mówiłeś sobie: Boże, już nie mam siły, Boże, zrób coś. I nagle otwierała ci się jakaś furтка, otwierało ci się okno, tak jak to kiedyś nazwał ksiądz Kazimierz. Dając nam ślub w Nazarecie, powiedział, że Pan Bóg tak wyreżyserował życie każdego, że kiedy komuś zamyka drzwi, to zostawia uchylone okno, dlatego nie można nigdy tracić nadziei.

Od dziecka byłam umiarkowanie religijna. Chrzest, komunia, lekcje religii w kościele, bo w szkole wtedy nie było. Moja mama jest wyznania prawosławnego. Pamiętam, jak z mamą i babcią chodziliśmy do cerkwi.

Ja mam wrażenie, że ta wiara i obrządek, sposób celebrowania tej wiary jest taki bliższy zwykłym ludziom, jest mniej monumentalny, bardziej ciepły. W cerkwi człowiek jest bliżej Boga, tam się czuje Jego obecność. Nasz obrządek jest taki suchy, zimny, sztywny, trochę sztuczny.

Chodziłam do naszego kościoła pod wezwaniem świętego Andrzeja Boboli i pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Na Saskiej Kępie. W tym samym kościele niedawno była msza żałobna za moją tatę. Jak chowaliśmy tatę, mama powiedziała, że stała z nim przy tym ołtarzu, jak brali ślub, i przyrzekała, że będzie z nim aż do śmierci. Jej ślubowanie zostało wypełnione do końca. I ja przy tym samym ołtarzu w dzieciństwie brałam komunię i modliłam się bardzo często.

Mam świadomość, że czytelnik może uznać, iż ta pani Słowikowa gada o Bogu, wpada w egzaltację, a wszystko po to, aby przykryć fakt, że była żoną gangstera i sama ma na sumieniu grzechy nie do wybaczenia. Nie mam takich grzechów, to po pierwsze. Byłam żoną gangstera, to po drugie. A o Bogu mówię szczerze i o swojej wierze też, bo przeżyłam prawdziwe uniesienie i można w to wierzyć lub nie, ale nikt mi moich

przeżyć nie odbierze.

Bóg był ze mną w więzieniu cały czas. Powiedziałam, że jak wyjdę stamtąd, pierwsze, co zrobię, to w pierwszą niedzielę, która nadejdzie po moim wyjściu, pojadę do Częstochowy.

Po wyjściu z więzienia trafiłam na pewien czas do znajomej rodziny i zamieszkałam z nimi. Byli to ludzie bardzo wierzący. Poprosiłam ich, żebyśmy pojechali do Częstochowy. Byłam taka słaba, że nie mogłam chodzić, to była taka moja Golgota. I w pierwszą niedzielę po wyjściu pojechałam z tymi ludźmi na Jasną Górę, dałam na mszę za tatę, za Andrzeja, za Wadima, za synka, za wszystkich złych i dobrych ludzi, za tych, którzy zostali w więzieniu.

Poszłam tam do zakrystii i powiesiłam na ścianie ten różaniec, który towarzyszył mi za kratami. Przez dwa i pół roku zasypiałam z nim w rękę i budziłam się z nim. Był przepocony, brzydki, porysowany od moich paznokci. I on tam został, na Jasnej Górze. Naprawdę tylko wiara mi to wszystko pomogła przetrwać. Po prostu prosiłam Boga o siłę i tę siłę dostawałam. W tym czasie bardzo Bóg nas doświadczył - moją mamę, osiemdziesięcioletnią kobietę ze złamaną ręką, która przewijała umierającego ojca leżącego bez świadomości, córka w więzieniu. Zostawili mnie wszyscy - zostawił mnie mój mąż, zostawił mnie mój syn.

Tylko Wadim mnie nie zostawił. Wadim był przy mojej mamie, woził ją, dawał mi na wypiski, przywoził mi lekarstwa. Jedyne Wadim, który był wtedy przy mnie, ale przecież nie ze mną.

Kiedyś na widzenie przyszedł Andrzej. Miał na szyi różaniec. Przepiękny długi różaniec, który pomógł mu przetrwać więzienie. Ale nie przekuł tej wiary w czyn. Bo wiara sama w sobie jest pusta, jeżeli nie przekuwa się jej w czyn, jeżeli się tej wiary nie oddaje drugiemu człowiekowi w postaci dobra.

Podczas tego widzenia Andrzej był jeszcze taki normalny. Świeżo wyszedł z więzienia, może miał odrobinę pokory. A potem mnie odwiedził drugi raz, już było gorzej. Trzy razy przychodził z naszym synem. Potem to się urwało, obaj przestali

mnie odwiedzać. Dobiegało do mnie, że Andrzej jest na mnie zły. Ludzie mu coś gadali, a on tykał wszystko, widocznie mu było to na rękę. Im dłużej przebywał na wolności, obrastał w piórka, tym szybciej tracił resztki pokory. Ale muszę przyznać, że Andrzej jest doskonałym ojcem. Świetnie zajmuje się naszym dzieckiem, załatwił mu dobrą szkołę, pilnuje jego edukacji. Nie zrobił tylko jednego. Nie powiedział synowi, że powinien szanować swoją matkę. Tłumaczył mi, że dzieciak ma do mnie pretensje i czuje urazę, że zostawiłam ojca i poszłam sobie do innego mężczyzny, dlatego nie chce się ze mną kontaktować.

Mam nadzieję, że kiedy wydorosłe, może mnie zrozumie. Napisałam niedawno Andrzejowi, w esemesie, że oby nie było tak, że będzie miał do nas obojga pretensje o to, że nie potrafiliśmy znaleźć płaszczyzny porozumienia. Czuję się po trochu winna, bo prawda jest taka, że to ja odeszłam od Andrzeja, i prawdą jest to, że pozbawiłam dziecko ojca w ten choćby sposób, że jak wyszedł z więzienia, to już nie byliśmy razem. Dużo jest mojej winy, uważam, że trzeba się przyznać do swoich błędów, po to chociaż, żeby nie popełniać ich po raz kolejny.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Wspomniałeś o ślubie w Nazarecie. Jak do niego doszło?

Tak jak powiedziałam, to była inspiracja księdza Kazika. Na początku, kiedy Andrzej jeździł do księdza do Skolimowa, sam szedł się spowiadać, a mnie zostawiał gdzieś w restauracji. Pewnego dnia ksiądz zapytał go, dlaczego mnie nie przyprowadza. Chciał nie chciał, na następne spotkanie już mnie zabrał.

Ksiądz Kazimierz obejrzał mnie, porozmawiał, ocenił i powiedział, że jestem wspaniałą kobietą i że czas najwyższy, żebyśmy się pobrali i założyli prawdziwą rodzinę, żebyśmy mieli dziecko, ognisko domowe, i że on nam w tym pomoże. Zaproponował pielgrzymkę do Ziemi Świętej i tam ceremonię

zaślubin. Andrzej zapalił się do tego projektu. I tak pojechaliśmy na pielgrzymkę do Izraela.

I wzięliście kolejny ślub.

Dlaczego kolejny?

Pierwszy był w Las Vegas.

No tak. W Las Vegas był ślub cywilny i taki trochę na pokaz. W Nazarecie zaś ślub kościelny, bardzo autentyczny i związany z silnym przeżyciem. Mówiłam o dualizmie Andrzeja. Pamiętasz Portret Doriana Graya Oscara Wilde'a? Andrzej to trochę taki Dorian Gray, zmienny, raz serdeczny, aby zaraz pokazać grymas złości. Skromny, a za chwilę szukający przepychu. Ten pierwszy ślub był w stylu tego drugiego Andrzejka, pełen blichtru, powierzchowności i wyłącznie na pokaz.

W Nazarecie był ten ślub prawdziwy i naprawdę ważny. Jak to się odbyło?

O tym za chwilę opowiem, ale najpierw wspomnę, że z Polski przyjechali z nami świadkowie Leszek D., czyli Wańka, i żona innego naszego przyjaciela. Uroczystość odbyła się 8 lipca 1995 roku. Na dowód dostaliśmy certyfikat ślubu ozdobiony menorą. W Las Vegas ślub wzięliśmy 1 czerwca, wróciliśmy do Polski, daliśmy na zapowiedzi i po miesiącu pojechaliśmy na pielgrzymkę, aby zawrzeć związek kościelny.

Dlaczego w Nazarecie?

Bo to najlepsze miejsce. Najbardziej symboliczne. Załatwiliśmy ten ślub przez episkopat. Był celebrowany przez trzech księży katolickich. Wszystko odbyło się w Bazylice Zwiastowania w Nazarecie. Otóż w Nazarecie do 13 roku życia mieszkał Jezus z

rodzicami, Marią i Józefem. Ta bazylika jest zbudowana na tej pieczarze, w której mieszkali Józef z Marią i z Jezusem. Więc tak naprawdę braliśmy ślub w domu Jezusa i Andrzej tam zakładał mi obrączkę.

Dzisiaj to już tylko wspomnienie.

Ładne wspomnienie i żal mi tego wszystkiego. Myślę, że nie powinnam nigdy w życiu Andrzeja zostawić. Ja to wiem i trudno mi się pogodzić, że tak to się potoczyło.

Mówi się, że Bóg tak chciał.

Bóg tak chciał, ale Bóg nam daje wolną wolę. To my wybieramy drogę.

Bazę wypadową mieliśmy wtedy w Jerozolimie, w domu noclegowym prowadzonym przez zakonnice. Wynajęliśmy samochód, mercedes bus z klimatyzacją oczywiście. Na ślub trzeba było się przemieścić z Jerozolimy do Nazaretu. Po drodze zdarzyły się nam trzy rzeczy jak jakieś znaki tajemne.

Miałam ślubną wiązanekę, specjalnie zamówioną, i co za pech, zapomniałam ją zabrać z auta, a ponieważ pod bazylikę nie można było dojechać, samochód został na parkingu, dosyć daleko. Uratowała mnie Matka Boska, a właściwie jej posąg stojący pod bazyliką. Był przy nim wazon z różami. Przeprosiłam Matkę Boską, że jestem zmuszona jedną różę na chwilę pożyczyć, potem oddam. I z tą jedną różą poszłam do ślubu. Potem oddałam, myślę, że Jej nie uraziłam.

Drugie dziwne zdarzenie dotyczyło paszportów, mojego i Andrzeja. Zapomnieliśmy ich z naszego klasztoru, a były potrzebne do aktu zaślubin. Jakoś faksem przesłano ich kopie i udało się tę przeszkodę pokonać.

Natomiast trzecia przygoda dotyczyła podróży do Nazaretu. Jechaliśmy przez pustynię. Kierowca Arab, ja obok Andrzeja,

ksiądz Orzechowski z mikrofonem i Wańka z Zosią. Śpiewaliśmy, śmialiśmy się. Jechaliśmy krętą czarną drogą. W oddali majaczyły czerwone góry, rozplywające się w gorącym powietrzu. W pewnym momencie wydało mi się, że asfalt przed nami rusza się i drga. Kierowca coś krzyknął i zaczął hamować. Wtedy dostrzeżliśmy pełznącą żmiję. Przejechaliśmy po niej, bo samochód nie dał rady wyhamować. Chyba nie przeżyła. I ksiądz powiedział, że to znak od pana Boga, że będzie jakaś żmija w życiu moim i Andrzeja, ale w końcu ją pokonamy i pojedziemy dalej.

Ta żmija, te paszporty, moja wiązanka, sama nie wiem, czy to były jakieś sygnały, które zlekceważyłam. Ale ślub się udał, ceremonia była cudna, po co miałam martwić się z góry.

Po ślubie było wesele, życzyliśmy sobie mazał tow i śpiewaliśmy Hawa nagila. Mazał tow, i na szczęście się kieliszki tłucze.

Hawa nagila to pieśń o wspólnym radowaniu się. Żydzi śpiewają to na święto Chanuki i przy Ścianie Płaczu w Jerozolimie. Oczywiście byliśmy przy Ścianie Płaczu, on po swojej stronie, ja po swojej stronie, bo tam nie można razem. Tam fantastycznie Żydzi się bawią - tańczą. Ja zresztą wtedy włożyłam w mur taką karteczkę z życzeniami, że chcę być szczęśliwa z Andrzejem.

Na wesele do restauracji zaprosiliśmy wszystkich, którzy byli z nami na pielgrzymce, czyli około 50, 60 osób. To mieszkańcy Domu Aktora ze Skolimowa i ich rodziny. Wszyscy razem. Osoby starsze i dzieci. Przyłączyli się do nas goście restauracji, Żydzi i Arabowie. Wesele było przednie, bawili się wszyscy. Wino lało się strumieniami.

Ja tańczyłam z Andrzejem, miejscowi mężczyźni ze sobą, zgodnie z żydowskim obyczajem. Tańczyli, śmiali się, klaskali, orkiestra jakaś się przyłączyła, Andrzej zaprosił kogoś z ulicy. Całowaliśmy się, tańczyliśmy na stole, dzieliliśmy się chlebem. Rozdawałam ze specjalnej tacy podpłomyki, dzieliłam się macą żydowską jako panna młoda. Byłam w białej sukni, tak jak

trzeba.

Jak już wyszliśmy z tej restauracji i szliśmy przodem z Andrzejem, welon powiewał za mną, orkiestra grała, a ludzie na ulicy zatrzymywali się, trąbili, klaskali. Tam ludzie są ciepłi, emanuje od nich radość życia. Wszyscy się śmieją do ciebie, nie ma tego ponuractwa. Na każdym kroku można odczuć ich życzliwość. Zawsze jak wracałam z Ziemi Świętej do Polski, czułam się, jakbym wracała do Śródziemia Tolkiena. Szaro i wokół brzydki ludzie, wiecznie zmartwieni, skrzywieni, każdy by każdego zabił najchętniej tylko dlatego, że koło ciebie stoi. A tam jest zupełnie inaczej, tam się słyszy, jak życie tętni. Inaczej pachnie nawet powietrze.

W Jerozolimie mieszają się świąty i kultury. Na Wzgórzu Świątynnym w meczecie Al-Aksa modlą się muzułmanie. Modlą się, podobnie jak po sąsiedzku wyznawcy judaizmu, do Abrahama, który był ojcem dwóch narodów - żydowskiego i arabskiego. Miał dwóch synów - Izaaka i Izmaela. Izaak dał początek narodowi żydowskiemu, a Izmael arabskiemu. W Biblii jest napisane, że ludzie będą całe życie toczyli między sobą bratobójczą wojnę. Dlatego bratobójczą, że przecież Izaak i Izmael byli z jednego ojca.

W Izraelu byłam niezliczoną ilość razy. Jeździłam z pielgrzymkami, to były wyjazdy pokutne, spaliśmy w klasztorach, w domach prowadzonych przez zakonnice w bardzo ascetycznych warunkach. Pokoje to były cele klasztorne, łóżka z siennikami, jedliśmy proste rzeczy, chodziliśmy po kościołach, jeździliśmy po Ziemi Świętej, modliliśmy się. Zamykaliśmy się na całą noc na przykład w Bazylice Grobu Świętego w Jerozolimie i modliliśmy się. To było silne przeżycie, naprawdę. Szliśmy Drogą Krzyżową, czyli Via Dolorosa w Jerozolimie, którą Chrystus niósł krzyż na Golgotę. Przy ulicy zatrzymywaliśmy się przy dziewięciu stacjach, a w Bazylice Grobu Świętego przy pięciu. Ksiądz Orzechowski przy każdej stacji czytał nam Biblię o upadkach Chrystusa pod ciężarem krzyża. Teraz już wiem, że te jego trzy upadki to w gruncie rzeczy trzy jego powstania. Pamiętam,

jak ksiądz mówił, że rzeczą ludzką jest upadać, a podnosić się jest rzeczą boską. Człowiek podnosi się z upadku siłą Boga i swojej wiary. Jezus też upadał i za każdym razem się podnosił, więc kiedy człowiek upada, to powinien sobie mówić, że jeżeli Jezus się podnosił pod takim ciężkim krzyżem, to człowiek też jest w stanie się podnieść.

Mieliśmy msze w wielu miejscach, jeździliśmy po całej Ziemi Świętej. Byliśmy nad jeziorem Nazaret w Kanie Galilejskiej, byliśmy na świętej górze Masada. W Izraelu ziemia jest taka tłusta, czerwona, krwawa. To ziemia umęczona, nasiąknięta krwią utoczoną przez wieki podczas wałki i wzajemnych mordów. Na Masadzie popełnili wspólnie samobójstwo zeloci, bo nie chcieli się poddać Rzymianom. Dziewięćset sześćdziesięciu ludzi wołało śmierć niż niewolę.

Podczas naszej wyprawy na Masadę panował niesamowity upał, z 50 stopni w cieniu. Wjechaliśmy na górę kolejką, a potem z Andrzejem zbiegaliśmy z Masady. Ksiądz Kazimierz na dole odprawił cudowną mszę. Taka sceneria, upał 50 stopni, powietrze suche, aż boli. I ten wiatr, i ta cisza. Ksiądz na tle czerwonej pustyni rozłożył na kamieniu malutki ołtarzyk, postawił krzyż, chleb i wino.

Miał ogromną charyzmę. Cudny, szlachetny człowiek ogromnej mądrości, a poza tym miał przepiękną dykcję i pięknie potrafił mówić o Bogu. Zawsze twierdził, że Ziemia Święta jest piątą Ewangelią i trzeba do niej dotrzeć, żeby tę piątą Ewangelię przeczytać i zrozumieć wiarę. Wtedy pod Masadą powiedział słowa, które zapamiętałam: „Pamiętajcie, że Pan Bóg wam zawsze daje taki krzyż, tak ciężki, tak trudny do niesienia, ale o którym wie, że będziecie w stanie go unieść. Nigdy nie dostaniecie większego krzyża, cięższego, niż jesteście w stanie dźwignąć”.

I tak zostaliśmy z Andrzejem połączeni sakramentem małżeństwa. Wtedy myśleliśmy, że podołamy nieść nasz krzyż razem i przez całe życie. Kochaliśmy się i tylko to było ważne.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Mam wrażenie, że twoja opowieść o pielgrzymkach, wierze w Boga i ślubie w Nazarecie jest na tyle ewangeliczna, że nasza książka będzie bestsellerem w księgarniach przykościelnych.

To dobrze.

Poszukajmy też innego czytelnika.

Jak?

W prosty sposób. Znany dziennikarz Jerzy Jachowicz pisał o tobie, że zawsze starałaś się być elegancka, ale dopiero związek z Andrzejem umożliwił ci korzystanie z najdroższych strojów i kosmetyków. Przez blisko 10 lat małżeństwa używałaś najlepszej francuskiej wody.

Thierry Mugler Angel, tak, ma rację.

A na uroczyste wyjścia wkładałaś bardzo drogie kostiumy słynnego projektanta Gai Mattiola.

To prawda.

I piłaś calvadosa, trzymając w ustach drogie kubańskie cygaretki.

Tak jest, pan Jachowicz się nie mylił.

Pisał też, że mocną twoją stroną były nogi.

Podobno miałam ładne i podobno mam je do dzisiaj. Lubiłam szpilki i podobno dobrze w nich wyglądałam. To cieszy, że to ktoś powiedział, a nie ja.

To było miłe ze strony Jurka Jachowicza. To teraz już mniej miło, bo zacytuję Masę z jednej z jego książek. Píše, że wspólne eskapady, w których brał udział wspólnie z tobą i Andrzejem, były krępujące, bo nie kiyliście się ze swoją miłością.

A dlaczego mieliśmy się kryć? Chyba bardziej krępujące jest gwałcić panienki w toaletach dyskotek. A trzymać się za ręce i pokazywać miłość - co w tym złego, że mu tak przeszkadzało?

Napisał też, że stanowiliście parę ekshibicjonistów, niemal każdy mógł zobaczyć, jak wygląda wasze życie intymne, nie przeszkadzało wam, kiedy oni wchodzili do waszego pokoju w Gołębiowskim, a wyście akurat figlowali w łóżku.

No, niewiarygodne. A czemu mama go nie nauczyła, że jak ktoś uprawia seks, to nie należy wchodzić i przeszkadzać? Musi się nauczyć tego, że jak ktoś uprawia seks, to powinno się zapukać albo na przykład nie wchodzić w czasie, kiedy ludzie to robią. Może jego to kręciło, podpatrywanie nas? No to pewnie się zarumieni, kiedy mu powiem, że seks z moim mężem był zawsze namiętny i zawsze kończył się tym, że oboje dochodziliśmy po kilka razy.

Niektórzy mogą zazdrościć.

A oczywiście, niech zazdroszczą. Bardzo dobrze mi było z Andrzejem i podobno jemu ze mną też. A że robiliśmy to długo, często, zawsze na wyjazdach, takie rzeczy się przecież zdarzają i powinny się zdarzać. Według mnie brak takiego współżycia by świadczył, że ludzie się nie dobrali, a myśmy się dobrali i nam było doskonale. A że Jarek stał i podsłuchiwał, to jego problem. Stać i podsłuchiwać, jak my się kochamy, gdzieś tam na

wyjeździe. A ekshibicjonizm w postaci całowania się i trzymania się za rękę?

Masa pisze dalej, że on i inni nie lubili wspólnych wyjazdów ze Słowikami, bo Monika dawała zły przykład i w jej towarzystwie można było popsuć sobie wizerunek. Zachowywała się wyzywająco, uwielbiała rozgłos, zawsze pragnęła być w świetle jupiterów, na świeczniku, tak jakby komuś chciała udowodnić, że mimo wszystko udało jej się w życiu, weszła na szczyt i już z niego nie zejdzie. Grubo jej odbiło, może w dzieciństwie ktoś ją skrzywdził? Taka analiza.

Boże kochany, nie przypuszczałam, że mój blask tak go porażał.

Ale też oddaje ci honor. Pisze, że z jego wiedzy wynika, że jak byłaś z Andrzejem, to nigdy go nie zdradziłaś.

To prawda. Andrzeja nie zdradziłam, jak z nim byłam.

Nie było chętnych, bo się bali Andrzeja.

Chętni pewnie by się znaleźli, ale to ja nie miałam takiej ochoty. Nienawidzę hipokryzji. Nigdy nie bałam się żyć, czuć i robić to, na co mam ochotę. To, w jaki sposób ktoś mnie odbiera, to jest jego i wyłącznie jego sprawa. Nikogo nie raniłam, nikomu nie robiłam krzywdy. Ktoś, kto wyrządzał innym krzywdę, a teraz twierdzi, że trzymanie się za rękę jest ekshibicjonizmem i gorszeniem towarzystwa, jest po prostu hipokrytą albo idiotą. Co może powiedzieć żaba siedząca w studni o morzu, kiedy tego morza nigdy nie widziała i nigdy nie zobaczy? Jak można mówić o miłości, kiedy się nigdy jej nie przeżyło i nie umie się jej celebrować?

Czy Andrzej kiedykolwiek cię skrzywdził w czasie małżeństwa?

Nigdy. Andrzej bywał bardzo szorstki czasami w stosunku do mnie, ale tej szorstkości wymagałam ja, bo ta szorstkość jakby była mi potrzebna, byłam bardzo niepokorna i ekstrawagancka. Taki kolorowy ptak na tle szarości.

Jego to nie krępowało?

Nie, on się cieszył, że ma taką kobietę inną od szablonu, wymykającą się schematom. Kobietę, która nie siedzi w kuchni i nie smaży kotletów.

A umiesz?

Tak, umiem smażyć i umiem gotować, ale nie lubiałam tego robić przy Andrzeju, bo wtedy nie mieliśmy czasu na takie prozaiczne sprawy. Szybko żyliśmy, więc smażenie kotletów postanowiliśmy zostawić sobie na później, kiedy się urodzi syn.

Andrzej został zatrzymany w 1998 roku i siedział dwa lata. Podczas widzeń mówił, że kiedy wyjdzie, to spłodzi syna. Pytał, czy tego chcę. Chciałam bardzo. Wyszedł na operację kręgosłupa. Przy okazji wyjaśnię, że nie jest prawdą to, co opowiada Masa, że Słowik skorumpował lekarza i operacja była mistyfikacją. Był naprawdę chory, operację przeszedł.

Andrzej wyszedł 27 czerwca 1999 roku, w dzień moich urodzin. Pojechaliśmy do Juraty. Byliśmy tak bardzo siebie spragnieni. Mieszkaliśmy u Niemczyckiego, w Bryzie, przez tydzień i kochaliśmy się tam non stop na pięknym, atlasowym prześcieradle. Pamiętam, że specjalnie zmieniałam pościel na taką atlasową. No i zaszłam w ciążę. Wróciłam do Warszawy, zrobiłam test, który to potwierdził. I po dziewięciu miesiącach na świat wydałam syna.

ROZDZIAŁ 8

O wielkiej ucieczce, więzieniu Valdemoro i areszcie w Radomiu

Miałam 38 lat, kiedy urodziłam dziecko. Bardzo chciane, wymodlone. Można powiedzieć, że zostałam mamą w wieku dojrzałym. Andrzej miał więcej doświadczeń rodzicielskich. Był przecież ojcem dziewczynki, którą urodziła mu kobieta, z jaką był wcześniej w związku. Dwa tygodnie po przyjściu na świat naszego syna Andrzej obchodził czterdzieste urodziny. Urządził imprezę w jednym z pubów. To było jak rzut na taśmę, bo już zaciskała się pętla wokół wszystkich ważniejszych osób z tak zwanej grupy pruszkowskiej. To Masa, oby żył wiecznie, tasował już wtedy karty jako świadek koronny. Składał zeznania i jednych obciążał, a o innych dyskretnie milczał. Andrzeja szczerze nienawidził, więc to jasne, że starał się go pogrążyć z całych sił.

Nie byłam na tej czterdziestce Andrzeja, bo przecież nasz synek miał kilkanaście dni, kiepsko się czułam po porodzie, po cesarskim cięciu bolały mnie szwy. Siedziałam w domu, zajmowałam się dzieckiem, a wieczorami Andrzej wracał z pracy i prowadziliśmy normalne życie rodzinne. Miał swoją firmę wtedy razem z Zygmuntem R., Raźniaczkiem. Nazywała się Old Star. Organizowali wystawy, handlowali ziemią, jakimiś minerałami, nieruchomościami, samochodami. Wieloma rzeczami się zajmowali, szerokie spektrum działania. Zwykła firma, miała swój NIP, REGON, zatrudniała ludzi, odprowadzała podatki, miała swoją siedzibę.

Któraś dnia Andrzej w interesach wyjechał do Hiszpanii.

Pamiętam, jak stałam na balkonie, trzymałam synka na ręku i machałam Andrzejowi na pożegnanie. Był ładny dzień, dziecko ubrałam w ciekawą czapkę i tak staliśmy na balkonie, a Andrzej się oddalał. Niedługo miał wrócić, wszystko toczyło się normalnie, nie czułam żadnego niepokoju. Dwa czy trzy dni później o szóstej rano wpadli do naszego mieszkania antyterrorysty, czyli tak zwani czarni. Dzieciak płakał, ja byłam przerażona. Powiedziałam im, że nie wiem, gdzie jest Andrzej.

Operacyjnie to było źle przygotowane. Bo tak między Bogiem a prawdą wszyscy doskonale wiedzieli, że nasze dziecko będzie miało chrzciny, a na nie przyjdą wszyscy, którymi policja była zainteresowana. Znana była data i miejsce imprezy. Wystarczyło wtedy się zjawić i wszystkich by wygarnęli i zaprosili, że tak powiem, do kabaryny. Bezboleśnie, ekonomicznie i skutecznie. Dlaczego tego nie zrobili, nie mam pojęcia, ale nie sądzę, żeby wynikało to z delikatności panów policjantów, aby nie psuć rodzinnego święta.

Andrzej wyjechał całkowicie legalnie. Chociaż korzystał z przerwy w odbywaniu kary, nie miał zakazu opuszczania kraju. Nikt mu paszportu nie zabrał. Dowiedział się w Hiszpanii, że część chłopaków już siedzi, a jego ścigają. Sądzę, że wtedy wyłączył telefon i prawdopodobnie go wyrzucił. Zostaliśmy pozbawieni kontaktu na dość długo. Nawet gdybym chciała, to on ze swojej strony na pewno zrobiłby wszystko, żebym się z nim nie skontaktowała. Siłą rzeczy wiedziałam, że będę obserwowana.

Synek wtedy był malutki, dla mnie to był stres nie do wytrzymania. Nie wiedziałam o Andrzeju nic. Ani gdzie jest, ani co planuje. I potem trwało tak długo, długo. Aż kiedyś ktoś podszedł do mnie na ulicy, osoba mi nieznajoma, i powiedział, że Andrzej jest zdrowy i cały, niebawem się do mnie odezwie. Żebym się nie martwiła, spokojnie zajmowała się dzieckiem.

Z Andrzejem spotkałam się wreszcie, kiedy pojechałam na wakacje do Hiszpanii i on do mnie dojechał po prostu. To było na Costa Brava, od Barcelony 45 minut samochodem. Dziecko

zostało z moją mamą i Danusią, pielęgniarką i opiekunką, którą zatrudniałam. To było cudowne spotkanie, Andrzej nie przypominał ściganego zwierza. Raczej zrelaksowany i dość pewny siebie. Jego spokój mi też się udzielił.

Okazało się, że nie siedział wyłącznie w Hiszpanii. Tu go poszukiwali, a on sobie jeździł po całym świecie. Był w Stanach, był w Izraelu. Kolejny raz spotkaliśmy się właśnie w Izraelu, gdzie pojechałam na pielgrzymkę. Potem spotykaliśmy się w różnych miejscach, ale nigdy nie jeździłam z nim z Europy. Ja jechałam gdzieś tam i on tam dojeżdżał. Trochę było w tym dezynwoltury i igrania z losem, ale on mówił, że tak za mną tęskni, iż musi ryzykować, bo inaczej się nie da.

Kiedyś ktoś powiedział, nie będę mówiła kto, szacunek mam do tego pana, byłego komendanta policji, że byli w stanie mnie tylko do granicy doprowadzić, a potem jakoś im zniknęłam. Ale ja specjalnie nie kryłam się z tym, że gdzieś tam jadę. Tylko że oni prawdopodobnie nie mieli środków, aby tam dalej, za granicą, mi towarzyszyć. Nie było to trudne, bo przecież ja nie chodziłam po lasach w trampkach, nie przemierzałam jakichś rzek, oglądając się za plecy, nie kluczyłam i nie gubiłam pogoni. To wszystko fajnie wygląda w filmie, ale ze mną to nie było tak. Wsiadałam w samolot, leciałam, wysiadałam, gdzieś tam się z nim spotykałam i wracałam.

W Hiszpanii Andrzej napisał tę swoją słynną książkę *Skarżyłem się grobowi*. Nie konsultował tego ze mną, sam wpadł na ten pomysł. Dowiedziałam się o tym, kiedy znalazłam w samochodzie dyskietkę z tą książką i z prośbą, żebym ją wydała. Znalazłam wydawcę, książka wyszła, ale zaraz cały nakład został skonfiskowany. Nie wiem, kto pomagał Andrzejowi w pisaniu. Prawdopodobnie ktoś, kto był tam razem z nim. Dostałam książkę już zredagowaną, napisaną, więc ktoś to musiał zrobić. Książka nie spodobała mi się, jej styl jest taki, powiedzmy, średnio dobry, żeby nie powiedzieć zły.

Myślę, że wiem, dlaczego nagle zapragnął zaistnieć jako pisarz. Czuł się odpowiedzialny za tych wszystkich, którzy zostali zatrzymani. Bardzo utożsamia się z przyjaciółmi, ma zakodowaną potrzebę lojalności. W tej książce chciał dać wyraz, że to wszystko, co się dzieje, jest grubymi nićmi szyte. Świeżo stworzono instytucję świadka koronnego, więc trzeba było spektakularnie wejść z nią na rynek jak z nowym produktem, czyli z oprawą marketingową. Chciano pokazać, jak łatwo dzięki świadkowi koronnemu Masie rozbić świat przestępczy. Andrzej chciał zaś pokazać, że ta instytucja jest fałszywa, świadek koronny to osoba niewiarygodna, która nie daje na tacy dowodów, ale pomówienia. Oczywiście myślał, że to coś da, załatwi sprawę, zmieni postrzeganie i poprawi wizerunek jego i jego przyjaciół. Nic nie dało. Nie zostało usłyszane.

Podobnie było z moim udziałem w programie TVN Pod napięciem u Marcina Wrony. Andrzej chciał powiedzieć z wolności, jaka jest jego prawda. Ktoś przyjechał do mnie i powiedział, że Andrzej chciałby tak zrobić, zaistnieć w mediach i powiedzieć, że to nie powinno tak być, nie powinni być aresztowani, że Masa kłamie. Ale wyszło słabo. Ja siedziałam w studio, a Andrzej do mnie zadzwonił. Powiedział, a ja to potwierdziłam, że wcale się nie ukrywa za granicą, ale jest w Polsce, niedaleko od siedziby TVN.

Nie zdążył jednak powiedzieć tego wszystkiego, co zamierzał. Za długo nie mógł mówić, żeby go nie namierzyli. Dlatego rozmowa trwała tylko trzy minuty. Przekaz był nieczytelny. Nikogo nie przekonał.

Trochę poniosła go wyobraźnia i fantazja. To były czasy, kiedy oni wszyscy uważali, że są niezniszczalni i kuloodporni. Andrzej wtedy myślał, że nad niego nie ma większego kozaka, nie wierzył mi, kiedy mu mówiłam, żeby uważał, bo w oceanie zawsze pływa większa ryba. Myślał, że bez końca tak się będzie z nimi bawił w kotka i myszkę, że będzie wszystkich wodził za nos. Jego mołojcka sława będzie trwać wiecznie. Nie docenił przeciwnika. To błąd.

Poszłam do tej telewizji, żeby mu pomóc. To normalne, bo to był czas, kiedy za niego bym się dała pokroić. Było to naiwne, dzisiaj o tym wiem, ale wtedy myślałam, że tak trzeba. Z perspektywy czasu wszystko byśmy zawsze zrobili inaczej, wiadomo.

Ktoś potem mówił, że przez ten telefon Andrzeja do mnie, kiedy byłam na wizji w TVN, został namierzony. To nieprawda. On nigdy nie został namierzony. W Hiszpanii wpadł przez przypadek. Po prostu się znalazł w nieodpowiednim momencie i w nieodpowiednim towarzystwie Zbigniewa S., pseudonim Pyza. To Pyzę namierzono i zatrzymano, a Andrzeja przy okazji. Nawet nie wiedzieli, że go mają, dopiero po badaniach odcisków palców dowiedzieli się, kto wpadł im do sieci.

Myślę, że Andrzej przeszarżował. Powinien zniknąć. Nie powinien pisać książki, telefonować do telewizji. Może gdyby zniknął, rozpułnął się, i gdybym do niego dojechała, tobyśmy gdzieś bezpiecznie żyli. Może prokuraturze wystarczyłby ten „Pruszków”, który schwytali, nam daliby spokój. Andrzej potrafi zarabiać uczciwie pieniądze, w nowym miejscu, nie wiem, w Izraelu, w Ameryce, gdziekolwiek, dałby sobie radę. Ale potoczyło się inaczej przez ten jego charakter byczy, rogaty. On całemu światu chciał pokazać, jakim jest kozakiem. I pokazał.

Tego Pyzę, a przy okazji Andrzeja, dopadli z powodu anteny satelitarnej na domu, w którym mieszkali w miejscowości Casa Gaudia pod Walencją. Gdyby na tym domu, w którym ich zatrzymali, nie zamontowano talerza do odbioru polskiej telewizji, to może by ich nie namierzili. To tak jakby wywiesić polską, biało-czerwoną flagę z napisem „Tu jesteśmy”. Ale i tak prędzej czy później ktoś ścigany zaczyna tracić czujność. Po roku, po dwóch, po trzech. Jeżeli traci czujność i czuje się bezkarny, to jest już tylko kwestią czasu, kiedy wpadnie.

Pytasz, jak się czuje, jak się zachowuje kobieta, która jest w takiej sytuacji. Śmiertelnie zakochana, a mąż w niebezpieczeń-

stwie. Bardzo cierpiałam. Byłam niezwykle mocno emocjonalnie z nim związana, a tu jeszcze dziecko, które było przez nas oboje wymarzone. Przecież zawsze planowałam, że nasz związek będzie oparty na schemacie „mama, tata i dziecko”. Sama pochodziłam z takiej rodziny. Andrzej wyprosił syna na tych pielgrzymkach do Ziemi Świętej. W Ścianę Płaczu wkładał karteczki z prośbą o dziecko, o syna. Kiedy urodziłam zdrowego, fajnego faceta, inteligentnego, ślicznego, wyproszonego, wyblagane- go przez niego, przez nas, Andrzej był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ja też. Para szczęśliwych ludzi.

I nagle mi go zabierają. Ojca naszemu synkowi, mnie męża i przyjaciela. Zostaję sama. Sytuacja mało komfortowa, przyznasz. Więc na twoje pytanie, jak bardzo mocno to przeżyłam, odpowiem, że bardzo, ale byłam twarda, bo już wtedy hartowała się stal.

Opiekunka Danka dowiedziała się z telewizji i natychmiast do mnie zadzwoniła. Powiedziała: Monika, usiądź, Andrzeja aresztowali. Czasem mówi się, że się nogi pod człowiekiem uginają. Pamiętam jak dzisiaj, że zareagowałam klasycznie, dosłownie nogi mi się ugięły, usiadłam pośrodku pokoju na podłodze po turecku. Zdałam sobie sprawę, że od tego dnia będzie już wszystko tylko gorzej.

W Hiszpanii obowiązuje przepis, że zatrzymanego ob-cokrajowca poszukiwanego przez kraj macierzysty można trzymać w areszcie do 90 dni. Potem trzeba przetransportować tę osobę do kraju pochodzenia albo zwolnić, jeżeli wniosek ekstradycyjny nie spełnia wymogów formalnych. Natomiast tam nie rozpatrują zasadności wniosku ekstradycyjnego.

Starłam się udowodnić Hiszpanom, że wniosek nie jest zasadny, ale to była walka z wiatrakami. Jeździłam tam wielokrotnie, załatwiałam adwokatów, dostawałam widzenia z Andrzejem.

Polska prokuratura żądanie ekstradycji oparła na ponad dwudziestu absurdalnych zarzutach.

Udział w zabójstwie, jakieś zlecenia, wymuszenia, Bóg wie co. Chodziło tylko i wyłącznie o wzmocnienie argumentów, żeby Hiszpanie nie zwlekali z decyzją. Potem większość tych zarzutów upadła. Zostały te, które stały się podstawą późniejszego procesu, czyli udział i kierowanie przestępczą grupą zorganizowaną.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Kiedy Słowik siedział w areszcie ekstradycyjnym w Hiszpanii, odwiedzałaś go?

Tak, kilka razy. Przeważnie z synkiem. Kiedyś pojechaliśmy we dwie, ja i żona Pyzy, siedzieli w tym samym więzieniu Valdemoro pod Madrytem, ale rzecz jasna w osobnych celach. Wzięliśmy nasze dzieci, targaliśmy pampersy i cały majdan niezbędny młodym matkom.

Ale przynajmniej raz pojechałaś tam sama.

Tak, dlatego że dostaliśmy zgodę na widzenie intymne.

I skorzystaliście z tej zgody?

Tak, oczywiście. Tam są specjalne cele do widzeń intymnych. Jest ciepła woda, białe ręczniki, czysta pościel, podgrzewana podłoga. O szczegółach mówić chyba nie będziemy, prawda? Valdemoro to ogromne więzienie, taki moloch, ale osadzonych traktują tam humanitarnie. Leży na ogromnym płaskowyżu przypominającym pustynię. Więzienie widać już z daleka, bo wyrasta ponad wszystko wieża ogromna w kształcie baszty. I od tej baszty odchodzą korytarze otoczone murem. Jedzie się do tego więzienia jedyłą drogą przez całkowicie pusty teren, więc nawet nie ma jak uciekać. Nawet gdybyś przeskoczył przez ten mur, to i tak jesteś widoczny dla strażników. Niesamowite więzienie.

Był w swojej celi jedynym Polakiem?

Nie wiem, ale w Valdemoro siedziało zawsze wielu naszych. To bez znaczenia, kogo masz za sąsiada pod celą, bo te cele są pootwierane, mogli się odwiedzać. Kiedy robiło się za gorąco, to dostawali wodę mineralną bez ograniczeń. Na korytarzach stały aparaty z lodami i z papierosami, dostawało się talony na zakupy. Na widzenie intymne Andrzej zamówił jakieś jedzenie, banany i coś do picia. Wiesz, tam wszystko po prostu kompletnie inne.

Kiedy doszło do ekstradycji, ty się z telewizji dowiedziałas, że on już jest w Polsce?

Nie, było zupełnie inaczej. Ja wtedy pojechałam do niego na kolejne widzenie. Wpadłam do jakiegoś sklepu, żeby kupić coś dla małego. Wypatrzyłam superdziecięcy zestawik do kąpieli, taka seria Tweety. Pamiętasz taką kreskówkę o kanarku Tweety? Tam były kacuszki na szczoteczkę do zębów i mydelniczka, on się uwielbiał bawić tym w wanience. I wtedy Andrzej zadzwonił i powiedział, że z widzenia nici, bo jutro rano odlatuje do Polski.

On do Polski, a ty jesteś w Hiszpanii.

Jestem w Hiszpanii. Mogłam wrócić tym samym samolotem co on, bo leciał rejsowym. Od innych pasażerów różnił się tym, że miał obstawę i kajdanki na rękach. Ale nie chciałam, dlatego że pewnie bym tego nie przeżyła. Lecieć obok niego, ale bez możliwości rozmowy. Wybrałam inny samolot i poleciałam przez Amsterdam. Podczas międzylądowania zadzwoniłam do mecenasa i dowiedziałam się, że Andrzej już wylądował w Warszawie. Opowiadano mi, że zszedł po trapie z tego samolotu, spojrzął w niebo, powiedział coś tam pod nosem, splunął i ponownie spojrzął w niebo. Policjanci nawet go nie

wprowadzili do rękawa dla pasażerów, tylko z pasa wsadzili go do radiowozu i zawieźli do aresztu w Radomiu. Tam siedział przez rok, potem przenieśli go na Rakowiecką.

Odwiedziny w Radomiu różniły się od tych hiszpańskich?

Areszt równie ogromny jak zakład w Valdemoro. Ale w środku było inaczej. Na oddział dla niebezpiecznych, gdzie go umieścili, szło się podziemnymi korytarzami. To całe kilometry korytarzy. Potem wchodzisz do takiej celi widzeń, zamykają cię na klucz i czekasz, aż go przyprowadzą drugim wejściem. Czekałam na niego chyba z pół godziny, myślałam, że zwariuję, miałam wtedy już tę odmianę klaustrofobii, lęk przed małymi pomieszczeniami bez okien. Mam coś takiego, w klitkach czuję, że ściany się na mnie wałą.

To jak wytrzymałaś dwa i pół roku w areszcie?

Tam było jedno miejsce, którego śmiertelnie się bałam. Pokój przejściowy, w którym się zamykało osobę, żeby nie chodziła po prostej. Prosta to jest ten korytarz główny, wokół którego toczy się całe życie więzienne, po dwóch stronach są cele. Ta prosta to w żargonie więziennym peronka. Tam się zamykało osoby, kiedy kogoś prowadzono peronką i nie powinno dojść do spotkania tych osób. Strasznie małe to pomieszczenie i bez okna i ja któregoś razu tam trafiłam, oddziałowa mnie zamknęła, mimo że poprosiłam, aby tego nie robiła. Natychmiast zaczęłam się dusić. Ten lęk, jak wyczytałam, może się pojawiać u kobiet po trudnym porodzie. Ale do mojego pobytu za kratami jeszcze dojdziemy. Wróćmy do Andrzeja. Pytałeś o różnice między aresztem w Hiszpanii i w Polsce. Kiedy do Radomia przyjeżdżałam z synkiem, to nie do pomyslenia było, abym mogła wnieść na widzenia jakieś tam pampersy, jakieś picie dla dziecka. Wszystko jest podejrzone, bo w pampersach mogę

przemycić kokainę, a w buteleczce z mlekiem marihuanę. Tutaj każdy jest podejrzany.

Tam nie było takich problemów?

Najmniejszych. Tam po prostu dziecko przechodziło, w razie potrzeby pampersy oczywiście prześwietlano. Nigdy mi nie zwrócono uwagi, że coś jest nie tak.

W Radomiu zgody na widzenia z mężem dostawałaś bez problemu.

Problemów raczej nie miałam. Zgodę wydawał prowadzący śledztwo prokurator Jerzy Mierzewski. Ten sam, który oskarżał domniemany zarząd gangu pruszkowskiego. On kiedyś mi powiedział, że gdyby chciał słuchać wszystkich i wszystkiego, co o mnie mówią, to powinien mnie zamknąć. Nie zrobił tego, bo nie wierzy ślepo we wszystkie zeznania świadków koronnych. Jego głównym świadkiem był wtedy Masa, oby żył wiecznie. Zrozumiałam, że Masa nawet dla prokuratora nie jest do końca wiarygodny. Różne rzeczy na temat pana Mierzewskiego gadano. Był okres, że ja go nie lubiłam, bo zamknął mojego męża, ale teraz, z perspektywy czasu, uważam, że to nie był zły prokurator. Trzeba go zrozumieć, takie były czasy. Na niego też wywierano presję.

Do procesu Andrzeja w gruncie rzeczy nie doszło, bo poszedł na układ z prokuratorem i dobrowolnie poddał się karze. Dlaczego?

Kiedy sądzono „Pruszków” w głównym procesie, Andrzej jeszcze był w Hiszpanii. Potem powstał przeciwko niemu, Jerzemu W., pseudonim Żaba, i Robertowi B., pseudonim Bedzio, osobny akt oskarżenia. Andrzej poddał się dobrowolnie, za co utargował niższy wyrok, sześć lat. Wybrnął honorowo, bo poddał się karze, ale do winy się nie przyznał.

Ale mógł się bronić, walczyć o uniewinnienie. Wyglądało na to, że wybrał taki scenariusz, aby nie kopać się z koniem.

Chyba tak. Czasem brak walki nie jest oznaką słabości, tylko rozsądku. Trzeźwo ocenił sytuację i, jak to się mówi, wycofał się na z góry upatrzone pozycje. Tak bywa, że czasem trzeba odpuścić, popatrzeć, poczekać, aż na szachownicy życia los poukłada może na nowo jakieś figury. I wtedy adekwatnie do tej sytuacji zadziałać. Myślę, że zrobił dobrze.

ROZDZIAŁ 9

O życiu uczuciowym, kolorze majtek i rozstaniu

To nie było tak, że Andrzej dostał wyrok i nasz związek się rozpadł. Rozpadł się, okej, ale po bardzo długim czasie, nie tak od razu. Rozpadał się powoli. Coś się między nami psuło. On był samotny w więzieniu, a ja może jeszcze bardziej samotna na wolności. Każdy widział, że jak zakochana dziewczynka przychodziłam na wszystkie rozprawy w sądzie i szeptałam do niego, wyznawałam miłość, nazywałam moim Słowiczkiem. To nie było na pokaz. Ja go naprawdę kochałam, bardzo go szanowałam, nigdy mnie nie zawiódł, zawsze wiedziałam, że to, co robi, jest po to, żeby nam było dobrze, żebym się czuła bezpiecznie. Andrzej powiedział kiedyś, że gdyby krócej siedział w więzieniu, to prawdopodobnie byśmy się nie rozstali. To życie wymusza pewne rzeczy.

Wiem, jak to wygląda. Każdy powie, że nie powinnam go zostawić w więzieniu. Nie zostawia się mężczyzn w więzieniach. Wiem o tym i myślę tak samo: nie powinnam. A już szczególnie Andrzeja nie powinnam. Zrobiłam mu ogromną krzywdę.

Rozstałam się tak naprawdę z Andrzejem nie po roku jego odsiadki, tylko po kilku ładnych latach. To nie było tak, że dziewczynka się znudziła chłopcem, który ma duży wyrok, i sobie poszła w siną dal. Dziewczynka długo jeszcze jeździła na Rakowiecką, do Radomia. Dziewczynka długo jeździła z kanapkami i tortami na widzenia, z dzieckiem w pieluszkach, potem z dzieckiem już coraz starszym, kilka razy w miesiącu. Dziewczynka sobie długo dawała radę, aż dziewczynka przestała sobie dawać radę, ponieważ życie zaczęło zbierać plon i te

wszystkie harpuny, takie malutkie, które były mi wbijane w plecy, zaczynały mnie po prostu boleć i uwierać.

Andrzejowi też te harpuny były wbijane w plecy. Cały czas były jakieś propozycje nie do odrzucenia pod adresem Andrzeja, że jak nie zacznie współpracować, to wtedy ja się w pewnym momencie znajdę w więzieniu, a nasze dziecko w domu dziecka. Były jakieś wycieczki do aresztu i odwiedziny różnych panów, którzy mówili, że prędzej czy później ja pójdę siedzieć, jeżeli Andrzej się nie złamie. Ciężyłam Andrzejowi, miałam tę świadomość. Ale się nie złamał. Nie złamał się. On się nigdy nie złamie, nie złamał się i nie złamie, taka jest prawda. Natomiast ja wtedy słabłam. Byłam sama i coraz mocniej przestraszona.

Andrzej nie wiedział, że były próby zabicia mnie. Była już cała przygotowana akcja. Czułam, że ktoś za mną jeździ, nie wiedziałam, czy to policja, czy to bandyci. Wywoziłam synka z opiekunką Danusią poza mieszkanie. Potem dowiedziałam się, że bandyci doskonale znali cały rozkład domu, do garażu mieli wejść i w garażu mieli to mi zrobić. Przetrzymać, aż wpłynie okup, a potem mnie zabić po prostu. Liczono, że Andrzej ma gdzieś w słoikach zakopane pieniądze. Kalkulowali na podstawie informacji, które ukazywały się w prasie, że Słowik ma jakieś straszne pieniądze. Skoro ma, to niech on płaci. Do akcji nie doszło, bo jak słyszałam, ci bandyci zostali zatrzymani za inne sprawy.

Wiele rzeczy się działo i dzieje nadal poza mną, a odłamki trafiają we mnie. Potem zdarzyła się taka sytuacja, że ktoś jeździł po Warszawie i zbierał pieniądze podobno dla mnie w imieniu mojego męża. Po prostu wymuszał haracze, powołując się na nas. Dowiedziałam się, kto to jest, i poprosiłam znajomego, żeby w moim imieniu się z tą osobą spotkał i powiedział, że ja wszystko wiem i że ma z tym skończyć, bo wpadnie w kłopoty. Jak nie wyjedzie z Warszawy, zawiadomię policję. Posłuchał i wyjechał.

Żadnych armat wtedy nie miałam, żadnej pomocy w razie zagrożenia. Przecież cały „Pruszków”, wszyscy moi znajomi byli

w tym czasie w więzieniu, a ja nie znałam żadnych innych ludzi, którzy mogliby mnie obronić. Andrzejowi nic nie mówiłam, bo wiedziałam, że wpadłby we wściekłość i mógłby narobić w tym więzieniu głupstw, narazić się na kłopoty.

Czułam się jak taki zaszczuty pies. Pamiętam, że żaliłam się wtedy dziennikarce Ewie Ornackiej, znasz ją, Piotrze, napisaliście wspólnie kilka książek. Mówiłam jej, że jacyś ludzie jeżdżą i zbierają pieniądze w imieniu mojego męża, że chcą mnie rzucić na kolana. Ewka niedawno mi powiedziała, że pamięta tamtą rozmowę i moje oczy zaszczutego człowieka. Bałam się wówczas o życie swojego dziecka, o swoje życie. Było bardzo źle i momentami wręcz panicznie. Nie miałam do kogo iść. Nie chciałam prosić o ratunek policji, bo obawiałam się, że wykorzystają to, aby zdołować Andrzeja. Nie poszłam na policję, nie szukałam ratunku. Wiedziałam, że chcą mnie zabić, ale wzięłam to wszystko na siebie i sama starałam się wszystko ogarnąć.

PIOTR PYTLAKOWSKI: I wtedy pojawił się w twoim życiu Roman O., pseudonim Sproket?

Sproket nie był mężczyzną mojego życia, to jest przypadkowy człowiek, który pojawił się w jakimś momencie. Zupełny przypadek. Pojechałam ze znajomym oglądać mercedesa w salonie w Aninie i akurat właśnie Roman kupował tam w leasingu auto.

Znałaś go wcześniej? Wiedziałaś, kim jest?

Nie znałam, nie słyszałam o nim nawet. I no cóż, on mnie zagadnął, zobaczył dziewczynę opaloną, a lubił kobiety ładne. Nie wiem, czy ja wtedy byłam ładna, widocznie mu się podobałam. Widział mnie taką na szpilach, wylaszczoną, szczupłą, opaloną blondynę albo rudą, nie pamiętam, jaki miałam kolor włosów wtedy. No i zapytał, czy pani się podoba

ten samochód, ja powiedziałam, że tak. I zaczęliśmy rozmawiać. Dobrze mi się z nim gadało. Umówiliśmy się, że spotkamy się na kawie, pogadamy, może jakiś interes wspólny uzgodnimy.

I doszło do spotkania?

Tak. On zaczął mówić, że szuka pracy, ja zapytałam, co umie, a on powiedział, że jest handlowcem, że prowadzi firmę, która zajmuje się windykacją długów, oczywiście wszystko w granicach prawa, ta firma nazywa się Nęka. Nęka to po łacinie rzeźnia, specyficzna nazwa dla firmy windykacyjnej, specyficzne poczucie humoru.

Miał poczucie humoru?

Tak, bo Sproket niewątpliwie jest inteligentny, a tylko ludzie inteligentni mają poczucie humoru. Potem tak się to wszystko zaczęło składać, że go zatrudniłam u siebie w firmie jako kierowcę.

A jaką miałaś firmę?

Miałam firmę z moim kolegą prawnikiem, zajmowała się handlem nieruchomościami, obsługą kredytową i księgową, leasingami. Sproket został kierowcą tej firmy. Nie był moim ochroniarzem, jak piszą media, ale pewne sprawy mi pomagał załatwiać. Na przykład prywatnie woził mnie w moich sprawach. Kiedyś zawiózł mnie, synka i Danusię na wakacje do Zakopanego.

A jak to się stało, że nawiązaliście romans?

Tak w życiu bywa, że - powiem to brutalnie - jak samiec z samicą przebywają długo sam na sam, to czasem się zapominają. A jeszcze ten samiec w miarę wygląda i się zachowuje w

miarę. Nie ukrywam, że mi się podobało, że na wszystkie tematy z nim mogłam porozmawiać. Był szarmancki, elegancki, przystojny. Mnie to w jakiś sposób pasowało, byłam przecież osamotniona. Ale uściślijmy - romansem tego, co się zdarzyło między mną a Sproketem, nie można nazwać. On być może tak to nazywa, ale ja nazywam to trochę inaczej. Nie chciałabym tutaj wdawać się w szczegóły, proszę wybaczyć, chociażby z tego powodu, że Sproket jest teraz świadkiem koronnym w mojej sprawie. Świadczy przeciwko, więc nie mogę odnosić się do spraw procesowo niewygodnych zarówno dla mnie, jak i dla niego.

Jak długo trwały wasze bliskie relacje?

Może rok, może półtora.

Dlaczego się skończyło?

Z kilku powodów. Najpierw nie wiedziałam w ogóle, kto to jest ten Sproket. Podczas jednego z widzeń Andrzej, któremu, rzecz jasna, już doniesiono, że jestem widywana ze Sproketem, spytał, czy wiem, z kim się prowadzam, przecież to jest prawa ręka Masy. To mnie zaskoczyło, bo przecież Andrzej siedział głównie z ręki Masy. Spytałam Sproketa i on powiedział, że oczywiście zna Jarka Masę, ale odcina się od niego i nie utrzymuje kontaktu. Potem jednak przyznał, że robi pewne rzeczy dla Jarka i w jego imieniu. Rzeczy, których Jarek sam robić nie może, bo CBS cały czas przy nim siedzi. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego wszyscy przyjaciele Jarka siedzą, a akurat Sproket nie siedzi. Dlatego powoli zaczęłam jakoś rozluźniać znajomość z nim.

Masa w swojej książce napisał, że Sproket zaczynał dzień od podawania ci futra.

Masa, oby żył wiecznie, ładnie to określił i niezłośliwie wyjątkowo. Tak rzeczywiście było. Nazwijmy więc Romana moim osobistym szatniarzem.

Za to ty jesteś złośliwa.

Trudno, żebym nie była, po tym, co mi ten facet uczynił. Został świadkiem koronnym i naopowiadał o mnie kłamstw, przez które trafiłam za kraty. Zniszczył mi życie. Taka jest prawda. Nie będę mówiła o szczegółach, bo proces się toczy i wiąże mnie tajemnica procesowa.

Świadkiem został wiele lat po waszym rozstaniu. Jak doszło do zerwania tej znajomości?

Roman długo był bardzo przydatny. Woził mnie na sprawy do Andrzeja, woził do aresztu w Radomiu. Andrzej wiedział, że to mój kierowca, to nie była jakaś tajemnica, tym bardziej że jest taki zwyczaj, że jeżeli mąż siedzi, to żonie pomagają inni mężczyźni.

Ale Andrzej wiedział, że to jest człowiek od Masy.

Tak, ale powiedział mi o tym później.

A Sproket zawoził mnie na lotnisko, odbierał, kiedy wracałam z Madrytu. To był normalny człowiek, który mi pomagał. Jak pan prokurator powiedział, że byliśmy ze sobą 24 godziny na dobę - no tak, bo mi było wygodnie, jak ja siedziałam z przodu w mercedesie, a on mnie woził od rana do wieczora i podawał mi futro. Jego żona wiedziała, że on u mnie pracuje, nawet piekła placki pszenne, bo on trenował kulturystykę i się zdrowo odżywił, dawała mu zawsze, mówiąc, że to dla Moniki, bo je lubiłam. Wiedziała, że jeździ, załatwia sprawy, gdzieś ze mną się porusza.

Sproket powiedział kiedyś, że uratowałaś mu życie, zasłoniłaś własną piersią.

Nie uratowałam mu życia, ale ktoś kiedyś mu powiedział, że powinien dziękować Bogu, że jest przy Monice, bo odstrzeliliby go wrogowie Masy.

Twój autorytet miał go uratować?

Nie mój, ale Andrzeja. Fakt, że pracował u mnie, powodował prosty przekaz: tak ma być, że on ma z tą Moniką jeździć. Widocznie jak Andrzej nic nie mówi, to tak ma być, lepiej się nie wtrącać.

Domniemana zgoda Andrzeja.

Domniemana przez nich zgoda. Ponieważ on jest prawą ręką Masy, to może jest tak, że Masa mnie chroni za zgodą Andrzeja i przy pomocy Sproketa. Więc lepiej Sproketa nie ruszać. Jakies cuda powstawały. Piramidy różnych bajek o żelaznym wilku, jak ja to mówię.

Ale jako człowiek Masy był dla ciebie nieco kłopotliwy, jak się domyślam?

Zaczął być postrzegany jako człowiek Masy, z nim nikt nie chciał siadać do stołu, nie chciał mieć do czynienia. Ja się o tym dowiedziałam i zaczęłam go powoli też ze swojego środowiska, swojego życia, ze swojej przestrzeni usuwać.

Przez pewien czas pracował w mojej firmie, ale podpadł, bo nie wykonał zlecenia. Miał przeprowadzić windykację długu, która z jego winy nie doszła do skutku. Odsunęłam go od siebie, a on z biegiem czasu stawał się arogancki, bardzo impulsywny, zaczęła wychodzić z niego prawdziwa natura. Przestało mi się to podobać. Zerwałam kontakt całkowicie.

Muszę opowiedzieć o życiu uczuciowym, żeby nie było nie-domówień. Każdy normalny człowiek, który potrafi przeżywać pozytywne emocje, ma bogate życie uczuciowe. Jak go nie ma, to znaczy, że jest chory psychicznie. Ja jestem całkowicie zdrowa. Miłość jest uczuciem wyższym, które jest obce dla psychopatów.

Przez lata byłam w środowisku może nie psychopatów, ale ludzi bardzo mocno okaleczonych, tak bym powiedziała. Pamiętasz świetny film Zanussiego Barwy ochronne? Trzeba przyjmować barwy ochronne środowiska, w którym się jest i w którym się żyje, żeby móc w ogóle przetrwać. Żyłam w tak trudnym męskim świecie, wtedy jeszcze z zasadami, bo teraz już ich nie ma, w związku z czym musiałam przyjąć ich zasady, stałe fragmenty gry, które gdzieś tam były wpisane. Panowie po swoich stresujących zajęciach w podgrupach szli odreagować na wódkę, a potem biegli do bałaganu. Inaczej mówiąc, bałaganić w agencjach towarzyskich. Niekoniecznie pamiętali, jak miały na imię te panienki, a po wszystkim wracali sobie spokojnie do małżonek już zrelaksowani. I tacy ludzie mają czelność opowiadać o mnie, że miałam tysiące kochanków i jaka byłam rozwiązła.

Ktoś powiedział, że ja żyłam, pokazując majtki całemu światu. Wszyscy wiedzą lepiej, z kim sypiałam, z kim się spotykałam i jaki kolor majtek noszę. Z każdym mężczyzną, do którego się uśmiechałam, który podawał mi futro, otwierał mi drzwi, siedział w restauracji, jadł obiad, według moich prześladowców musiałam sypiać. Otóż nie jestem dziwką, ja sobie wybieram osoby, z którymi chcę sypiać. Niech to będzie jasne dla każdego.

To nie ja pokazywałam światu majtki, ale to świat chciał zobaczyć, w jakim kolorze majtek ja chodzę. To chyba jednak jest ogromna różnica. Żyłam, jak żyłam, nie robiłam nikomu krzywdy. Każdy człowiek ma swoje życie i nikt nie będzie mi mówił, jak ja mam żyć, bo nikt za mnie nie umrze.

Nie ukrywam, że całe życie wołałam obracać się w towarzystwie

mężczyzn, i wcale nie dlatego, żeby chodzić z nimi do łóżka. Lepiej mi się dogaduje z mężczyznami, są konkretni i rzeczowi. Uprawiałam męskie sporty, skakałam ze spadochronem, jeździłam na nartach, nurkowałam, prowadziłam sportowo samochód. Z facetami nadawałam na ich falach. Gadałam z nimi i o dupach, i o samochodach, i o piłce nożnej. Podobało mi się, kiedy po idealnym seksie można było obejrzeć na przykład dobry mecz. Niekoniecznie w łóżku byłam taką świętą Teresą przy zgaszonym świetle. No i się tego nie wstydzę, przecież każdy facet chce mieć taką kobietę w łóżku. I damę, i dziwkę, i matkę, i siostrę, i partnerkę. Wolałam od barchanowej koszuli nocnej czarne pończochy i szpilki w łóżku. Marilyn Monroe mawiała, że szła do łóżka ubrana w odrobinę zapachu Chanel No. 5. Ja ubierałam się w kroplę Thierry Muglera. Jak chodziłam na widzenia do Andrzeja na Rakowiecką, to cały korytarz i widzeniówka pachniały Angel Thierry Muglera.

Oprócz tego, że jestem domniemaną królową życia, to jestem po prostu kobietą z duszą pluszaka do zagłaskania. Uwielbiam się przytulać i być głaskaną, całowaną. Czasem potrzebowałam kogoś, kto mnie przytuli, ale to niekoniecznie kończyło się w łóżku. Opowieści o moich niesamowitych ekscesach łóżkowych to bajki.

Miałam pecha, ponieważ któregoś dnia wpadła rano policja, kiedy spałam w łóżku razem z jednym z dwóch ważnych mężczyzn, którzy w moim życiu się gdzieś tam pojawili. Co można robić rano o szóstej? No, przyzwoity człowiek śpi w swoim łóżku. Mężczyzną był Wadim, o którym opowiem więcej w następnym rozdziale. Łóżko było moje i, na miłość boską, oboje mieliśmy skończone osiemnaście lat, a nawet trochę więcej. Gazety pisały potem o moich łóżkowych ekscesach z Wadimem, o rzekomo znalezionych przez policję seksfilmach z naszym udziałem, które sami mieliśmy kręcić. A prawda jest taka, że o godzinie szóstej przyjechali po Wadima, żeby go zatrzymać, a my spaliśmy w łóżku, koniec kropka. Nie było filmów, nie było ekscesów. Policjanci to nadmuchali i puścili do

mediów. Z tego, co pamiętam, nawet tam kamera wjechała razem z tymi policjantami i pokazywali moją sypialnię, pokazywali szklankę soku jabłkowego o kolorze jacka daniel'sa, który stał na mojej szafce przy łóżku, moje pluszowe niedźwiedzie i jednorożce, i po prostu to było bardzo nieeleganckie. Nie wytoczyłam tym panom żadnego procesu, aczkolwiek mogłam, za zniesławienie, bo przecież pokazywać sypialnię, wybaczenie państwo.

Dzisiaj już wiem, dlaczego to zostało tak rozegrane. W tym czasie przecież Andrzej przebywał w więzieniu na Rakowieckiej. Byliśmy co prawda już po rozwodzie, ale on nadal bardzo przeżywał wszystko, co mnie dotyczyło. Chcieli, aby do niego dotarł ten przekaz z mojej sypialni, żeby dostał kota, żeby wprowadzić go w jakąś furję, bo to oczywiście na pierwszej stronie tabloidu się pojawiło. Po prostu ich to bawiło, ich to podniecało, oni sami prowokowali pewne sytuacje. Jeżeli siedzi mężczyzna w więzieniu i kobieta, która jest matką jego dziecka, zostaje w ten sposób sfilmowana, opisana, to przecież to jest dla niego policzek nie do opisania. Chcieli go zdołować.

W moim życiu było tylko trzech ważnych mężczyzn. Pierwsza wspaniała miłość, o której już trochę wspominałam, to Krzysiek, który prawie został moim mężem. Byliśmy ze sobą kilka lat. Dzięki mnie zdał maturę i dostał się na studia. To była miłość romantyczna i trochę dziecinna, płomienne listy, wspólna gra na gitarze, patrzenie sobie nawzajem w oczy, wspólne wyjazdy nad morze, łażenie po plaży, czytanie wierszy przy księżycu. Razem wyjechaliśmy do Niemiec, do pracy. Pracowałam przez rok na zmywaku we włoskiej knajpie, gary myłam za 1800 marek miesięcznie. On pracował na budowie. Za zarobione wtedy pieniądze kupiłam mieszkanie w Warszawie. A potem tak się potoczyło, że uciekłam sprzed ołtarza i przestaliśmy być razem.

Potem był Andrzej. Zakochał się w moich nogach, w moim do pupy sięgającym białym warkoczku i w moich brązowych oczach.

On miał takie spłoszone, błękitne oczy, ciekawie patrzące, lękliwe trochę. Ładnie się uśmiechał, ładnie chodził, był wtedy taki skromny i wyciszony. Andrzej miał zawsze przepiękne ręce, był ładnie zbudowany, miał taki fajny zarost dwudniowy, który uwielbiam u niego. Silny mężczyzna jednym słowem. No i czułam w nim tę siłę, władzę, potencjał. I niedobrego chłopca też czułam.

Władzę miał nad wszystkimi i nad wszystkim, to mi się podobało. Teraz z perspektywy czasu to był mały Putin. Ale dawał mi poczucie bezpieczeństwa także dlatego, że był słowny. U mężczyzny się liczy dla mnie słowo. Jak już coś powie, to ma to zrobić. Najlepiej, żeby nic nie mówił, jeżeli nie chce tego zrobić. Krętacz odpada całkowicie.

Jeżelibym miała do wyboru bogatego, głupiego chama i biednego intelektualistę z jakimś potencjałem, to oczywiście wybiorę tego intelektualistę z potencjałem, bo z tym człowiekiem można coś zbudować, a z takim debilem to najwyżej można stracić fortunę. W związku z czym ja uważam, że to są cechy, które predysponują mężczyzn do tego, żeby mieli szansę być przy mnie. Absolutnie dyskryminuje mężczyzn, z którymi chciałabym być, na pewno głupota, chamstwo, brak kultury, obycia, jakiejś takiej charyzmy. Cham bez kultury, obycia i charyzmy, pewny siebie bufon z pełnym portfelem, nawet jakby miał platynowego mercedesa ze złotymi klamkami, dla mnie odpada.

Gdyby Andrzej był chamski, bezczelny, głupi, niedelikatny, absolutnie ja bym nigdy z nim nie była. Może bywał szorstki, może bywał obcesowy, ale nigdy nie był egoistyczny. Andrzej miał taką duszę filantropa. Biedakowi zawsze rzuci grosz, potrafi odczuwać empatię. Pamiętam, że kupił dla domu dziecka jakieś pomarańcze i prezenty na Gwiazdkę. Jak wyjeżdżaliśmy kiedyś na pielgrzymkę, zapłacił za pewną zakonnice, bo jej nie było stać. Nigdy nie był chytry, miał lekką rękę, bawił się życiem. Miał dobre cechy i on ma je cały czas.

I jeszcze jedno. Andrzej nigdy pierwszy nie atakuje, on nigdy

nie prowokuje sytuacji, on się jedynie broni, jak ktoś go atakuje.
A o tym trzecim, o Wadimie, opowiem później.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Twoje życie z facetami to pasmo niepowodzeń. Zaczyna się od miłości, a kończy nienawiścią. Czy to w tobie siedzi taki diabełek rogaty?

Z perspektywy czasu uważam, że od mężczyzn trzeba wymagać tylko tyle, na ile ich stać, a nie więcej, nie da się. A ja od nich zawsze chyba za dużo wymagałam. Stąd rozczarowania. I do tej pory mam takie wrażenie, że oni mnie tak po trochu nienawidzą za to, że podświadomie wiedzą, iż chyba byłam od nich lepsza. Nie we wszystkim, ale w wielu, wielu sprawach, wielu sytuacjach dawałam sobie nieźle radę, może lepiej niż oni. I oni mnie nienawidzą też dlatego, że nie wyparowałam całkowicie z ich serc. Cały czas im w duszy gra do mnie. Oni nie dźwigają tego, że nie potrafią sobie z tym poradzić, i nienawidzą też siebie przez to, że nie umieją przestać mnie tak do końca kochać.

Znów się powołam na klasyka. Masa pisze w książce o twoich licznych kochankach, na przykład o pewnym studencie.

Filip? Ale to przyjaciel, kolega. Gdyby wszystkich moich kolegów i znajomych klasyfikować jako moich kochanków, powstałaby cała armia. To nie jest dokładnie tak. To, że Filip spędził u mnie jedną noc, bo miał rano samolot i mu było bliżej do lotniska, to nie znaczy, że był moim kochankiem. Ja też mogłabym powiedzieć z przymrużeniem oka, że wszystkie panie, które jeździły na przednim siedzeniu mercedesa Masy, były jego kochankami. Jest takie powiedzenie, że kiedy mężczyźni spadnie czapka na ulicy, to podniesie i pójdzie dalej, nikt nie zauważy, a kiedy kobiecie spadnie kapelusz, to wszyscy powiedzą, że to dziwka. Ja nie wiem, dlaczego jest taka klasyfikacja, że mężczyzna, który ma dużo kobiet, to jest babiarz

i fajny facet, a kobieta, która ma wielu niekochanków, ale przyjaciół, to jest kurwą. Może spuentuję to przewrotnie, że kobieta też człowiek, ma swoje potrzeby. Mężczyznami, wokół których moje życie się toczyło i toczy, są dzisiaj Andrzej i Wadim. Już na to nic nie poradzę, że tak się z nimi stało, jak się stało. Natomiast wszyscy inni, którzy gdzieś tam byli po drodze, to są moi przyjaciele i znajomi, no więc ja to tak klasyfikuję.

Będąc z Andrzejem, związałaś się z Wadimem. To nie była zdrada?

Andrzeja w moim mniemaniu nigdy nie zdradziłam, bo w sercu nigdy nie przestał być moim mężem. Faktycznie przestał nim być w chwili rozwodu, ale mężczyzną mojego życia jest cały czas. I żeby było trudniej, mężczyzną mojego życia w jakiś sposób jest też Wadim. Tak już jest, widocznie mam takie skomplikowane życie i tak skomplikowaną duszę.

W jaki sposób Andrzej dowiedział się o Wadimie?

Poszłam na widzenie i powiedziałam mu, że się spotykam z Wadimem.

Powiedziałaś, że się zakochałaś w tamtym?

Tak, oczywiście, zakochałam się.

I odkochałaś się w Andrzeju w tym samym czasie? Jak to zrozumieć?

Według mnie jest różnica między zakochaniem się a kochaniem. Zakochanie to jest taki stan, kiedy buzują emocje i hormony, człowiek wariuje. A kochać kogoś to jest zupełnie co innego, tę różnicę czuje się podświadomie.

Czyli można jednocześnie w jednym się zakochać, a drugiego kochać?

Ja myślę, że kochać nie można dwóch mężczyzn naraz. Natomiast można się zauroczyć jednym i przegrać życie z drugim. Po prostu zareagowałam tak jak kobieta, która była już trochę zmęczona. Popełniłam błąd, dzisiaj to wiem.

Czy to wynikało z jakiejś pretensji do Andrzeja?

Nie, to nie była pretensja do Andrzeja, absolutnie nie.

Czyli wyłącznie fascynacja?

Fascynacja. Nie wytrzymałam tej presji czasu i okoliczności. Na moment o Andrzeju zapomniałam, zjawił się Wadim. Tak, po prostu uległam danej chwili. No i dlatego zapłaciłam cenę, jaką zapłaciłam. Nienawidzę hipokryzji. Hipokryzja to jest religia słabych, głupich ludzi. Dlatego mówię otwarcie, stało się to, co się stało, ale przyznaję się do tego, biję się w pierś i ponoszę konsekwencje swojego wyboru, swojego czynu. Tak, stoję przed wami i mówię: Tak, zostawiłam Słowika w więzieniu. Tak, zostawiłam dla Wadima, tak, zrobiłam to, nie powinnam. Tak, mówię to i ponoszę konsekwencje. I teraz pytam: A te panienki, które na prawo i lewo w jakichś hotelikach, brzydko mówiąc, dawały dupy jakimś facetom, to co, uważasz, że one są wszystkie święte? A ci panowie wracają po wielu latach, to co, oni nie wiedzą, co ich żony robiły? Może wiedzą, tylko przymykają na to oczy. Życie dorosłych ludzi to pasmo wybaczenia i kompromisów. Człowiek popełnia błędy i ja też je popełniałam. Tak, zakochałam się w Wadimie, zwariowałam na jego punkcie, poddałam się emocji, poddałam się chwili, zrobiłam to, zostawiłam Andrzeja i teraz ponoszę tego konsekwencje. I jedyne, co teraz można zrobić, to powiedzieć: Tak, zrobiłam to. Nie uciekać w kłamstwo.

Jak zareagował Andrzej, kiedy mu o tym powiedziałaś?

No, źle zareagował. Bardzo źle. Powiedział, że mi jeszcze daje szansę, żebym opamiętała się i ratowała nasze małżeństwo. A mi się coś w głowie poprzestawiało i powiedziałam nie.

Powiedziałaś, że to koniec?

Powiedziałam. I wtedy on powiedział o rozwodzie. Chciał rozwodu, ale dopiero po dwóch latach się rozwiedliśmy. Jakoś tak było, że on raz chciał rozwodu, potem nie chciał. Ze mną było podobnie. Strasznie mocno się szarpaliśmy.

To on chciał tego rozwodu czy ty chciałaś, bo się gubię?

No przecież mówię. On chciał rozwodu. Ja nie chciałam. I zaraz on nie chciał, a ja chciałam. To wszystko się mieszało raz tak, raz siak. Dowozili go na te rozprawy z więzienia w pomarańczowym ubraniu niebezpiecznego więźnia z kajdankami na rękach. Ja sobie wyobrażam, co on przeżywał. Bo ja powiem ci, że też to strasznie przeżywałam. Pani sędzia w pewnym momencie powiedziała, że ona właściwie nie wie, dlaczego my się rozwodzimy. Taka starsza szpakowata pani. Bo państwo tak o sobie dobrze mówicie, że w ogóle nie rozumiem dlaczego - żaliła się. Faktycznie, to była komedia, bo ja mówiłam o Andrzeju, że to najlepszy mąż na świecie i świetny ojciec, a on o mnie, że jestem dobrą żoną i matką. A kiedy jeszcze powiedziałam, że nie chcę żadnych alimentów, że biorę na siebie wychowanie dziecka, to sędzia stwierdziła, że sądzi już tutaj 25 lat, ale coś takiego to pierwszy raz jej się zdarzyło. Pani nie chce alimentów? Ja mówię: Nie, dlatego że ja nie chcę kopać tego człowieka, ja sobie dam radę. Przecież jeszcze wtedy płaciłam alimenty za jego córkę z pierwszego związku. Wpłacałam mu na

wypiskę, żeby z tej wypiski on mógł płacić temu dziecku. Przez pięć dobrych lat utrzymywałam jego córeczkę. Sędzia nie chciała dać nam rozwodu, powiedziała, żebyśmy się zastanowili. Ale w końcu sprawa dobiegła końca, rozwód orzeczony. Przystałam być żoną Andrzeja.

ROZDZIAŁ 10

O charyzmie Wadima, zazdrości i Słowikowej, która sprząta za 50 zł

Wadim, Władek, Wadik, Wadiuła, tak go nazywałam. To Ukrainiec z polskimi korzeniami, były komandos. O kilka lat ode mnie młodszy. Poznałam go, kiedy Andrzej przebywał na Rakowieckiej. Wadim siedział w Radomiu, w tym samym więzieniu, w którym zaraz po ekstradycji z Hiszpanii trzymano Andrzeja. I w czasie, kiedy jeździłam tam do Andrzeja, przebywał tam również Wadim. Zbieg okoliczności, ale nic więcej. Nie znałam go wtedy. Andrzej też go nie znał, siedzieli w tym samym kryminale, ale nie mieli o sobie nawzajem pojęcia. To znaczy Wadim oczywiście słyszał o Słowiku i miał dla niego szacunek, ale na odwrót to nie działało - Andrzej nic o Wadimie i jego historii nie wiedział.

Wadim siedział za kratami długo. Kiedyś zobaczył mnie w telewizji, w tym programie Pod napięciem u Marcina Wrony, gdy broniłam dobrego imienia Słowika. Potem opowiadał, że go zauroczyłam, bo tak ładnie mówiłam o moim mężu i go broniłam. Stałam przy nim jak prawdziwa żona i kobieta, która kocha. Jemu to bardzo zaimponowało. Spodobałam mu się także jako kobieta. Znalazł jakiś wycinek z gazety, gdzie było moje zdjęcie. Wyciął je i nosił na sercu.

Mój telefon dostał od pewnego adwokata. Tak się złożyło, że był to mecenas, który bronił zarówno mojego męża, jak i Wadima. Mecenas zadzwonił do mnie i zapytał, czy może dać mój numer telefonu osobie, która chciałaby ze mną się skontaktować. Nie wiedziałam, czemu ten kontakt ma służyć,

domniemałam, że może chodzi o jakąś prośbę, może o jakąś informację, wtedy siedziało mnóstwo kolegów Andrzeja i moich. Zgodziłam się.

Jakiś wspólny znajomy opowiedział mi później, że Wadim mówił mu o mnie, że zawsze chciał mieć taką kobietę, która by była tak oddana mężczyźnie, która by tak kochała, która tak wygląda, tak ładnie mówi, która ma taką siłę w sobie, taki blask. No, trzeba przyznać, że pięknie mówił, przyjemnie mi było słuchać tej relacji.

I w końcu on do mnie zadzwonił. Od razu poczułam do niego sympatię, miał fajny, męski, ciepły głos. Zapytałam, w jakiej sprawie, a on mówi, że mnie zna, wie, czyją jestem żoną, ma dla mnie szacunek. I czy może czasami do mnie zadzwonić, bo tego potrzebuje, aby z kimś takim jak ja móc porozmawiać. Zgodziłam się oczywiście, dla mnie to żadna fatyga, a skoro temu człowiekowi potrzebna jest rozmowa, to nie ma sprawy, niech dzwoni. Niejednokrotnie dzwoniли do mnie ludzie z więzień, którzy chcieli mi coś powiedzieć, prosili o jakąś pomoc, kupowałam im karty telefoniczne, jakieś wypiski im robiłam, jakieś paczki wysyłałam. Tyle że byli to na ogół znajomi moi lub Andrzeja. A teraz pojawił się tajemniczy ktoś, kogo na oczy nie widziałam.

Telefonował raz na tydzień, potem częściej. Chociaż go nigdy nie widziałam, wyobrażałam sobie, że jest przystojny.

Oceniłam go po głosie, bardzo ciepłym, niskim, z charakterystycznym ukraińskim akcentem. Wadim potrafi pięknie mówić i wiedział, co kobieta chce usłyszeć. A ja najwidoczniej potrzebowałam kogoś takiego, kto mówi trochę inaczej niż Andrzej. Nie chciałam, żeby to się rozwijało w stronę męskodamską, dlatego powiedziałam mu od razu, że przecież wie, iż jestem żoną Andrzeja, więc musi też wiedzieć, że na żadne widzenia do niego nie będę przyjeżdżała. Tak, oczywiście, wie to i rozumie, ale dzwonić może? Dzwon, kiedy chcesz. Kiedyś poprosił mnie o pomoc dla jego brata, który ma problem z jakąś sprawą. I ten brat przyjechał, pomogłam mu. I widzisz, Piotrze,

nawet taki niewinny fakt, załatwienie jakiejś drobnostki bratu faceta, który siedzi w pudle, powoduje, że ludzi zaczyna łączyć coś więcej niż zdawkowa rozmowa telefoniczna.

W końcu nadszedł moment, kiedy koniecznie zapragnęłam zobaczyć, z kim ja rozmawiam. To chyba naturalne? Przez pół roku rozmawiasz przez telefon z kimś i nie wiesz, jak on wygląda. Mnie to korciło.

I pojechałam do tego Radomia. Zobaczyłam go i powiedziałam, że to jeden jedyny raz, kiedy go odwiedzam. Robię to wyłącznie z ciekawości, uściśniemy sobie dłonie, pożegnamy się i na tym koniec. On oczywiście przytakiwał: Tak będzie, Moniko, jak ty zechcesz. Zaraz potem lojalnie powiedziałam o tym Andrzejowi. Potem pojawiły się plotki, że miałam intymne widzenie z Wadimem. Kompletna bzdura, ale Andrzej w nią uwierzył, do tej pory ma do mnie pretensje, że jak ja śmiałam.

No, nie będę ściemniać, Wadim już wtedy mnie zaintrygował. On intryguje wszystkie kobiety, ma taką męską charyzmę. Ale cały czas się bardzo broniłam, wiedziałam, że Andrzej jest moim mężem i muszę być lojalna. I faktycznie więcej na widzenia do Wadima już nie jeździłam.

I potem się stało tak, że on wyszedł na wolność. Przyjechałam do Radomia, przywiozłam go do Warszawy, nie miał gdzie spać i gdzie być, więc zaproponowałam mu, żeby został. Jego rodzice przyjechali, u mnie nocowali. Potem znów przyjechał jego brat. Wadim umiał patrzeć mi głęboko w oczy, trzymać mnie za rękę, tak jak chciałam, i robił to doskonale. No i poszło dalej, pojechało, brzydko mówiąc. Samo życie.

To nie jest tak, że po prostu przespałam się z Wadimem. Między nami zawiązały się jakieś relacje bliższe. Stopniowo oboje zbliżaliśmy się do siebie. To nie jest, ot tak, przespać się, to jest ogromna różnica: wejść w bliskie relacje a przespać się. Te relacje to, mówiąc wprost, uczucia.

Nie potrzebowałam Wadima do przespania się, bo gdybym się chciała przespać, miałabym wielu chętnych. Nie robiłam tego, nie jestem dziwką. Owszem, uwielbiam seks, lubię to robić jak

każda zdrowa, normalna kobieta, ale ja lubię to robić ze swoim facetem w swojej sypialni.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Za co Wadim wtedy siedział?

Z paragrafu o wymuszeniach rozbójniczych.

Zarzucono mu wiele tych wymuszeń. Na przykład napad na pasażerów pociągu relacji Moskwa - Bruksela na Dworcu Wschodnim w 1994 roku.

To była głośna sprawa. Pamiętam, że wybuchł międzynarodowy skandal, bo potem pasażerowie pociągu zbuntowali się, że policja była beczynna. No to policja wzięła się do roboty i uśmierzyła bunt, brutalnie bijąc tych nieszczęsnych podróżnych. Ówczesny rosyjski premier odwołał z tego powodu wizytę w Polsce. Można powiedzieć, że Wadim pojawił się w Polsce z przytupem. Bo on krótko wcześniej do Polski przyjechał z tej swojej Ukrainy.

Dostał też wyrok za kierowanie grupą ściągającą haracze i porywającą ludzi. W sumie 12 lat więzienia.

Ale po apelacji zmniejszyli mu karę łączną do 9 lat. I właśnie ten wyrok odsiadywał, kiedy zaczął do mnie dzwonić z kryminału.

Po tym zdarzeniu na dworcu Wadim uciekł do Wilna.

Mieszkał tam z Ukrainką o imieniu Tamara. Mówił mi, że to była jego największa miłość. I tam doszło do zamachu na Wadima. Zabójca zastukał do mieszkania, które wynajmowali, i zaczął strzelać. Ona od razu padła od strzału w głowę, nie przeżyła tego. W Wadima zabójca wpakował osiem kul. Miał wielkie szczęście, że przeżył. Lekarz, który potem mu wyjmował

te kule, stwierdził, że nie uszkodziły żadnego narządu mięszowego, wszystkie przeszły przez niego jak przez sito, ale jedna utkwiła blisko kręgosłupa i do dzisiaj tam jest. Wadim do tej pory nie może przechodzić badań rezonansem, bo ta kula zakłóca obraz i cały czas się przemieszcza. Otorbiła się, ale jest, widziałam na zdjęciu.

Kim był zabójca?

Podobno było ich dwóch, ale tylko jednego schwytano, Andrzeja K. To był Polak, Wadim go znał z Warszawy, bo tamten udzielał się w grupie, którą według prokuratora Wadim kierował. Ten Andrzej załatwił zresztą Wadimowi jakiś lewy paszport, aby mógł uciec na Litwę i tam się ukrywać. Prawdopodobnie ten Andrzej chciał nie tylko zabić, ale i zabrać Wadimowi pieniądze, a więc tło zdarzenia rabunkowe, tak zresztą uznał sąd, skazując tego człowieka na dożywocie, ale druga instancja zmniejszyła karę do 25 lat więzienia. Na dożywocie skazała go w pierwszej instancji sędzia Barbara Piwnik. Podobno on jej potem groził zemstą. To niebezpieczny człowiek. Kiedyś zadzwonił do Wadima, ja odebrałam, potem dałam telefon Wadimowi. Ten Andrzej groził mu wtedy. Podobno wychodzi na przepustki i stara się o przedterminowe zwolnienie. Za każdym razem, kiedy go wypuszczają poza mury, Wadim jest powiadamiany przez służbę więzienną. Ma się wtedy na baczności, bo nigdy nie wiadomo, co takiemu zabójcy wpadnie do głowy.

Kim był ten drugi, którego nie schwytano?

Podobno mógł to być ojciec albo inny bliski krewny tego Andrzeja. Jakiś czas potem znaleziono jego zwłoki, nosił to samo nazwisko co Andrzej. Oni przyjechali za Wadimem do Wilna, aby go zabić. Taki mieli cel, rabunek przy okazji. Ten Andrzej, jak mówiono, był policyjnym kretem. Jego nadano do grupy Wadima, tej ściągającej haracze. I nie wiadomo, na czyje

polecenie miał zabić Wadima. Może wypełniał jakieś zadanie zlecone przez... aż strach mówić.

Przez policjanta, z którym współpracował?

To ty powiedziałaś. Sprawa była od początku mętna. Wadim był solą w oku niektórych policjantów. Miał wiedzę o korupcji, obawiano się go. Skąd ten Andrzej wiedział, gdzie Wadim mieszka w Wilnie? Kiedy zastukał do drzwi, podeszła do nich Tamara. Spytała, kto puka. On jej odpowiedział. Znała jego głos, uważała go za kolegę Wadima i dlatego bez obaw otworzyła. I stało się, co się stało. Szkoda jej życia.

Słyszałem o innym postrzelonym wielokrotnie, też wyszedł cało, ale dostał potem ksywkę Durszlak.

A propos tego durszlaka, Wadim ma po tych kulach ciało w bliznach, każda wielkości pięciozłotówki. Skóra w miejscu wlotu kul wygląda jak spalona. On ma blizny na ręku, na plecach, na nodze, wszędzie. Osiem wlotowych i siedem wylotowych, bo jedna została w okolicach kręgosłupa.

Kiedy Wadim wychodził z więzienia, miałam zły czas. Przeżywałam dołek psychiczny, do tego dowiedziałam się, że ktoś na mnie poluje, czułam się zagrożona i bezbronna. Do kogo miałam się zwrócić o pomoc? Wadim, kiedy dowiedział się, że jestem osaczana, wpadł w szał. Spotkał się z moimi prześladowcami i wygarnął im, że Monika to żona sztywnego chłopaka, który siedzi, i powinna być chroniona, a nie atakowana. Krzyczał, że pułk wojska ściągnie z Ukrainy i czołgami rozjedzie każdego, kto spróbuje zrobić mi krzywdę. I powiedział coś takiego, co mnie ujęło - to jest żona Słowika, ale i moja kobieta, wara wam od niej. Jego akcja okazała się skuteczna, odzyskałam spokój.

Ja się nie tłumaczę wcale, nie chcę tutaj się wybielać. Zrobiłam, co zrobiłam, bo potrzebowałam kogoś, na kim mogłam się oprzeć i na kim polegać. Trafił się Wadim i przy okazji zakręcił mi w głowie, bo on potrafi idealnie manipulować kobietami. Zmanipulował mnie, ale też przy okazji się we mnie zakochał.

Byliśmy razem. W tym czasie po różnych perturbacjach sąd rozwiązał moje małżeństwo ze Słowikiem. Jestem przekonana, że mój związek z Wadimem przetrwałby próbę czasu i pewnie do dzisiaj bylibyśmy razem, gdyby nie nowe kłopoty. Wadim trafił do aresztu na dwa lata. Zarzucono mu próbę siłowego wymuszenia zwrotu długu od pewnego biznesmena ze wschodniej Polski. Wiem o tym, że sprawa była dęta, a biznesmen nie taki czysty, jak się przedstawiał, bo sama też mam w tej sprawie drobny zarzut. Sprawa nadal toczy się przed tamtejszym sądem.

Kiedy wyszedł z aresztu, okazało się, że jest o mnie zazdrośny, podobnie jak mój poprzedni mąż. Miał pretensje o mojego kolegę, który gdzieś tam koło mnie był. On uważał, że za blisko. Myślał, podobnie jak Andrzej, że ze wszystkimi sypiam. Takie myślenie wynika chyba z ich ogromnych kompleksów. Uważają, że są za słabi, żebym im była wierna? Oni są za mali, za kiepscy, żebym ja nie była w stanie dochować im wierności? Wadim oczywiście słuchał wszystkich naokoło, ale mnie już nie słuchał. Wszystko się wszystkim wybacza, ale mnie się nigdy nic nie wybacza. Mężczyźni mi nigdy nic nie wybacza. Ja mężczyznom wybaczałam wszystko, zdrady, złe zachowanie, krnąbrność, brutalność, wszystko. A oni nigdy w życiu mi nie byli w stanie wybaczyć. Tak naprawdę to oni nigdy nie byli w stanie wybaczyć sobie samym, że nie umieli mnie udźwignąć i do tej pory nie umieją mnie przestać kochać. Tak uważam.

Między nami się rozluźniło. Sytuacja schizofreniczna, bo jednego dnia się rozstawaliśmy, a drugiego wracaliśmy do siebie. On się związał z jakąś kobietą, ale to był dziwny związek, bo bardziej był ze mną niż z tą osobą. Ona wiedziała o mnie i cały czas powtarzała, że tak naprawdę to ona wie, że on kocha mnie,

a nie ją. Po prostu romantyczna komedia.

Dawałam sobie radę bez niego. Miałam jeszcze jakieś swoje oszczędności, sprzedałam działkę w Łodzi, tę po babci, i jakoś funkcjonowałam. Zaczęłam pracować w banku ING. Zrobiłam papiery doradcy handlowo-inwestycyjnego i doradcy kredytowego. Zdałam egzamin, na 100 punktów możliwych zdobyłam 99, dostałam numer służbowy i licencję, przedstawiłam świadectwo niekaralności i dostałam pracę w 13 oddziale ING na Ursynowie.

Więc zaczęłam funkcjonować i zarabiałam normalne, mniejsze lub większe, pieniądze, jakoś koniec z końcem wiązałam. Synek chodził do szkoły. Wadim mi trochę pomagał i chociaż był w związku z tamtą kobietą, cały czas gdzieś tam psychicznie był ze mną. Już nie jako kochanek, ale przyjaciel.

A potem trafiłam do aresztu na dwa i pół roku i nasz związek przeszedł do historii. Ja siedziałam, a Wadim układał sobie życie. Ale o mnie nie zapomniał. Bardzo mi pomagał, bo to jest w gruncie rzeczy dobry człowiek. Takiego go kochałam.

Nie odwiedzał mnie w areszcie, nie był ani razu, natomiast bardzo pomagał mi materialnie, wpłacał mi na wypiski, dbał o moje lekarstwa, o moją higienę, o kosmetyki, o ubrania, woził moją mamę na widzenia, więc naprawdę godnie siedziałam wyłącznie dzięki niemu. Kupił mi telewizor, czajnik, suszarkę do włosów i wiele innych przydatnych kobiecie w areszcie rzeczy. Był przy mnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam, podał mi rękę jak przyjaciel. No i w czasie mojego pobytu tam zostawił tę panią, z którą był wcześniej. Tłumaczył, że musi mi pomagać i że tak naprawdę psychicznie jest ze mną bardziej związany niż z nią. Ale na rok przed moim wyjściem poznał jakąś kolejną dziewczynę, z którą jest do dzisiaj. Życzę mu wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia, jeżeli to nie zabrzmi nazbyt sarkastycznie.

Budzi we mnie emocje nadal. Dlatego jestem zła. Ale zła nie jestem ani na niego, ani na Andrzeja, tylko jestem na siebie zła, że byłam taką idiotką. Że byłam taką kretynką, która myślała, że

jeden i drugi umie mnie kochać. Już przecież powiedziałam, że największym błędem mojego życia byli mężczyźni, którzy nie umieli mnie kochać. Dokonywałam złych wyborów, dlatego jestem zła.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Może oni umieli cię kochać, tylko kochali cię po swojemu, a nie po twojemu, nie na twoich warunkach.

No dobrze, nie umieli mnie kochać na moich warunkach. Ale widocznie kochali mnie za mało. Ja dla nich potrafiłam nauczyć się gotować, sprzątać i pracować, umiałam zrezygnować z pewnych swoich emocji, potrafiłam schować ambicję do kieszeni i przy jednym, i przy drugim. A dlaczego oni tego nie umieli? Widocznie mnie za mało kochali, bo miłość jest odpowiedzialnością, miłość to jest umiejętność kompromisu, miłość to jest wybaczenie, miłość ma się w sercu, a nie między nogami.

Teraz ty jesteś sama, a oni mają swoje partnerki. Przegrałaś.

Tak, przegrałam. Wyszłam najgorzej na tym całym układzie. Jestem sama, a oni mają poukładane życie, jeden i drugi. Mają młodsze od siebie partnerki, a ja, mimo że wyglądam, jak wyglądam, mam swoje 54 lata i jestem sama, a do tego bardzo mocno zraniona. Po tym, co przeżyłam w areszcie, potrzebuję bliskości i ciepła. I tego nie mam. Nie chodzi mi wcale o poranny ani wieczorny seks polegający tylko i wyłącznie na tym, że facet przeleci kobietę i zaśnie.

Za przeproszeniem.

Za przeproszeniem. Potrzebuję partnerstwa i bezpieczeństwa. Nie od byle kogo, ale kogoś na moją miarę. Jeżeli ja się teraz

pojawię w tej nieszczęśliwej Warszawce z jakimś mężczyzną koło siebie, to nie może być jakiś chłopaczek spod budki z piwem, to nie może być byle żigolak, to nie może być amator kapci i ciepłych kluch. To musi być mężczyzna z ikrą i z kręgosłupem, który powie, że jego to nie interesuje, że ja byłam żoną Andrzeja i partnerką Wadima. Jego interesować mam wyłącznie ja. No i jeszcze drobiazg, on musi mnie też umieć sobą zainteresować.

Szukasz nowego partnera czy już znalazłaś?

Gdzieś tam krąży koło mnie taka myśl, że Andrzej nie zdierzy nikogo koło mnie i Wadim to samo. Mają syndrom właścicieli. Dlatego chcę powiedzieć, że ani Wadim, ani Andrzej nie mają nic do mojego życia osobistego. Konia z rzędem temu, kto będzie potrafił stanąć koło mnie i powiedzieć, że w dupie ma Słowika i Wadima. Ale chyba nie ma już takich facetów.

Faceci może są, ale wymagasz od nich nawet nie odwagi, ale bohaterstwa. Taka jasna deklaracja wobec Słowika czy Wadima to szarża pod Somosierrą.

Możliwe, ale jak to się mówi, do odważnych świat należy.

Już żaden z twoich byłych w trudnych chwilach nie wyciąga do ciebie ręki?

Andrzej zwrócił się do przyjaznych mi ludzi i znalazły się pieniądze na kaucję, 120 tysięcy złotych. Dzięki temu wyszłam na wolność. I co najważniejsze dla kobiety i matki - jest wzorowym ojcem. Dba o syna. Wiem, że moje dziecko jest bezpieczne. I dziękuję mu za to.

A Wadim?

Wadim skończył swoją, że tak powiem, działalność chary-

tatywną z chwilą odebrania mnie spod bramy aresztu śledczego i wrócił do ciepłego łóżka, do swojej, no, powiedzmy, kobiety.

I powiedział: Przecież cię nie wezmę do łóżka, przecież ja mam swoją kobietę. Chociaż byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie powiedziała, że na pierwsze tygodnie po wyjściu pożyczył mi samochód i załatwił, że mogłam mieszkać w domu bardzo życzliwych ludzi, którym do tej pory jestem bardzo wdzięczna. Znalazłam doraźną pracę blisko tego miejsca, gdzie mieszkałam, sprzątałam jakieś biuro, zarabiałam po 50, 100 złotych. Taka historia, ta słynna królowa mafii, pani Słowikowa, pracuje jako sprzątaczką. Tak bywa.

Sprzątaczką w platynowym futrze i w nissanie za 900 złotych. Powinnaś mieć ksywkę Paradoks.

Już nie sprzątam, bo złamałam rękę w przegubie i teraz próbuję odzyskać sprawność. Nissana musiałam kupić, bo bez samochodu nie dałabym rady. To wiekowe autko, ale jeszcze jare. A futro to jedyna rzecz, jaka mi pozostała z czasów świetności. Reszta znikła, kiedy siedziałam. Nie mam nic dokumentnie. Syn jest z ojcem, tu przynajmniej mam spokój, bo Andrzej świetnie się nim zajmuje.

Czego żałujesz?

Że zostawiłam Andrzeja, kiedy siedział w więzieniu, nie powinnam tego zrobić.

I dziwisz się, że cię zostawił?

Nie dziwię się, ale mi szkoda, że Andrzej nie potrafił wznieść się ponad to. Mógł powiedzieć do tych swoich kolegów, którzy mu szeptali, że jestem dziwką: Ja was wszystkich chrzanię, kocham ją, będę z nią, to jest matka mojego dziecka i czy nas zdradzała czy nie, to jest wyłącznie moja i jej sprawa.

To nie była jego własna decyzja, ale wyrok środowiska?

Moim zdaniem decyzja kolegialna, a on nie umiał, może nie chciał się przeciwstawić. Ja też nie umiałam z nim tak porozmawiać, aby mnie zrozumiał. Z powodu Wadima byłam na takiej trampolinie i straciłam orientację, w którą stronę się odbić. A poza tym żaden z nich nie umiał, a może nie chciał zabrać mnie ze sobą. Zawsze emocjonalnie podchodzę do życia, to jest największy problem. Ale bez wątpienia nie jestem wyrachowana. Gdyby tak było, tobym teraz mieszkała nie tam, gdzie mieszkam, nie jeździła takim samochodem, jakim jeżdżę. Miałabym willę z basenem, jeździłabym mercedesem najnowszym i bym pieprzyła się w łóżku z facetem, którego nie kocham. Mogłabym tak zrobić, ale wyznam, że nie potrafię.

ROZDZIAŁ 11

O aresztowaniu, kluczu do wolności i pakowaniu mandżuru

Każdy piątek trzynastego jest dla mnie koszmarny. Trzynastego czerwca 2013 roku w piątek o szóstej rano zostałam zatrzymana. Wpadli do domu. Nogi mi się ugięły nie wiedziałam, co się dzieje. Przeczytano mi tyle zarzutów, że zdębiałam, tylko prostytutki brakowało. Prawdziwa królowa mafii. Policjanci zapytali, czy wiem, kto mnie dał, czyli kto mnie obciążył. Nie wiedziałam, skąd miałam wiedzieć. Dopiero potem okazało się, że tym dawcą był Roman O., Sproket.

Na szczęście synka nie było w mieszkaniu, bo gdzieś tam pojechał z Danusią na weekend. Był u mnie kolega, który został również zatrzymany, ale zaraz potem wypuszczony. Spędzał u mnie noc, ale nie ze mną. To ten Filip, który według Masy miał być moim kochankiem. Filip nie jest obywatelem polskim. Młody chłopak, syn mojej koleżanki. On ma obywatelstwo amerykańskie, spał w moim mieszkaniu, bo rano miał odlatywać samolotem z Okęcia.

Zastukali i otworzyłam im drzwi, zobaczyłam kilku tak zwanych czarnych, czyli antyterrorystów, i kilku kryminalnych policjantów w cywilnych ubraniach. Czarni się ewakuowali, kiedy uznali, że żadne ekscesy nie grożą, nie trzeba wyważać drzwi, nikogo obezwładniać, nie grozi obrona Częstochowy.

Z czarnymi już miałam kilkakrotnie do czynienia. Przyjeżdżali do nas wtedy, kiedy był Andrzej i kiedy był Wadim. Ja wtedy miałam broń sportową, berettę, legalną. Mieli w swoich spisach informację, że mam tę berettę, i zawsze ją zabezpieczali. Ktoś mi

poradził, żebym dla świętego spokoju ją zdała, wykreślą z rejestru i za każdą kolejną ich wizytą nie będzie nerwowego zabezpieczania broni, sztuk jeden. I tak zrobiłam. Kiedy wpadli w ten piątek, trzynastego, już jej nie szukali, wiedzieli, że jestem bez broni.

W związku z czym, z całym szacunkiem, panowie policjanci, chapeau bas, wjechali do mnie o szóstej rano grzecznie, taktownie, nie bili, nie kuli, nie popychali. Rycersko się zachowali. Filipowi kazali się wylegitymować, aż usiadł z wrażenia. Chyba go skuli w pewnym momencie. Przestraszył się chłopak Bogu ducha winny, a tu policja we wzorcowej akcji. Zaraz go wypuścili, nie wiem, czy zdążył na swój samolot.

Panowie policjanci i jedna policjantka zachowali się bardzo elegancko. Kiedy wyprowadzali mnie z mieszkania, założyli kajdanki, ale narzucili mi kurtkę, żeby sąsiedzi nie zobaczyli, że jestem prowadzona jak bandyta. Poszliśmy do nieoznakowanego radiowozu, bez koguta na dachu. Wyglądało, że idę przez osiedle do prywatnego samochodu w otoczeniu grupy znajomych. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Kiedy ruszyliśmy, jeden z policjantów chciał włączyć syrenę, ale jego kolega go powstrzymał, mówiąc, żeby dał spokój, panią Monikę trzeba kulturalnie wywieźć z tego osiedla, bez żadnych fajerwerków.

Zawieźli mnie do prokuratury. Tam prokurator stawia mi bardzo dużo różnych zarzutów, piętnaście czy szesnaście, w tym najpoważniejszy, czyli kierowanie przestępczą grupą zorganizowaną. Mówię, że to jest nieprawda, że się do niczego nie przyznaję.

Zarzuty brzmiały dla mnie szokująco. Myślałam, że to jakiś koszmarny sen, przecież ja tego nie zrobiłam, prokurator opisuje inną osobę, nie mnie. Wiem, że więzienia są pełne tak zwanych niewinnych, i znam powiedzenie, że złodziej złapany z ręką w cudzej kieszeni mówi, że to nie jego ręka. Dlatego mam świadomość, że czytelnik może podejrzewać, że kłamie, aby się

wybielić. Oskarżony ma przecież prawo kłamać. To dla mnie matnia bez wyjścia. Cokolwiek powiem, będzie wykorzystane przeciwko mnie. Mimo to mówię twardo: Nie popełniłam zarzucanych mi czynów.

No właśnie, te zarzuty. Główny to kierowanie grupą o charakterze zbrojnym, czyli w slangu kierownica. W ramach tej grupy handel narkotykami, pośredniczenie w sprzedaży narkotyków. Narkotyki są rozbite na kilka zarzutów. Tu pięć kilo, tam kilogram i tak dalej.

Miałam pośredniczyć między sprzedawcą a nabywcą, ale to wszystko jest sformułowane ogólnie, mało konkretnie. Gdzieś tam miałam pośredniczyć, ale tak naprawdę od nikogo nie biorąc narkotyków, nikomu ich nie przekazując i od nikogo nie kasując należności, bo cały czas siedziałam w samochodzie, a procederem zajmował się kto inny. Nie będę wchodzić w szczegóły, bo nie chcę zanudzać.

Na ławie oskarżonych siedzi dużo mężczyzn i jedna kobieta, czyli ja, według prokuratora ich szefowa. Wielkie chłopy i ja, 158 centymetrów. Kiedy myślę o sobie jako o herszcie gangu, zaczynam się śmiać. Ale wtedy, u prokuratora, do śmiechu mi nie było.

Nikt z oskarżonych nie przyznaje się do winy. Wszyscy zostali zatrzymani i trafili przed sąd wyłącznie na podstawie zeznań Sproketa. Były wobec nich stosowane areszty, ale trwały najwyżej kilka miesięcy. Tylko ja siedziałam dwa i pół roku. No wiadomo, wróg publiczny numer jeden!

Tak naprawdę padłam ofiarą złej legendy mojego byłego męża. Według prokuratora, kiedy Andrzej trafił za kraty, ja przejęłam jego interesy i część jego ludzi. W ten sposób grupa rzekomo Andrzeja stała się moją rzekomą grupą.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Słyszysz te wszystkie zarzuty, które przedstawia ci w swoim pokoju prokurator, i jak reagujesz?

Zachowuję się jak głupia. Nie przyznaję się do nich.

Dlaczego głupia?

Bo gdybym się przyznała, prokurator poszedłby ze mną na układ. Powiedział mi, że klucz do wolności jest w moich rękach. Pani Moniko, niech pani powie prawdę. Więc ja mówię prawdę. Mówię prawdę, to znaczy mówię o sobie, o swojej roli w tym wszystkim.

Bo nie znasz roli innych?

Bo nie znam roli innych, swoją znam, więc mówię, jak to było, staram się idiotycznie, beznadziejnie, głupio udowodniać swoją niewinność. Udowadniam, że nie jestem wielbłądem.

Czyli gdybyś się przyznała, nie poszłabyś do aresztu za takie zarzuty? Za kierowanie grupą przestępczą?

Nie wiem, pewnie nie. Może dostałabym nadzwyczajne złagodzenie kary i wyrok w zawieszeniu uzgodniony z prokuratorem. Wystarczyło, abym się przyznała i obciążyła innych. Już mówiłam, że nie mam genu zdrady. A poza tym nie mogłam się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłam.

Pozostali też nie poszli na układ i się nie przyznali.

Nikt się nie przyznaje do winy i ja się nie przyznaję do winy. Ale panowie wychodzą z więzienia, ja siedzę. Potem rusza proces, a świadek Sproket, na którego zeznaniach oparto akt oskarżenia, konfliktuje się z całym światem, z prokuraturą i policją i odmawia zeznań przed sądem.

Trwają z nim jakieś negocjacje, on żąda zmiany ekipy, która go chroni, policja się na to nie zgadza. On się buntuje. Kompletna szopka, ale to ja jestem jej ofiarą, bo siedzę i siedzę, i nic się nie

dzieje. Zaczyna zeznawać tak naprawdę po dwóch latach. A ja siedzę.

W tym czasie ukazują się jakieś sensacyjne artykuły, że Słowikowa przyznała się do winy i udziela obszernych wyjaśnień. To świadome albo nieświadome wystawienie mnie na strzał. W środowisku informacja o składaniu wyjaśnień jest odczytana krótko - konfidencja, Słowikowa daje na innych. Otóż to nieprawda, do niczego się nie przyznałam. Udzieliłam szerokich wyjaśnień, ale dotyczących wyłącznie mojej osoby i w kontekście zarzutów. Miałam głupią nadzieję, że coś to da, że prokurator mi uwierzy albo przynajmniej nabierze wątpliwości. Nic z tych rzeczy. Byłam w takim szoku, że umysł przestał mi działać w tym czasie. Byłam taką kretynką, że nie zdawałam sobie sprawy, że to wszystko jest na zamówienie, żeby zrównoważyć, że za dwa miesiące zostanie wypuszczony z więzienia mój były mąż. Piątego sierpnia został uniewinniony od zarzutu udziału w zabójstwie generała Marka Papały. Ta jego sprawa była kompromitująca dla prokuratury. A tu ja się trafiłam. To okazja, żeby puścić w świat przekaz, że i Słowik, i Słowikowa to jednak złoczyńcy, jedno warte drugiego.

Gdybym się przyznała, wszystko byłoby pozamiatane. Być może liczone, że 52-letnia kobieta w takiej sytuacji, w jakiej byłam wtedy, i materialnej, i życiowej, z niepokojem o syna, który został nagle bez matki i ojca, zamknięta z dwudziestoma zarzutami, pęknie szybko i poprosi o koronę na głowę. Zostanie świadkiem koronnym i zagoni wszystkich za kraty. Z moim byłym mężem na czele. Że go obciążę, że obciążę innych.

Przez chwilę zastanawiałam się, co miałabym powiedzieć, o czym zeznać. Przecież nic nie wiem, jestem niewinna. Pomyślałam, że pewnie prokurator dałby mi jakieś materiały, kazał przeczytać, nauczyć się i na tej podstawie zeznać. Tak się przecież wiele spraw kręciło, słyszałam o tym. W życiu trzeba mieć kręgosłup moralny. Przecież decydując się na przyjęcie statusu świadka koronnego, po prostu byłabym zdrajcą,

moralnie nie byłam w stanie tego udźwignąć. Zdrajcą nie tylko swego środowiska, swoich przyjaciół, swojego męża, przyjaciół mojego męża, z którymi tyle lat byłam w bardzo bliskich kontaktach, ale również zdradziłam siebie, swoje zasady, ja nie byłam w stanie wziąć na siebie takiej odpowiedzialności za życie innych ludzi, przecież ja musiałabym wsadzić ich do więzienia. Musiałabym rozbić rodziny, zabrać dzieciom matki i ojców.

Załatwiłabym sobie wolność, ale jakim kosztem? Co ja bym swojemu dziecku powiedziała, jak dorośnie? Że jego matka jest konfidentką? Ojciec jest tym, kim jest, a matka kim jest? Jeżeli już raz dałam tak potwornie dupy, tak nie wytrzymałam ciśnienia i takie świństwo zrobiłam mojemu mężowi, Andrzejowi, kiedy siedział w więzieniu, to nie mogę być jeszcze świnią tutaj, to by było tak, jakbym się całkowicie przekreśliła.

Wyobraźmy sobie, że biorę tę koronę, idę przez korytarz sądowy w obecności uzbrojonych policjantów w maskach, stoję przed sądem i mówię na ludzi, którzy siedzą na ławie oskarżonych. I jak miałabym spojrzeć im w oczy? Zapadłabym się pod ziemię przed tymi ludźmi.

Wiozą mnie do sądu na sprawę aresztową. Tam załatwiają ją szybko, jak na taśmie produkcyjnej. Przed tym sędzią już leżał wniosek o, jak to się prawniczo nazywa, zastosowanie środka izolacyjnego. Rozprawa była tylko fikcją. Słyszę: trzy miesiące aresztu i nie wiem czemu, naiwnie łapię się tych trzech miesięcy jak koła ratunkowego. Super, po kwartale wyjdę. Mój mózg nie pracuje, jest w potwornym stresie. A przecież doskonale wiem, jak to się odbywa. To nie będą trzy miesiące, tylko to będą kolejne trzy i kolejne trzy, bo przecież nie może być inaczej.

W czasie, kiedy ja stałam tam przed sędzią, mój przyjaciel Wadim u mnie w domu już pakował mi mandżur, to znaczy torbę z rzeczami. Miał doświadczenie, wiedział, co mi spakować. To był taki niezbędny jak na survival. Przede wszystkim miałam spakowane papierosy. Sama nie palę, ale fajki to pieniądze więzienne. Spakował kawę, herbatę, cukier, kosmetyki. Książki

też miałam tam spakowane, bieliznę, skarpetki, sweter. Takich rzeczy jak czajnik, telewizor, suszarka Wadim nie wrzucił do mandżura, bo wiedział, że je uzyskuje się za pomocą talonów, pisze się podanie do dyrektora i dyrektor dekretuje, komu przysługuje talon, komu nie.

Więc ja to wszystko miałam spakowane przez Wadima i już z tym mandżurem przyjechałam na Kamczatkę, czyli do aresztu na ulicy Chłopickiego, na Olszynie Grochowskiej. Jechałam ze świadomością, że to będą tylko trzy miesiące, ciągle w takim potwornym stresie. Wieźli mnie nieoznakowanym radiowozem, traktowali z szacunkiem, nie założyli kajdanek. Patrzyłam wokół i nie widziałam, nie byłam w stanie zebrać myśli. Przejeżdżaliśmy przez jakieś ulice, patrzyłam na tych ludzi stojących na przystankach, na to słońce, które mocno świeciło, ale nic nie widziałam. Nie żegnałam się z tą wolnością, bo po prostu nie miałam świadomości, że w ogóle ją tracę. Staliśmy długo przed tą bramą na Chłopickiego, straszne to więzienie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że ja idę do więzienia, że mnie właśnie zamykają.

A potem nagle wpadłam w potworną panikę i zaczęłam ryczeć, ale te łzy były przejawem nie słabości, tylko złości. Całe życie starałam się sobie radzić ze wszystkim i na ogół radziłam sobie, a tu nagle stanęłam przed ścianą. Byłam bezradna i doszłam do wniosku, że nikt nie jest mi w stanie pomóc, zostałam sama ze sobą. Miałam świadomość, że dziecko moje jest teraz bez ojca i bez matki, Wadim był w związku z inną kobietą, Andrzej w więzieniu, a ja sama ze sobą.

Zrobiłam się taka mała, tak się w sobie skurczyłam. Wjeżdżałam na tego Chłopickiego - jedna brama, druga brama. Tak na zewnątrz to jeszcze ten areszt śledczy jakoś wyglądał, kwiatki rosty, trawniczek zielony, słońce świeciło. Ale po przekroczeniu bramy świat się zmienił. Szaro. To był piątek, kończył się tydzień, w związku z czym wszyscy się spieszyli, przywieźli mnie na koniec dnia i zaczęło się. Obskurne ściany, kraty, szczęk kluczy, bezosobowe szare twarze jak te szare mundury

pracowników więziennych, obdrapane, śmierdzące potem, nikotyną i brudem ściany. Bił z nich ponury smutek i beznadzieja. Tak to widziałam. Trafiłam od razu do magazynu, bo to jest tak, że wchodzisz i zaczynasz wszystko zdawać, co masz. Zostawiasz tam wolność, a dostajesz więzienny ekwipunek. Klamka zapadła.

ROZDZIAŁ 12

O celi 603, rozmowach na oknie i betonie w ścianie

Areszt na Chłopickiego znany jest pod nazwą Kamczatka. Tam jest zawsze zimno. Kamczatka kojarzy się każdemu z zimnem, z końcem świata. Na tej naszej Kamczatce też cały czas jest zimno i też dla dziewczyn, które tam siedzą, to koniec świata. Dalej już nie ma nic, bo przecież za piekłem nie ma nic. Tam jest piekło, dno piekła, kompletna beznadzieja. Tam nawet diabeł chodzi z obstawą. I może dlatego na to miejsce mówią Kamczatka.

Tam się dowiedziałam, jak można przy 30- stopniowym upale na zewnątrz marznąć w środku. Te mury powodują, że masz wrażenie, iż siedzisz w środku w lodówce. To więzienie jest zbudowane na bagnach, na starym cmentarzu, tam w ogóle cały czas straszy, chodzą zmyły po nocach i duszą ludzi. I gdybym tego nie widziała, tobym po prostu oczywiście się z tego śmiała. Mnie bronił mój różaniec, z którym spałam całą noc, i do mnie zmyły nie przyszły. Przychodziły do tych kobiet, które zabijały ludzi, do nich przychodziły, do mnie nie przyszły.

Szłam z mandżurem przez plac apelowy, nieświadoma wszystkiego, co mnie tu czeka. Potykałam się, mandżur mi wypadał. W końcu jedna z oddziałowych zaproponowała, że mi pomoże. To była z jej strony nie tylko uprzejmość, ale i akt odwagi, bo im nie wolno pomagać osadzonym, nosić im rzeczy. Mogła za to zostać ukarana, bo to złamanie regulaminu. Podobno dlatego, że zdarzało się wcześniej, iż w podobnej sytuacji osadzona oczerniała strażniczkę, że ta jej coś ukradła albo zepsuła. Bywają takie perfidne i przewrotne baby.

Kiedy pierwszy raz weszłam na oddział, to miałam naiwne

przekonanie, że za chwilę stąd wyjdę. Ja tu tylko wpadłam na moment. Pewnie dlatego na pierwszy rzut oka ten oddział nie robił na mnie takiego strasznego wrażenia. Wydawało się, że jest schludnie, drzwi do cel były jakieś w miarę nowoczesne, panował porządek, nawet jakieś kwiatki rosły. Nie czułam się tragicznie. Ale tragicznie się poczułam, kiedy zamknęli mnie pod celą i już po prostu nie mogłam stamtąd wyjść. Człowiek skazany na pobyt w miejscu, gdzie nic od niego nie zależy, gdzie nie ma klucza do drzwi, bo tym kluczem kto inny dysponuje, nagle dostrzega swoją nicość. Na tym polega ten tragizm.

Tam jest dokładnie jak w tej piosence Maleńczuka. „Tylko noc, noc, noc, płoną światła ramp, nocny reflektor teren przeczesuje”. Obok bieżą tory kolejowe. Pierwszy pociąg przejeżdża o 4.40, nie musiałam patrzeć na zegarek. Kiedy przejedzie, wiadomo, że zaraz zapalą nam światło, trzeba wstawać. Noc to te tory, gwizd pociągu, potem cisza głęboka, ciężka i taka bolesna, bo taka jest cisza w nocy w więzieniu. Ktoś krzyczy, ktoś kaszle, ktoś klnie. Ktoś chrapie. Ktoś puszcza bąki. Ktoś kogoś morduje, ktoś kogoś gwałci, ktoś komuś robi krzywdę, ktoś sobie robi krzywdę, ktoś sobie podcina żyły, ktoś się wiesza. I w tej ciszy to wszystko słychać.

Miałam wyczulony słuch na kamczackie dźwięki. Więzienie żyje dźwiękami. Bo jesteś zamknięta przez 24 godziny na dobę w pomieszczeniu sześć na cztery metry, bez klamki, z blendą w oknach, gdzie nie widzisz światła, gwiazd, słońca. I chcesz nie chcesz, nauczysz się słuchać więzienia. Będąc tam dwa i pół roku, nauczyłam się słuchania. Ze słuchu wiedziałam, jak klawisz idzie po peronce, po tym korytarzu, wokół którego się więzienne życie toczy.

Cele są zamykane od zewnątrz, od wewnątrz nie ma klamki. Otwierane są przed apelem. Nauczyłam się słuchać kroków, słuchać klucza, kraty, która się otwiera do oddziału, kolejnych drzwi kolejnej celi. To była moja modlitwa zawsze rano, przed apelem.

Zanim jeszcze wjechałam w bramę, to wszyscy wiedzieli na

Kamczatce, że Słowikową zatrzymali, przecież to było medialne zatrzymanie. Tam nie wchodzi się do więzienia, tylko się wjeżdża. I wjeżdża się nie z walizką, tylko z man- dzurem. Może od razu powiem, że drzwi to kłapa, stółek to fikoł, telewizor to szkiełko, może od razu powiem, toaleta to kącik, stół to blat, łóżko to koją albo kolejka, a plater to jest plastikowy zestaw do jedzenia, w skład którego wchodzi talerz, kubek, sztuczne plastikowe, sztuk trzy, plastikowy nóż, plastikowa łyżka i plastikowy widelec. Nienawidzę plastiku.

Kiedy wyszłam na wolność, wzięłam do ręki kieliszek wina z cienkiego szkła i przez 20 minut trzymałam, gapiałam się i podziwiałam tę delikatność materii. Tam cały czas marzyłam o filiżance. Co prawda potem dostałam już szklankę, wywalczyłam talon i mogłam pić ze szklanki, a w tym kubku śmierdzącym trzymałam tylko sztuczne plastikowe. Platerka to jest taka śmierdząca szmata do wycierania tych platerów, tego plastiku, na którym się je. I to się dostaje, taki zestaw osadzonego, jak się wychodzi z magazynu na oddział, do celi. Dwa koce, dwa ręczniki, poduszkę, prześcieradła dwa i na poduszkę małą powłoczkę. Pościel jest zmieniana co dwa tygodnie, a ręczniki co tydzień. One nie zawsze są do ręcznika podobne, bardziej do szmaty do podłogi. Dostałam na wstępie zakrwawioną poduszkę z taką krwią zakrzepłą, którą potem jakimś cudem wymieniłam na czystą, bo to nie jest takie łatwe.

Koce są zdawane, jak ktoś wychodzi z więzienia albo je- dzie w transport do innego więzienia. Nie są prane. Co jakiś czas je się po prostu dezynfekuje, ale prane nie są nigdy. Na tych kocach śpią dziewczyny, które przyjeżdżają z pchłami, z wszami, z gnidami, narkomanki, menelki, wszystkie najgorsze, jakie można sobie wyobrazić. I ten koc potem wraca do tego magazynu i jest na następną dzień dawany komuś nowemu.

Od tych koców dostałam tak silnej alergii, że nie widziałam na oczy i dusiłam się. Nie miałam lekarstw, drapałam oczy, dostałam zapalenia spojówek i z oczu płynęła mi ropa, na głowie porobiły mi się jakieś strupy od nieustannego drapania. I tak

właśnie zaczęło się moje życie na tej Kamczatce.

Kasłałam, dusiłam się, miałam zapalenie nerwu kulszowego, umierałam w nocy, gryzłam koc. Nie chciałam jednak walić na klapę, czyli pukać w drzwi celi, o pomoc, żeby nie okazać, że jestem taka słaba. Więc tylko gryzłam koc z rozpaczy.

Dostawałam zastrzyki tramalalu, które robiła mi pielęgniarka. Była dla mnie uczynna i podchodziła do mnie z szacunkiem. W ogóle muszę powiedzieć, że poza małymi wyjątkami z ogromnym szacunkiem mnie tam przyjęto. Zarówno osadzone, jak i te panie ze służby więziennej. Od magazynu począwszy, przez panie, które pracowały na oddziale, do tych strażników, którzy mnie wyprowadzali na spacer, na widzenia albo do magazynu. Nigdy nie miałam z ich strony jakichś głupich uwag, nigdy nie byłam męczona i dojeżdżana.

Siedziałam na szóstym oddziale aresztu śledczego, Warszawa, Chłopickiego 71a. Przy pełnym obłożeniu siedziało tam 100 kobiet w celach trzyosobowych i pięciosobowych. Te piątki są większe, ale te trójki z kolei są koszmarnie. Na takiej trzyosobowej celi siedziałam prawie pół roku. Ale jest też chyba jedna cela czteroosobowa. Pierwsze pół roku przesiedziałam na tej właśnie celi czteroosobowej. To cela 603.

Cela 603 była celą elitarną, VIP-owską według mnie. To była moja pierwsza i ostatnia cela, bo mieszkałam w niej na początku, a potem wróciłam i to z niej wypuścili mnie na wolność. Na początku trafiłam do tej celi dzięki Harry'emu, naszemu wychowawcy. Na imię miał Przemek, ale nazywałyśmy go Harry. Nie od Clinta Eastwooda jako Brudnego Harry'ego, ale od Harry'ego Pottera, bo chodził w charakterystycznych okularach i był niewielkiego wzrostu. Bardzo przyzwoity człowiek.

Byłam zakwalifikowana jako niebezpieczna, bo wjechałam z zarzutami kierowania grupą o charakterze zbrojnym. Słowem razem ze mną na Kamczatkę wjechała legenda Słowikowej,

królowej mafii. Ale tu siedziałam w warunkach śledczych, areszt nie miał specjalnego oddziału dla niebezpiecznych, a nawet specjalnej celi. Jako enka byłam poddana pewnym rygorom szczególnym. Na spacemik mogłam chodzić wyłącznie z dziewczynami z mojej celi i tylko wtedy, gdy był pusty. Do magazynu czy do lekarza prowadzono mnie zawsze indywidualnie, kiedy peronką żadna inna osadzona nie przechodziła.

Wychowawca Harry zdawał sobie sprawę, że ja bardzo mocno przeżywam aresztowanie. Był chyba dobrym psychologiem i widział, że ja jestem trochę inna od większości dziewczyn. Myślę, że zauważył, iż jestem osobą wrażliwą, chociaż w tamtych warunkach musiałam wtopić się w tło i nabrać twardej skóry. Musiałam poddać się zwyczajom Kamczatki, używać właściwego dla tego miejsca języka. To on wybrał dla mnie celę 603, chociaż Bogiem a prawdą to ja mu zasugerowałam, za radą mojej znajomej, takiej Anki. Powiedziała mi, żebym szła do celi dla palących. Powiedziała, że niepalące to są oszołomki, psychopatki, schizofreniczki i narkomanki. Zawsze na oddziale są dwie lub trzy cele niepalące i tam akurat w tym czasie, bo przecież nie zawsze tak jest, umieścili te, bez urazy, pokręcone kobiety. Anka przypuszczała, że jak zgłoszę, że chcę dla palących, to mnie rzucają na celę 603, a tam siedziała jej przyjaciółka. Były zamknięte do jednej sprawy.

Poszłam do Harry'ego, powiedziałam, że chcę do palących, i przydzielił mnie do celi 603. Wszystko odbyło się tak, jak przewidziała Anka. Miała doświadczenie, już tam sporo, mówiąc slangiem więziennym, garowała.

Ta cela była ekskluzywna, jeżeli chodzi o towarzystwo, ale miała swoją wadę. Cele na Chłopickiego są jakby na dwie strony świata. Na jedną stronę są cele pięcioosobowe, a na drugą te mniejsze cele, słońce nie dochodzi do nich w ogóle. I 603 była właśnie na mroczną stronę. Cella potwornie pod jednym względem tragiczna, bo zimna, narożna. Zimą spałam tam pod trzema kocami w dwóch parach skarpetek, w bieliinie, w dresie

polarowym, w czapce na głowie, w rękawiczkach i w szaliku. W pewnym momencie pomyślałam, że jeszcze włożę adidas i będzie mi ciepło.

To nie ja spotkałam na Kamczatce Ankę, to ona mnie znalazła. Każdy, kto wjeżdża na oddział, pierwszy tydzień przebywa na tak zwanej przejściówce, gdzie człowieka sprawdzają i nieustannie obserwują, bo w celi przejściowej siedzi się pod kamerami. W tym czasie przeprowadzają badania, testy psychologiczne, rozmowy i robią rentgena, czy nie masz gruźlicy. Natomiast, co według mnie jest karygodne, nie bada się pod kątem HBs, HCV czy AIDS. Przebywając 24 godziny na dobę na przykład z nosicielkami różnych świństw, można się przecież tym zarazić. Po wyjściu natychmiast robiłam wszystkie badania. Na szczęście niczego nie przywlokłam. Po prostu przestrzegałam higieny, miałam swoje sztućce w określonym miejscu, starałam się nie skaleczyć.

Przebywałam na przejściówce, kiedy Anka się do mnie odezwała. Przepukała do mnie. Tam jest taki system porozumiewania się. Puka się przez ścianę albo kaloryfer, a krzyczy się przez okno. Otwiera się okno i rozmawia z górą, z dołem i z bokami. Nie widzisz rozmówcy, słyszysz tylko jego głos. To się nazywa rozmową na oknach.

Anka do mnie przepukała, kiedy usłyszała mój płacz. Płakałam, bo byłam przerażona tym wszystkim. Musiałam ryczeć głośno, rozpaczliwie. Wtedy usłyszałam pukanie, otworzyłam okno i słyszę: „Siema, Słowikowa, kto tak płacze w twojej celi?”

Mówię, że to ja płaczę, bo wkurzona jestem na cały świat, że mnie zamknęli. Pierwszy raz siedzę w więzieniu i, kurwa, nie wiem, o co chodzi tutaj, nie wiem, jak dam radę. Płaczę tak, wyję, bo nie wiem, co z dzieckiem. Bo ja płakałam wtedy naprawdę ze złości. I płakałam też z zamknięcia. I pytanie zza ściany: „Wiesz, z kim nawijasz?”. Okazało się, że to Anka, koleżanka mojego znajomego. Ona już otrzaskana w bojach

zauważyła, że i tak się długo utrzymałam, mam tyle lat, co mam, a tym wjazdem na Kamczatkę zadebiutowałam. Ona tu już siedzi rok. I nie po raz pierwszy.

Poradziła, żebym starała się nie wpadać w panikę i nie histeryzować. I użyła takiego charakterystycznego dla tego środowiska stwierdzenia: „Nie przynoś wstydu rodzinie”.

Chyba nie przyniosłam, wzięłam się w garść. Anka mi w tym pomogła.

Siedziałam wtedy na tych oknach, złapałam się kraty, za tą kratą jeszcze jest taka siatka mniejsza i za tym wpasowana blenda plastikowa, która chroni przed światłem i świeżym powietrzem. Nie widzisz nieba, nie widzisz gwiazd, niczego.

Złapałam się tych krat, usiadłam, jakbym chciała łapać fragmenty słońca i powietrza. Oczywiście natychmiast kłapa się otworzyła i oddziałowa nakazała mi zejść z okna! Nie wolno siedzieć na oknie! Nie rozmawiać z nikim! To była jedna z moich ulubionych oddziałowych, potem urodziła dziecko i poszła na urlop macierzyński. Zaczęłam ją błagać, aby na chwilę zostawiła drzwi uchylone, bo się dusiłam. Z tych nerwów i braku powietrza. Usłyszałam, że nie można, a ja miałam wrażenie, że mi za chwilę eksplodują płuca.

Przejściówka to było pomieszczenie dziesięć na cztery, ale nie metrów, tylko moich kroków. Wymierzyłam dokładnie. Akurat wtedy tylko we trzy tam siedziałyśmy. I na szczęście takie normalne dziewczyny.

Anka mnie nauczyła, jak żyć za kratami. Tych wszystkich sposobów na przetrwanie. Na przykład jak podawać chęty. Powiedziała, że mi przekaże coś do kąpieli, bo jakiegoś detalu zapomniałam, to znaczy Wadim mi nie spakował. Zdziwiłam się, jak mi przekaże, skoro siedzimy osobno i na spacerach też chodzimy osobno. Moni, posiedzisz dłużej, będziesz wiedziała - roześmiała się. No i potem rzeczywiście się dowiedziałam, że w więzieniu można wszystko zrobić, trzeba tylko wiedzieć jak. Nie

ma rzeczy niemożliwych.

Chabety to podawanie sobie różnych przedmiotów z okna do okna. Między blendą a kratami przez szparę szeroką na dwa centymetry można przepchnąć kilo kawy albo kilo tytoniu. Chabetą na górze, czyli za pomocą sznurka spuszczanego jak wędka z górnego piętra na dolne, Anka podała mi w jakiś przemyślny sposób klapki i płyny do kąpieli.

Ania jeszcze do tej pory jest na Kamczatce. Mogłaby wyjść, bo wyznaczono jej kaucję, ale nie miał kto jej zapłacić. Jest żoną jednego z tych ważnych chłopaków i ona właściwie siedziała za jego sprawę. Jej mąż też siedzi. Był na przerwie kary, przychodził do niej na widzenia, potem znowu wrócił do więzienia. Szkoda mi jej, bo to jest bardzo przyzwoita, fajna dziewczyna, pozdrawiam, jeżeli będzie czytała te słowa. Bardzo mi pomogła i psychicznie, i życiowo.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Cela 603 przyniosła ci szczęście?

I szczęście, i pecha, bo to się zawsze miesza. Rzucił mnie tam wychowawca Harry, on doskonale wiedział, że nie może mnie wrzucić do brudnej celi, w tym sensie, że z narkomankami. Zresztą ja go prosiłam, żeby mnie dał do takich normalnych dziewczyn. Widział, że ja psychicznie się sypię.

Dostałam nawet od psychologa leki antydepresyjne i byłam na nich bardzo długo, ponad sześć miesięcy. Dlatego rzucił mnie na tę celę.

Z kim tam siedziałaś?

Dobre, chociaż nieszczęśliwe dziewczyny. Dwie z artykułu 148, czyli zabójczynie. Jedna z nich była Rosjanką.

Co zrobiła?

Zabiła swojego męża. Zadźgała go nożem.

Awantura domowa?

Nie wiem, jak to było, kto był winien, nie osądzam. Dostała 15 lat. Była też druga z tego paragrafu, taka dziewczyna, właściwie kobieta, bo prawie moja równolatka. Też kogoś miała na sumieniu, no i potem też dostała 15 lat i pojechała na oddział karny, czyli dla skazanych, piętro wyżej. To był mój początek w celi 603, dwie dziewczyny, zabójczynie. Potraktowały mnie z szacunkiem, dały mi koję na dole.

Sąsiadki ci się zmieniały?

Tam cały czas wszystko się tasuje, ludźmi rotują, żeby się, nomen omen, nie zasiedzieli. Potem były dwie dziewczyny za narkotyki. Jedna za handel marihuaną i kokainą, druga za Kolumbię, że przywiozła chyba pięć kilogramów w bagażu. On była nadana do rewizji. Przewoziła towar drugi czy trzeci raz i ją po prostu sprzedali po to, żeby może się gdzieś tam wybielić i przewieźć więcej tego koksu bezpiecznie. Po pół roku rozbili tę celę.

Rozbili? Rozumiem, że wymienili lokatorki?

Tak jak mówiłam, tam jest taki zwyczaj, że się nie siedzi zbyt długo pod jedną celą, żeby nie tworzyć subkultury więziennej, żeby ze sobą się nie zaprzyjaźniać. Potem doszłam do wniosku, że jest to korzystne dla osadzonych, a przynajmniej dla mnie była to metoda na przeżycie. Tam człowiek sobie charakter formuje. Jak się zaczynasz przyzwyczajać do osób czy miejsca, to źle, nie wolno się przyzwyczajać. Tam nie wolno się przyzwyczajać do nikogo. A ja cechowałam się na wolności taką emocjonalną więzią. Przyzwyczajam się do ludzi, do miejsc, do facetów niestety też. I to była pierwsza cecha, z którą sobie musiałam poradzić. Potem, z biegiem czasu, to już zaczynasz nad tym panować. Może dzięki temu, że cele są takie same,

przenoszą cię z celi na celę, to masz wrażenie, że siedzisz cały czas w tej samej. Bo są takie same łóżka, mogą być brudniejsze lub brzydsze, może być kibel bardziej rozwalony niż mniej, ale to wszystko jest takie samo. Nawet traciłam czasami rozeznanie, gdzie ja akurat jestem, w której celi.

Dlaczego nie wolno się przyzwyczajać? Bo się tworzy jakaś niedobra więź?

Tworzy się więź, tworzą się związki cztero- , pięcioosobowe, a to jest już jakieś zagrożenie dla funkcjonowania więzienia. Ja też tak myślałam, że to dobrze, że ludzie się ze sobą żyją. Zadałam pytanie pani psycholog i Harry'emu: Dlaczego wy to robicie, dlaczego rozbijacie dobre cele, gdzie ludzie funkcjonują ze sobą, przecież dzięki temu macie spokój na oddziale? Odpowiedzieli, że to nie tak. Istotę rzeczy zrozumieć po pewnym czasie. To rozbijanie jest dla naszego dobra. Faktycznie, potem zrozumiałam i przyznałam im rację. Człowiek zaczyna być po pewnym czasie homo homini lupus est, człowiek człowiekowi wilkiem. Kogoś lubisz, a potem zaczyna cię drażnić i już nienawidzisz. Tak to jest w zamknięciu. Źle postawił szklankę, kaszlnął nie w porę, źle się uczesał, źle wstał, źle oddychał.

Syndrom starego małżeństwa.

Na takiej zasadzie. A zmieniając cele, trafiasz w różne środowiska, zaczynasz siłą rzeczy wytwarzać w sobie takie obronne instynkty na różne okoliczności. Na wariatki, schizofreniczki, na zбочeńców, na lesbijki, nawet na chore na AIDS.

Nabierasz twardości?

Tak, służba więzienna, rotując ludźmi, przygotowuje na pobyt dłuższy albo krótszy, bo przecież w areszcie nie wiedzą, jaki

będziesz miał wyrok. Musisz się nauczyć, jak sobie radzić w każdej celi z każdym człowiekiem, którego tam spotkasz. Moje pierwsze wyjście z celi 603 to była tragedia, płakałam, przeżywałam, nie chciałam. Dali mnie na pięciosobową celę na drugą stronę burty, tam, gdzie nie było już tak zimno i nie było tak ciemno, ale dziewczyny nowe. Przyzwyczaiałam się, co z tego, że nowe i inne. Zrozumiałam, że z każdym trzeba umieć się dogadać, co nie oznacza, że podporządkowując się komuś. Trzeba zawsze być sobą, chodzić we własnej skórze. Jak człowiek już nie może czegoś zdzierżyć, chowa się w kąciaku sanitarnym. No, w kłopie, mówiąc wprost.

Na kibelku się człowiek wycisza?

To odpowiednie miejsce. Wyciszanie to może nieadekwatne określenie, bo jak się tam szło, to się pogłasniało beton. Beton albo betoniara to jest takie radio wmontowane w ścianę, które gra ci non stop. Idziesz do kącika, betoniara musi grać głośniejsz, żeby ukryć dźwięki, jakie wydajesz na kibelku. W tym dziwnym miejscu potem nauczyłam się myć. Nie wiedziałam wcześniej, że to możliwe, aby umyć się na powierzchni nieprzekraczającej metra. A ja się tam myłam.

Tam jest umywalka?

Nie, umywalka jest w celi, nieosłonięta, natomiast kibel jest za drzwiami. Jak siedzisz na kiblu, dotykasz czołem drzwi. Ale na kiblu możesz postawić miednicę i się podmyć albo umyć sobie pachy, nogi, twarz. Strasznie mało miejsca.

No to po co tam, skoro jest umywalka?

Jak to po co? W umywalce płuczesz się publicznie, na widoku pozostałych, a na kiblu masz intymność. Wnosisz do kibla miednicę z wodą nalaną z kranu nad umywalką. Woda jest dwa

razy dziennie ciepła przez 20 minut, rano i wieczorem, musi starczyć na pięć kobiet. Dlatego trzeba dodatkowo grzać sobie wodę czajnikiem, a czajnik jest jeden na celę.

Wybuchają kłótnie o czajnik?

Zdarza się taki baran, który ma czajnik, jeden na celę, i nie używa, bo się czajnik zepsuje. Czajnik jest tam w ogóle jak milion dolarów na koncie, cenna rzecz. Nie każdy miał talon, żeby kupić, albo jak miał talon, to nie miał pieniędzy. Ja miałam zawsze swój czajnik dzięki Wadimowi i tu chylę czoła, bo dzięki Wadimowi, podkreślam, przeżyłam to więzienie.

Finansowo, materialnie, psychicznie przeżyłam tam dzięki Władisławowi S., pseudonim Wadim, który dbał o mnie, żebym miała na wypiskę, żebym godnie siedziała, żebym miała ciuchy czyste i nowe, lekarstwa, żeby mama była na widzeniu, bo ją przywoził i odwoził. Tak, dzięki pomocy Wadima mogłam godnie siedzieć.

Więzienie druzgocze życie każdego, po prostu zostawia zgliszcza. Ja wyszłam z więzienia i zastałam zgliszcza mojego życia. Dzięki Panu Bogu i opatrności wyszłam po dwóch latach i pięciu miesiącach, gdyby było dłużej, to nie wiem, czybym była w stanie się ogarnąć ze wszystkim.

Cela 603 dlatego była VIP-owska, bo jako jedyna miała własną łazienkę. To była cela przystosowana dla niepełnosprawnych, ja tam siedziałam tylko dlatego, że akurat nie było niepełnosprawnych dziewczyn na oddziale.

Łazienka to może za dużo powiedziane, bo nie było tam prysznic. Był sedes i umywalka. Ale powierzchnia wystarczająca, można było wejść, swobodnie się rozebrać, nikt na ciebie nie patrzył. Miednicę można było postawić na ziemi, nie na kiblu. Wchodziło się w tę miednicę, polewało wodą z umywalki i nikt na ciebie nie patrzył.

Dodatkowo był tam kaloryfer, gdzie mogłeś powiesić pranie. Miałam luksus, miałam VIP-owską celę. Dbałam, żeby było tam zawsze czysto, kupowałam środki czystości i toaletowe. Państwo daje osadzonym podpaski, mydło, szampon do włosów, płyn do mycia toalety i proszek do prania, ale w znikomych ilościach. Zawsze oddawałam przydział współosadzonym, to często były dziewczyny, które nie miały nic, biedne, bez pomocy z zewnątrz. Oddawałam im, żeby one miały więcej podpasek, papieru toaletowego i tego mydła szarego, brzydko pachnącego, ale jednak mydła. Tam wszystko jest na wagę złota.

Dzięki Wadimowi kupowałam sobie po prostu to, co mi było potrzebne, z wypiski. Wpłacano mi pieniądze na moje imienne konto i z tego konta mogłam trzy razy w tygodniu robić sobie zapotrzebowanie, które było przynoszone pod celę. Z wypiski można było kupować dużo rzeczy. Na przykład picie, owoce, warzywa, puszki, wędlinę, ale najważniejsze były te mydła, kosmetyki i szampony, bo one pozwalały kobiecie zachować jeszcze odrobinę godności.

I ta cela była VIP-owska, bo miała łazienkę, a była tragiczna z powodu panującego w niej zimna i ciemności. Dużo czytałam i czułam, jak słabnie mi wzrok. Światło było, ale sztuczne i słabe. Lampki nocnej nie miałam. Sztuczne światło potrzebne było nawet w dzień, bo jak mówiłam, słońce tam nie docierało. Dostałam wysypu pieprzyków na skórze, ponieważ nie miałam światła, a godzina dziennie spaceru nie wystarczała organizmowi, aby naładować te słoneczne akumulatory. Pod wpływem sztucznego światła traciłam pigment. Na noc światło wyłączano i co godzinę ze względów bezpieczeństwa zapalano je na trzy, cztery minuty. Zaglądali wtedy przez kukieł, czyli wizjer, czy ktoś się nie powiesił albo czy ktoś komuś nie zrobił krzywdy. Oczywiście to troska pozorowana, bo jak ktoś kogoś chce zabić albo chce się powiesić, to zrobi to i nikt mu nie przeszkodzi.

Wyobraźmy sobie sytuację, że całe więzienie śpi i nagle ktoś chce się powiesić. Tam teoretycznie nie można pod celą mieć nic niebezpiecznego, żadnych sznurków czy ostrych

przedmiotów. Ale każdy tam wie, że można się powiesić na wszystkim. Na prześcieradle czy na ręczniku. Nawet jak będzie co godzinę zapalane światło. Chcę się powiesić, to nasłuchuję. Słyszę kroki, zapala się światło, oczy przez kukieł. Światło gaśnie, kroki odchodzą, mam spokój na godzinę. I wtedy się wieszam albo podcinam sobie żyły. Robię to w kącie sanitarnym. Albo się wieszam na kolejce, czyli na łóżku, i nikt nie zdąży mnie uratować, bo wszyscy będą spali, nikogo nie będzie interesowało, że ja się wieszam, bo każdy tylko myśli o tym, żeby samemu przeżyć. Tam jest tak, że jak ktoś komuś mówi, że się powiesi, to na ogół słyszy: Zrób to jak najszybciej i najciszej, żebyś mi nie przeszkadzała, jak będę spała. Tam nikogo nie interesuje, że umierasz. To jest więzienie, a nie pensyjka dla grzecznych dziewczynek.

Jak się chce podciąć sobie żyły, wystarczy wyłamać kawałek maszynki do golenia, bo można takie maszynki jednorazowe kupować. Wystarczy ostrze wyjąć, a potem wystarczy sekunda, by sobie podciąć na przykład tętnicę szyjną. Twoja cała krew wypływa w trzy minuty.

ROZDZIAŁ 13

O zapłakanej poduszce, ataku fikołem i otwieraniu klapy

Stworzyłam sobie myśl o samobójstwie. To była dobra myśl, bo dała mi prawo wyboru. Brak wolności jest brakiem wyboru, to główna dolegliwość odosobnienia w więzieniu. Brak wolności to nie jest zamknięcie, bo zamykają fizycznie tylko twoje ciało. Ale brak wyboru jest gorszy od zamknięcia w celi. Starłam się tworzyć sobie wybory, to była taka moja ucieczka na wolność. W psychice sobie tworzyłam wolność, bo wolność to jest stan umysłu. I stworzyłam ten wybór między życiem a śmiercią. Wiedziałam, że tylko ode mnie zależy sposób wyjścia z Kamczatki, sama dokonam wyboru. I zawsze będę mogła wyjść po swojemu, w worku, nogami do przodu. Stworzyłam sobie takie koło ratunkowe.

Nie skorzystałam z tego koła, ale sama myśl mnie uspokajała. Nie wolno pozwolić, aby odebrali ci wolność myśli. To, jak myślisz i o czym myślisz, kształtuje twoje czyny. A twoje czyny kształtują twoją rzeczywistość, a twoja rzeczywistość kształtuje twoje życie. I nie pozwól im wejść do środka twojej duszy. Ty jesteś zamknięta pod celą, a oni po drugiej stronie klapy. Oni mają klucz do klapy, ale nie mają dostępu do twoich myśli. Oni, czyli prokurator, sąd, oddziałowa, policjant. Ludzie pozbawieni swobody myślenia i dokonywania wyborów są zniewoleni. Dlatego bardzo często wracają do więzienia, nie potrafią z niego wyjść na zawsze. Kiedy wychodzą na wolność, nie potrafią sobie poradzić z dokonywaniem wyborów. I wracają, bo podświadomie wiedzą, że tu podział jest prosty. Oni po tamtej stronie

klapy, my pod celą. Zamknęci, ale wolni.

Rzeczywistość jest bardzo trudna i ludzie jej nie unoszą po długim okresie odosobnienia za kratami. A ja nie miałam problemu z dokonaniem wyboru, wróciłam do rzeczywistości natychmiast. Do samochodu, do Facebooka, do umiejętności korzystania z telefonu, do pójścia do kina. Nie miałam takich barier, nie umiałam nie umieć.

Często mnie pytają, komu jest łatwiej w kryminale, kobiecie czy mężczyźnie. Nie ma takiego podziału. Odpowiedź brzmi: człowiekowi. Człowiek prawdziwy, z zasadami, z prawidłową konstrukcją psychiczną, czy jest mężczyzną czy kobietą - wytrzyma. W slangu więziennym to człowiek sztywny. W naszym języku to człowiek ukształtowany, z prawidłową i silną strukturą psychiczną. Człowiek słaby w tamtych warunkach szybko się zwichnie. Będzie albo kapusiem, albo konfidentem wewnętrznym, albo lesbijką, albo bydlakiem, albo sadystą.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Wymieniłaś pięć typów zwichniętych więzieniem charakterów. Spotkałaś wszystkich: kapusiów, konfidentów wewnętrznych, lesbijki, bydlaki i sadystów?

Wszystko tam było. Psychopatki, lesbijki, morderczynie dzieci, morderczynie mężów, złodziejki, narkomanki, konfidentki.

Ale to w sumie same chodzące nieszczęścia.

Tak, bo to są skrzywdzeni ludzie, ja ich nie oceniam jako złych, oceniam jako bardzo skrzywdzonych.

Skąd się bierze lesbijstwo w więzieniu?

Z potrzeby bliskości. To są przeważnie lesbijki, które są wygenerowane przez więzienie. Niektóre przyszły już takie z

wolności, ale generalnie lesbijstwo więzienne bierze się z braku poczucia bliskości, nieumiejętności poradzenia sobie z samą sobą.

Na waszej Kamczatce są takie same podziały jak w męskim więzieniu na cwelów, herbatników, frajerów i ludzi?

Podobne, bo to w gruncie rzeczy podział uniwersalny na ludzi sztywnych i zwichniętych. Zasady generalnie powinno się mieć wszędzie. I na śledczaku, i na karnym, czyli w areszcie i więzieniu. Zaczyna się na poziomie aresztu, tu ludzie wchodzi z nawykami z wolności i uczą się nowych nawyków. Po wyroku następuje zmiana miejsca, idziesz na oddział karny i musisz zostawić nawyki w areszcie. Nie brać ich ze sobą. Nauczyć się zasad.

Kobiety grypsują?

Tak samo jak faceci, tylko to nie nazywa się grypsowaniem, ale puszkowaniem. Ja nie puszkowałam, bo na śledczaku się nie puszkuje.

Ale chcąc nie chcąc, stajesz się elementem subkultury.

Nie da się inaczej, ale to jest właśnie umiejętność przetrwania tam, żeby być i nie być. Nie być jakaś, być swoja. Ja, zobacz, umiałam z każdym porozmawiać. Mnie dziewczyny sztywne akceptowały, chociaż już mało jest sztywnych dziewczyn. Teraz liczy się nie sztywność, ale kasa. To ona buduje ci pozycję w tym świecie. Im więcej masz na koncie i im masz więcej tytoniu, masz czajnik czy szkiełko pod celą, tym więcej masz przyjaciół. Już nie ma tej takiej sztywności w więzieniu. Mogę ci powiedzieć, że na palcach jednej ręki policzę te, o których mogłam powiedzieć, że są sztywne.

A ty byłaś sztywna?

W stosunku do samej siebie tak. I w stosunku do panujących tam zasad - oczywiście. Ja się nigdy nikomu nie sprzedałam, nie doniosłam, nie poszłam do Harry'ego na skargę. Nie doniosłam, żeby uzyskać za to jakąś gratyfikację w postaci dodatkowej paczki, w postaci przeniesienia, lepszego traktowania. Więc w pewnym sensie byłam sztywna. Nawet dostawałam kwity za to, że nie powiedziałam, z kim rozmawiałam na oknie.

Jakie kwity?

Kwit to upomnienie, które się dostaje za przekroczenie regulaminu. Nie wolno rozmawiać na oknach, nie można pisać gypsów, nie można mieć rzeczy nieodpowiednich w celi. Przeprowadzane są kipsisze, nawet kilka razy dziennie, jak coś podejrzewają, wszystko jest do góry nogami przewracane.

A czym się różni kapuś od konfidenta wewnętrznego?

Kapuś donosił już na wolności, ten drugi został kapusiem w kryminale, bo uznał, że to mu da profity. Kapuś czy konfident więzienny to w gruncie rzeczy charakter człowieka. Powiem teraz brutalnie. Chujem jest się i na wolności, i w więzieniu. On ma konfidencję pod skórą. Konfident to jest kurwa i kurwą zostanie. Jak się wróblem urodziłeś, to słowikiem nie zdechniesz. Jak się kurwą urodziłeś, to kurwą zdechniesz.

Tworzą się osobowości zdolne w tej społeczności liderować?

Tak, są dziewczyny z dominującym charakterem. Szybko zdobywają autorytet. Dziewczyny, z którymi się lubi siedzieć albo nie. Ze mną były dziewczyny, które nienawidziły siedzieć ze mną

i które lubiły. Dlatego że ze mną pod celą było tak, że były jakieś normy, których trzeba było przestrzegać. Wymagałam zachowania czystości, zasad kultury. Domagałam się wietrzenia przy paleniu fajek i otwartego okna podczas snu. Panowania nad gębą, czyli ograniczenia bluzgania.

Nie pozwalałaś przeklinać?

Wiadomo, że tego pod celą nie unikniesz. Sytuacja wymusza używanie języka mało parlamentarnego, ale namawiałam skutecznie do panowania nad sobą i ograniczania bluzgów. Sama mało przeklinałam i siłą rzeczy one dociągały do mnie. Nawet kiedyś Harry powiedział, że one się podciągają, jak są ze mną pod celą. Wiadomo było, że u mnie pod celą jest spokój, oddziałowe miały komfort, bo nie było walenia fikołem w klapę i demolowania celi. Z jednym małym wyjątkiem.

Miałaś niebezpieczne sytuacje? Ktoś próbował cię podporządkować albo zmusić do seksu wbrew twojej woli?

Tak, wszystko mi się tam zdarzyło.

Obroniałaś się?

Tak, perswazją. Gdybym musiała użyć siły, to byłaby moja porażka, bo moje zasady przestałyby się liczyć. Poza tym nie umiem się bić i to też byłaby porażka.

Dziewczyny się biją?

O Jezu, no oczywiście. Biją, podcinają sobie gardła, zarzynają się, duszą, gwałcą. Tracą kontrolę nad sobą i pojawia się nieprawdopodobna agresja. Nawet sobie tego nie potrafisz wyobrazić. Mnie raz przydarzyła się utrata panowania nad sobą, dokładnie 27 czerwca 2015 roku, w dniu moich urodzin.

Tego dnia miałam w perspektywie wyjście na wolność. Uchylono mi areszt w zamian za kaucję, każdego dnia spodziewałam się wyjścia, ale pieniędzy długo nie było. Kaucję wpłacono dopiero w październiku. Dlatego długo wychodziłam. Kilka miesięcy wychodziłam, masz świadomość? Każdego dnia czekać na wyjście to jest jak siedzieć w celi śmierci i czekać, czy już idą po ciebie.

Dwudziestego siódmego czerwca powinnam dostać paczkę odzieżową z piękną bielizną od Wadima w prezencie na urodziny i paczkę ze smakołykami, bo chciałam wyprawić dla dziewczyn przyjęcie. Ale paczki nie dotarły. Potem się dowiedziałam, że coś pomyłono i napisano, że ja już dostałam tę paczkę, a więcej mi nie przysługiwało. Mama przyjechała z Wadimem na bramę i nie przyjeśli od nich paczek.

Byłam potwornie rozczarowana, bo bardzo chciałam dać dziewczynom zjeść, chciałam nakarmić je w moje urodziny.

A potem dostałam kwit za karę, że wyglądałam przez okno, tego samego dnia to się wszystko działo. Tu, po tej stronie, to się wydają śmieszne drobiazgi, ale tam takie rzeczy kumulują się w człowieku. Kwit dostałam od oddziałowej, którą pozdrawiam i którą lubię, nie mam nic do niej, ona robiła swoje, musiała mnie ukarać. Może i nie musiała, ale to zrobiła. Dziewczyny z góry śpiewały mi sto lat. Wiedziały, że paczka nie dotarła, że na wolności tata mi umiera, że mogłabym wyjść na wolność, ale kaucji mi jeszcze nikt nie wpłacił. Śpiewały mi, żebym się trzymała. Ja śpiewałam razem z nimi. Ta cela 603 miała tę wadę, że była blisko tak zwanego kondoma, pomieszczenia, gdzie siedziały oddziałowe, więc wszystko tam było słyhać. No i oddziałowa weszła do celi, powiedziała, że daje mi kwit. Próbowałam jej tłumaczyć, że dzisiaj są moje urodziny. No to z okazji urodzin masz ode mnie prezent, dostajesz kwit - oświadczyła. I dostałam ten kwit od oddziałowej, która była ode mnie 25 lat młodsza, postawiła mnie na bacność, moja godność poszła w pięty. Nie potrafiłam jej wytłumaczyć, że to

przecież tylko śpiewanie, łzy mi się pokazały w oczach, a oddziałowa powiedziała, że ona tu tak długo pracuje, że łzy nie robią na niej wrażenia. I wyszła, trzasnęła klapą.

Usiadłam na kolejce, no, na moim łóżku. Wtedy podeszła do mnie dziewczyna z celi, przecież moja koleżanka, i tak jak się nigdy nie odzywałam nieładnie, starałam się zawsze panować nad emocjami, nie wytrzymałam. Ona chciała mnie pocieszyć, a ja krzyknęłam do niej, żeby wypierdalała, bo jej dowalę fikołem, jeżeli nie da mi spokoju.

Tak zareagowałam po dwóch latach i czterech miesiącach pobytu tam. Ja tak normalnie nie mówię, ja tak nie robię, ja tak nie reaguję, ale wtedy nie byłam sobą. Złapałam się tak za lamiona i zaczęłam jak dziecko z chorobą sierocą kiwać, góra, dół. Czułam, że wybuchnę, wzięłam poduszkę, poszłam do łazienki, zamknęłam się, usiadłam na kiblu i zaczęłam krzyczeć w tę poduszkę, gryźć ją. Gryźć i krzyczeć. Krzyczałam tak długo, że w pewnym momencie poczułam silny ból głowy w potylicy, tak mi ciśnienie skoczyło. Pomyślałam, że muszę przestać krzyczeć, bo zaraz dostanę wylewu i nikt mnie nie uratuje, bo nie zdąży pogotowie przyjechać. Myślałam wtedy o synku, nie wolno mi tu umrzeć, przecież niedługo mam wyjść na wolność. I wtedy weszła do mnie dziewczyna, uklękła i zaczęła mnie gładzić po głowie. To mnie uspokoiło. Wróciłam do celi już spokojna.

Położyłam zapłakaną poduszkę, położyłam się na kolejce i odetchnęłam głęboko. Przeprosiłam tę Bogu ducha winną dziewczynę, na którą skierowałam moją agresję. I do końca dnia nikt się już nie odzywał. Dziewczyny się bały, że znów złapię za Hkoł. Siedziały do końca dnia cicho, nikt nic nie mówił, a ja chodziłam po tej celi tak spokojnie, ale w środku miałam ciągle bałagan.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Czy zdarzyło ci się, że to w ciebie ktoś mierzył fikołem? Stałaś się celem agresji?

Była taka historia, że o mało się ze strachu nie posikałam.

Poszło o nic, jak zwykle. O coś, o co nie powinno być konfliktu w normalnym świecie, wśród normalnych ludzi. Ale w więzieniu to się zdarza.

O co poszło?

O to, że byłam inna, że miałam lepsze paczki, że zawsze dobrze wyglądałam, o to, że wszyscy o mnie mówili Słowikowa.

A ona kim była?

A ona nie była Słowikową, chociaż była fajna i ją pozdrawiam. Żal mi jej, do tej pory tam jest.

Za co siedziała?

Za bardzo mocny paragraf. Nie chcę mówić o szczegółach.

Za męskie sprawy?

Za męskie sprawy. Konkretna baba, charakterna naprawdę, sztywna, twarda. No, ale widocznie ja byłam sztywniejsza, twardsza, skoro wyszłam z tego cało.

Co chciała od ciebie?

Chciała mnie zabić, udusić. Za to tylko, że jestem. W tym czasie na oddziale krążyła książka, tu się zdziwisz, twoja i Ewy Ornackiej Nowy alfabet mafii. Twoja książka spowodowała, że mogłam polec tam na Kamczatce, zabita fikołem.

Sorry, Wysoki Sądzie, nie miałem zamiaru...

Wiem i uniewinniam.

Nade mną kolejkę zajmowała dziewczyna, która czytała *Nowy alfabet mafii* i była mną zafascynowana. Powtarzała: Moni, kurczę, ale ty jesteś fajna baba, jak ty sobie dajesz radę, opowiedz mi o sobie w ogóle, opowiedz mi o Wadimie, opowiedz mi o Andrzeju. Wyczytała to w twojej książce.

Była z nami pod całą jeszcze inna dziewczyna, która akurat przechodziła załamanie nerwowe, miała problemy emocjonalne ze swoim partnerem i kłopoty w domu. Pochodziły z jednego miasta, ta czytelniczka i ta z załamaniem.

Żebyś zrozumiał tło. W zamknięciu łatwo można stracić kontrolę nad sobą. Bo się nie ma kawy, nie ma mydła, nie ma szamponu do włosów, nie ma wypiski, nie ma pomocy z zewnątrz, nie ma paczki, nikt o ciebie nie dba, jesteś sama jak palec. I ona traciła te punkty gdzieś tam, ta dziewczyna. Wiedziała, że w domu jest chujowo, wiedziała, że dzieci mają złą opiekę, nie miała wypiski, nie miała pomocy, a koją w koję z nią był taki kolorowy ptak jak ja, która miała prawie wszystko oprócz wolności. Która wyglądała, która miała zrobione paznokcie i włosy, bo dostawała farbę z zewnątrz na talony, która miała zamiast dwóch prześcieradeł trzy prześcieradła, zamiast dwóch koców trzy koce, zamiast jednej poduszki dwie poduszki, zamiast dwóch ręczników cztery ręczniki i wszystko nowe.

Nie wiem, czy była zazdrosna, ale to prawdopodobne, bo tam jest się zazdrosnym o wszystko. Jak nie potrafisz sobie ze sobą poradzić, to się rozglądasz i zazdrościsz. Zazdrość i nienawiść to jest religia dla prostych, głupich ludzi.

Kiedy ta dziewczyna na górze zaczęła mi się podlizywać i co chwila: Moni to, Moni tamto, ta druga, nazwijmy ją Nerwica, wybuchła: Czy, kurwa, możecie przestać pierdolić, ja chcę spać. I dalej już bezpośrednio do mnie: Kurwa, bo ty się, kurwa, wozisz, bo ty, kurwa, wielka Słowikowa jesteś, kurwa, jak nie Wadim, to Słowik, kurwa, jak nie Słowik, to Wadim.

Było już po apelu, cisza nocna, głosy się niosą, a ta wrzeszczy i

ja zaczynam wrzeszczeć. O 22 światła gasną, ale jeszcze godzinę szkiełko może grać, do 23. Było lato, otwarte okna. Ta z góry, Elka, przestraszyła się i udawała, że śpi. Była przecież z tego samego miasta co Nerwica, mnie lubiła, a tamtej się bała. Nerwica to recydywa typu „kurwa, w dupę jebane”. No wiesz, ten styl. Przerastała mnie wszystkim tam, więziennym sposobem bycia, umiejętnością przetrwania, wielka baba.

W pewnym momencie Nerwica nakazała tej Elce z góry, żeby zeszła z koi i zasłoniła kukieł. Zrób to, kurwa, bo ja Słowikowej łeb rozpierdołę, wpierdołę jej ten, kurwa, piękny nosek do tej mordy, gdzie ma, kurwa, piękne ząbki. Tak się złożyło, że ona szczerbata była przy okazji jeszcze, miała brzydkie zęby i zazdrościła mi moich. Nie miałam wyjścia, musiałam dać odpór, bo ona się rozpędzała i gotowa była słowa przełożyć w czyn. A wtedy miałabym przechlapane. Zerwałam się z kolejki i stanęłam przed nią. Te moje 158 centymetrów, a naprzeciw ona, wielka, zwalista kobieta. Byłam jak mały kogucik naprzeciwko jakiegoś mutanta, ale już się napędziłam. „Kukieł se, kurwa, sama zasłaniaj, a nie, kurwa, każ komuś. Rączki myjesz, kurwa, kimś, do kurwy nędzy? Nie stać cię, żebyś sama ze mną sprawę załatwiła? To jest między mną a tobą, co się, kurwa, przypierdasz do mnie? Co, kurwa, tu cię boli, masz kompleksiki, w dupę jebana” - taką mowę wygłosiłam jednym tchem. To ją zszokowało, nie spodziewała się, była zdziwiona, że mówię do niej jej własnym językiem. Ona bluzga i ja bluzgam, ona mi grozi fikołem i ja jej grozę fikołem.

Inne cele zareagowały. Z dwóch stron poszło: Kurwa, zamknąć mordy, chcemy spać! Taki krzyk idzie po tych ścianach. Oddziałowa już stoi przy klapie i pyta, co się tam dzieje. Nie wolno jej w nocy w razie awantury klapy otworzyć. Najpierw musi wezwać ochronę. Szef ochrony przychodzi z chłopakami z pałami. To na wypadek prowokacji, bo zdarzały się kiedyś incydenty, że dziewczyny udawały kłótnię albo bójkę, robiły sztuczny dym, żeby oddziałowa otworzyła celę, wtedy ją wciągały do środka i biły, jak miały do niej złość.

Oddziałowa zagroziła, że wezwie szefa ochrony, co się tam u was dzieje. Mówię spokojnie, że nic takiego, rozmawiamy, a te krzyki to z telewizora. Nerwica w tym czasie przysunęła się do mnie i szepcze: „Słowikowa, kurwa, wal na klapę, kurwa, pękasz?”. Walić na klapę oznaczało wzywanie pomocy. Nogi mi dygocą, trzęsę się ze strachu, ale na klapę nie walnęłam. Bo wiesz, co by było? Poddałabym się, pokazała słabość: Pani oddziałowa, ratunku, biją mnie! No gdzie, to wstyd.

Gdyby atanda wpadła, rozbiliby celę, dostałybyśmy po kwiecie i siedem dni izolatki w drelichy przebrane.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Atanda pobilałby kobiety?

To normalne, to więzienie. Wjechałoby z pałami, dostałybyśmy po razie. Ale nie wpadli. Zgasiałam telewizor, położyłam się, wzięłam różaniec, odwróciłam się tyłem do niej i mówię w duchu: Boże, proszę Cię, pomóż mi, błagam Cię, pomóż mi. Zaczęłam się modlić.

Nerwica się uspokoiła?

Nerwica jeszcze trochę laziła po celi, coś pod nosem bluźniła. Udawałam, że śpię, ale nie zasnęłam.

Wytrzymałaś do rana?

Tak, a rano godzina siódma, apel. Stoimy na bacność, starsza celi melduje stan. „Miałyście burzliwą noc, dziewczynki” - śmieje się oddziałowa. Mówię bez namysłu, że to nie my, to film w telewizji taki ciekawy leciał. „A ty, Nerwica, coś masz do powiedzenia?”. Nerwica potwierdziła: „Oglądałyśmy z Moniką film”.

Chyba zrozumiała, że jesteś charakterna.

Chyba tak. Po apelu można kawę robić. Nerwica drepce po celi. Wreszcie pyta: „Słowikowa? Napijesz się kawy?”. Mówię, że się napiję. „A zajarasz?”. Zajaram. I tak się skończyło. Mówiła z uznaniem: „Kurwa, nie pękłaś, kurwa. Po co nam to było, zakopmy to”.

Zakopałyście to?

Już było po temacie. Podaliśmy sobie dłonie.

Łagodne zakończenie burzliwej nocy.

Nie jestem z siebie dumna, że się jej postawiłam. To biedna dziewczyna po przejściach. Ale jestem dumna, że uratowałam tyłek i wyszłam z tego z honorem. Na śledczaku honor jest najważniejszy.

Po tej awanturze zostałyście w jednej celi?

Potem już z Nerwicą dogadywałyśmy się. Nawet pomagała mi myć głowę szamponem, uczynna była. Już wiedziała, że nie może mnie uderzyć. Tam wszystkie wiedziały, że nie mogą mnie uderzyć. Miałam nawet takie pogadanki co jakiś czas na celi. One siadały wokół, ja im tłumaczyłam sens życia. To było po to, żeby je zmusić do myślenia i refleksji. Mówiłam, że nie wolno nam się kłócić i dojeżdżać jedna drugą. Tam macie wroga - pokazywałam na drzwi celi. Po tamtej stronie klapy wszystkie mamy wroga, a nie tu. My się nawzajem zajebimy, a im będzie dobrze. Słuchały mnie uważnie i chyba coś rozumiały. W końcu byłam tą słynną Słowikową, moja ksywka działała magicznie, chociaż tam wszystkie byłyśmy równe.

ROZDZIAŁ 14

O masażu pod prysznicem, długim czekaniu i śpiewającym Maleńczuku

Miałyśmy też małe przyjemności więzienne, polegające na tym, że można było pójść na spacer, godzina dziennie na świeżym powietrzu. Dla mnie to było za mało.

Można też było iść do biblioteki, także na godzinę. Książki trzymali w takiej dużej sali. Pracowała tam dziewczyna odbywająca wyrok. Siedziała i zapisywała książki, które osadzone wypożyczały. Dziewczyny dużo czytały. Ja też.

Dużą atrakcją był prysznic. Kabiny przyzwoite w miarę, w kafelkach, każdy boks z zasłonką. Prysznic przysługiwał dwa razy w tygodniu, po siedem minut. Masz siedem minut, żeby wejść, rozebrać się, ogolić się, umyć włosy, splukać odżywkę, wytrzeć, ubrać się i wyjść. Kiedy czas mija, oddziałowa otwiera drzwi i wszystkie wyprowadza. Żeby zdążyć, trzeba się nawzajem poganiać.

O prysznicie dbała łaźniowa, czyli dziewczyna z oddziału karnego. Zmywała po nas, pilnowała czystości. Być łaźniową to dobra fucha, bo przez nią przechodziły grypsy i drobne fanty, które dziewczyny z różnych cel sobie przekazywały. Suszarki do włosów, papierosy, lakier do paznokci albo kawałek szynki. Trzeba to było sprytnie jej podawać, żeby oddziałowa się nie zorientowała. Takie podarki chowałyśmy w stanikach, łaźniowa kręciła się po toalecie, kiedy my się rozbierałyśmy. Wtedy jej się co trzeba dawało. To była cała logistyka, trzeba było pilnie nasłuchiwać, która cela poszła na łaźnię, a która dopiero pójdzie. No bo to jasne, że dziewczyna, której chciałam

przekazać gryps albo prezent, powinna trafić do łaźni po mnie, a nie odwrotnie.

Żeby cokolwiek przemyścić na łaźnię, potrzebny był nie lada spryt, bo oddziałowa nas obszukiwała. To podobno jedyne takie więzienie w całej Polsce, gdzie przed wejściem do łaźni i po wyjściu stawałaś przy ścianie, ręce opierałaś wysoko, a oddziałowa cię macała. Jak przyjeżdżały dziewczyny z innych aresztów, to były w szoku. A jak nasze dziewczyny jechały gdzieś w Polskę i szły tam pod prysznic, to pierwsza myśl, żeby oprzeć ręce na ścianie. A tam tego nie wymagano. Po tym nas rozpoznawano. Aha, ty z Kamczatki.

Sama nigdy nic nie wkładałam do stanika. Powiedziałam kiedyś mojej oddziałowej, że ja nie będę w cycki tytoniu wkładała, mam 52 lata i mi nie wypada.

Do przyjemności należał też rytuał katechezy. Co jakiś czas ksiądz brał kilka cel na mszę, na opłatek albo na spowiedź. Czasem jakieś filmy nam puszczał w więziennej kaplicy.

Często do kaplicy chodziłam sama. Pisało się karteczkę, że się chce do kaplicy. Wyjście do kaplicy przysługiwało w niedzielę. Modliłam się, brałam komunię, spowiadałam się. Dostałam kiedyś od księdza przepiękną Biblię. Kiedy wyszłam z Kamczatki i wróciłam do domu, zajrzałam do niej i zobaczyłam, że wszystkie kartki pożółkły od tytoniu.

Papierosowy dym w tych celach niewietrzonych powodował, że białe kartki zmieniały się w żółte. Nic dziwnego, jak tam pięć dziewczyn kopciło naraz.

Pod celą czasem czytałam dziewczynom Pismo Święte. Były takie dziewczyny, które mówiły: Monika, poczytaj trochę, poczytaj nam psalmy. I ja czytałam im psalmy przed zaśnięciem.

Więzienie to miejsce, gdzie dobro miesza się ze złem. Tu Bóg i psalmy, uduchowienie i przeżywanie, a obok przemoc albo seks polegający na tym, że dwie napalone kobiety obściskują się na koi. Takie jest życie.

Lesbijstwo w więzieniu wymusza sytuacja. Dziewczyny się na kolejkach kochają, uprawiają seks ze sobą, nieważne, ładne czy brzydkie, po prostu potrzebują bliskości, dotyku, zrozumienia.

Nie godziłam się, aby dziewczyny kochały się na kolejce nade mną albo koło mnie, bo ja czegoś takiego nie uznawałam. Tak sobie ustawiłam celę, że nie dokwaterowywano mi lesbijek, a jak już się trafiła, to mogła uprawiać seks tylko pod moją nieobecność. Nigdy kiedy jestem w pobliżu.

Poszłam kiedyś pod prysznic z taką dziewczyną, która była ze mną pod celą. Zapytała: Moni, umyć ci plecy? Pozwoliłam, bo tam się robiło takie rzeczy nawzajem, dziewczyny sobie pomagały i nie było w takich usługach żadnego podtekstu erotycznego. A peeling ci zrobić? Zrób. I ona weszła tam do mnie, do kabiny, nago i zaczyna mydlić mi plecy. Nagle robi mi się strasznie przyjemnie. Ona namydła mnie jakoś za przyjemnie, bardziej przypominało to masaż erotyczny niż mycie pleców. Staram się być delikatna i jej tłumaczę, że w tych sprawach lubię chłopców, a nie dziewczynki. No, ale taka fajna jesteś, masz takie ładne ciało, w ogóle nie wyglądasz na swój wiek. A może byśmy... Powiedziałam twardo, że nic od niej nie chcę. Była uparta i spytała, czy może dalej myć mi plecy. Myj - pozwoliłam - ale poza tym nic więcej nie będziemy robić. Postawiłam sprawę jasno, lubię chłopców, nie będziemy ze sobą funkcjonowały, nie będziemy parą. Może mi czasami robić kawę, wymasować stopy albo plecy. Na to jej pozwalałam, ale na nic innego. Delikatnie ją odprawiłam, żeby nie urazić, bo prawdziwe lesbijki to wrażliwe istoty. No i stanęło na tym, że potem masowała mi stopy, ale nic ponadto.

Nie sędzę, aby ta dziewczyna próbowała mnie uwieść, na przykład dlatego, że się zakochała. Może to była chwilowa fascynacja albo zadurzenie, albo zwykła potrzeba seksu, nie wiem. Ciągnęło ją do mnie, bo wyczuła, że jestem silna. Chociaż odrzuciłam jej ofertę, wciąż pozostała w moim kręgu. Wciąż ją szanowałam, dawałam jej poczucie bezpieczeństwa i poczucie własnej wartości, nikt jej tam nie mógł skrzywdzić. Czesła mi

rano włosy, parzyła mi kawę, prała mi rzeczy. To nie było na rozkaz czy z poczucia zależności, ale dlatego, że jej to sprawiało przyjemność.

Umiejętność okazywania innym szacunku to rzecz charakteru. Osoby pozbawione uczuć wyższych, psychopatyczne, narcystyczne, egocentryczne, nie odczuwają ani empatii, ani szacunku. Podporządkowują się wyłącznie osobnikom silniejszym, bo dla nich siła jest argumentem. Albo pieniądze. Ja okazywałam szacunek każdej dziewczynie na Kamczatce, bo tak jestem skonstruowana. Nie okazuję wyższości, bo nie czuję się od nikogo ani lepsza, ani mądrzejsza, ani tym bardziej silniejsza. Mnie dziewczyny szanowały z różnych powodów. Mam nadzieję, że ich szacunek wynikał z tego, że mnie akceptowały. Doceniały, jaka jestem, a nie, że byłam żoną słynnego Słowika.

Nazywały mnie Słowikowa. Nie lubiłam tego. Taki pseudonim sugeruje, że ja sama nic nie znaczę. Jestem wyłącznie pochodną siły i autorytetu Andrzeja. Tak to odczuwam, ale nie umiałam ich przekonać. Byłam więc niestety cały czas Słowikową. Nie mówiły, że idą pod celę do Moniki, do Moni, tylko że wjeżdżają do Słowikowej. Jedne mówiły, że jak do Słowikowej, to masz, o kurwa, przejebane. A inne: Do Słowikowej? O kurwa, fajnie będziesz miała, będziesz miała co palić, będziesz miała co wypić i co zjeść. Na szczęście były też takie, które chciały siedzieć ze Słowikową, bo można z nią fajnie pogadać, pomarzyć o lepszym życiu, posłuchać, jak czyta na głos psalmy Dawidowe.

PIOTR PYTLAKOWSKI: Opowiedz mi o dniu, w którym zostajesz zwolniona z aresztu. Długo na to czekałaś. Nie wiedziałaś, kiedy wpłyną pieniądze na kaucję wyznaczoną przez sąd. Nie wiedziałaś, kto je wpłaci i od kogo zależysz tak naprawdę.

Przepraszam cię (Monika powstrzymuje łzy, ukrywa twarz w dłoniach, jest zawstydzona, że nie potrafi zapanować nad emocjami - przyp. P.P.). Powiem ci, Piotrek, że nie przy-

puszczałam, iż to cały czas jeszcze siedzi we mnie. Jak głęboka, bolesna rana.

Nic dziwnego. To było niedawno. Rozmawiamy dwa i pół miesiąca po twoim wyjściu.

Tam nie mogłam płakać. Strasznie czekałam, dygotałam z lęku, że nikt pieniędzy nie wpłaci, że wolność się ode mnie odwróci. Ten lęk wpełził we mnie głęboko. Chcę o tym za-pomnieć, ale nie umiem. Trauma we mnie wciąż siedzi, chociaż ze wszystkich sił ją wypieram.

Kiedy wpłacono kaucję?

Siódmego października, ale dopiero następnego dnia wysłałam, bo do aresztu nie zdążył dojść faks z sądu. Zadzwoiłam do mecenasa siódmego o 13.30. Powiedział, że pieniądze są wpłacone. Mogłam zadzwonić, bo obowiązuje nowy przepis, który pozwala osadzonym na oddziale śledczym dzwonić w określone miejsca za zgodą sądu. Ja mogłam dzwonić do mojego mecenasa, do mamy i do syna.

Jak zareagowałaś, kiedy powiedział, że kaucja już jest w sądzie?

Nogi mi się ugięły i bardzo głośno mówiłam, może krzyczałam. Cały oddział słyszał, jak się drę do słuchawki, że wychodzę na wolność. Dziewczyny mi gratulowały. Tylko moja oddziałowa była sceptyczna. Powiedziała, żebym się tak nie cieszyła.

Wiedziała coś, czego ty nie wiedziałaś?

Wbiła mi szpilę bezinteresownie, bo była doświadczona, już niejedno widziała. Na przykład, że dziewczyny wpadały w euforię, bo miały wyjść, a potem w czarną rozpacz, bo coś tam

nawaliło i zostawały na Kamczatce na dłużej. Powiedziała, że dopiero jak mnie nie będzie jutro, kiedy ona przyjdzie na swoją zmianę, to uwierzy. Zauważyła, że ja wychodzę od dawna i wciąż nie mogę wyjść. Trudno było nie zauważyć, że czekałam na to wyjście od kilku miesięcy, od decyzji sądu o kaucji.

Oddziałowa źle ci życzyła, wołała, abyś została za kratami?

Myślę, że nie. Takie sprawy są jej obojętne. Robi swoją robotę i tyle. Zresztą spytałam ją, czy mi źle życzy. Odpowiedziała, że życzy mi dobrze, ale żebym się nie cieszyła przedwcześnie, bo już wiele razy dostałam po łbie. Ale ja wiedziałam, czułam, że wychodzę, że się już moje złe fatum dopełniło. Poczułam, że dopełniło się to moje doświadczenie, więzienie moje. Traktowałam to nie jak życiową porażkę, tylko jako klęskę chwilową, jako doświadczenie, które musiałam przeżyć. Tak musiało być, bo Bóg tak chciał. Tak to przyjmowałam, bo to nie jest tak, że Pan Bóg mi łaski odmawia. Wtedy kiedy On uzna za stosowne, kiedy stwierdzi, że przeszłam swoją drogę krzyżową, to wtedy dopiero przyjdzie do mnie i udzieli łaski.

To wygodne uznawać, że nic od ciebie nie zależy, a wszystko tylko od Boga.

Ja w to wierzę. Tak powinno się traktować życie. Wiara w siłę Boga ułatwiała mi życie za kratami. Pozwalała przetrwać.

Wróćmy na ziemię. Kaucja wpłacona, szykujesz się do wyjścia.

Tak, już wiem, że wychodzę, już mandżur spakowany, już porozdziałałam dziewczynom rzeczy, które mi były niepotrzebne. Pooddawałam dużo rzeczy. W więzieniu człowiek ma fobię, która powoduje, że popada się w takie zbieractwo kompulsy

wne. Wydaje ci się, że wszystko ci jest potrzebne, i chomikujesz wszystko. Miałam ekwipunek skauta gotowego na survival, od tasiemki po plaster. Praktycznie można mnie było z tym dobytkiem rzucić do środka Puszczy Białowieskiej, ja bym tam przetrwała. Ale porozdawałam wszystko, nowe rzeczy, stare rzeczy, gacie, staniki, wiadomo, tam wszystko jest potrzebne.

Jak się żegnasz z dziewczynami?

W ogóle się nie żegnam. Tam nie ma takiego zwyczaju, żegnanie się byłoby nietaktem, bo przynosi pecha. Po prostu pakuje się mandżur na biało, czyli zwrot do magazynu. Jak ktoś idzie peronką z mandżurem na biało, to wszyscy wiedzą, że wychodzi na wolność.

Co to znaczy na biało?

Czyli masz położone najpierw prześcieradło, na to kładziesz te wszystkie koce, ręczniki, pościel, robisz węzełek i zdajesz do magazynu. Wychodziłam na biało i ciarki mi biegały po całym ciele, do dzisiaj, jak o tym myślę, mam ciarki. Byłam szczęśliwa. Mówiłam dziewczynom, że wyjdę, i oto się ziściło. Wychodzę. Tam my wszystkie na tę wolność czekałyśmy, każde otworzenie klapy budziło nadzieję.

Nie mówi się do widzenia?

Nie. No co ty, do widzenia? Nic się nie mówi. Najwyżej, że spotkamy się na wolności. Wychodzisz i się nie obracasz za siebie.

Jaka była twoja ostatnia noc w kryminale?

Zdarzyło się coś znamiennego, niepowtarzalnego. Leżałam tej ostatniej nocy w mojej celi. Grało radio, czyli ten beton w

ścianie. Jak wjeżdżałam na Kamczatkę, w radiu śpiewał Maleńczuk, pamiętasz: „Tylko noc, noc, noc, płoną światła ramp”. Policjant, który mnie tam przywiózł, powiedział, że miał taki przypadek, iż wywoził kiedyś kogoś na wolność, to była chyba osoba chroniona i dlatego miał policyjną ochronę. I też grał Maleńczuk. Policjant powiedział mi wtedy, że mi życzy, kiedy znów zagra Maleńczuk, żebym wyszła z tej bramy.

I Maleńczuk zaśpiewał?

Słuchaj mnie uważnie, ta noc ostatnia z siódmego na ósmy października. Wiedziałam, że wychodzę i będę na drugi dzień spała w czystej pościeli. Czułam tę wolność, to się czuje. Czujesz, że to już za tobą, tak jakbyś już tam nie była. To jest fizyczne uczucie, jakby wszystko, co było, traciło sens. Te wszystkie rzeczy, które kiedyś dla ciebie były ważne, te fotografie wyblakłe i kartki na ścianie przyklejone plastrem. I nagle słyszę w betonie Maleńczuka.

Co śpiewał?

To samo, co kiedy mnie przywozili. Śpiewał o ostatniej nocy w celi, jutro będę tam, a dzisiaj jeszcze tutaj, i „tylko noc, noc, noc, płoną światła ramp”. Pięknie śpiewał. Dla mnie. I już mnie nic nie obchodzi, wychodzę z więzienia.

Już nie jesteś z tego więziennego świata.

Nie jestem z tego świata, jestem już gdzie indziej. Rano wstaję, mandżur spakowany, dziewczyny podjeżdżają do klapy z jedzeniem i pytają, czy wychodzę, czy w końcu nie wychodzę. Ta moja Anka podjechała z jedzeniem. Mówię, że nie wiem, ale podobno kaucję wpłacili. Śniadanie zjadłam, chodzę po tej celi, czekam, aż zaproszą mnie do wychowawcy. Ostatnia rozmowa obowiązkowa, wychowawca musi ją opisać w raporcie. Kiedy

usłyszysz rozkaz: do wychowawcy, już w tym momencie wiesz, że wyjdiesz. Czekam i czekam, nerwy wyczulone. Proszę o zgodę na telefon, chcę zadzwonić do mecenasa. Oddziałowa mówi, żeby ten telefon odłożyć na później. I się uśmiecha.

Już wie?

Wie. I ja też chyba wiem, ale jeszcze jestem niepewna. I nagle otwierają się drzwi i stoi taka fajna wychowawczyni, trzyma kartkę. Mówi, żebym podpisała ostatnią rozmowę. I rzuca: Wychodzi pani. Nogi mi zmiękły, podeszłam do kolejki, usiadłam, mówię, że nie wierzę. Wychodzi pani, kaucja została wpłacona, przyszedł faks, że jest pani zwolniona. Poprosiłam dziewczyny, żeby spakowały mi mandżur. Sama nie byłam w stanie, ręce mi się trzęsły. Jeszcze pod celę podjechał obiad, jeszcze go zjadam. Smaczny kurczak był. No i otwiera się kłapa i oddziałowa mówi, żebym myła platerę, bo zaraz po mnie przyjdą. I przyszli. Potem jeszcze przesłam całą procedurę zdawania do magazynu i wreszcie poprowadzono mnie do bramy.

Ktoś czekał na bramie?

Stał Wadim z ogromnym, pięknym bukietem kwiatów. Byli też fotoreporterzy. Cykali mi zdjęcia. Nie wiem, skąd wiedzieli, że wyjdę, ale czekali. Wadim zawiózł mnie do mamy. Zobaczyłam ojca. Leżał już w agonii. Umarł krótko później. I już się dowiedziałam, że nie mam dokąd wracać, że nie mam mieszkania. Będę mieszkała u mamy. Pomyślałam, że tak mi się życie dziwnie potoczyło. Przed laty wyfrunęłam z rodzinnego domu w bardzo szeroki świat, żyłam kolorowo, robiłam, co robiłam. Zatoczyłam olbrzymie koło i teraz mocno pokaleczona powróciłam. Stoję przed matką, tak jak dziecko, które narozrabiało i teraz przeprasza za spóźnienie.

EPILOG

(i didaskalia)

Monika Banasiak, to chyba już jasne dla czytelnika, opowiada o swoim życiu, czasem cenzurując fakty i zdarzenia. Nikt z jej świata nigdy nie mówił całej prawdy, ale ona jedna ma odwagę, aby od razu na wstępie zastrzec, że z różnych powodów o pewnych sprawach nie powie.

Te powody są zrozumiałe. W czasie, kiedy odbywaliśmy rozmowy wykorzystane w tej książce, przed warszawskim sądem toczył się jej proces. Postawiono jej poważne zarzuty, m.in. kierowanie przestępczą zorganizowaną grupą zbrojną i pośrednictwo w handlu narkotykami. Nie przyznała się do winy, twierdzi, że oskarżenie oparto na nieprawdziwych zeznaniach świadka koronnego. Jakkolwiek było, z powodów procesowych ma zakneblowane usta, przynajmniej w pewnym zakresie. Sama powiedziała jednak, że rozmawiając ze mną, nie będzie ściemniać, najwyżej coś przemilczy.

Z umowy się wywiązała. Momentami była szczerą aż do bólu. Kiedy indziej nie odpowiadała na pytania i to był sygnał, że czuje się zagrożona procesowo. Trzeba też wiedzieć, że o pewnych zdarzeniach z przeszłości wciąż nie może mówić, bo naraziłaby siebie albo inne osoby na zarzuty, gdyż czyny nie uległy jeszcze przedawnieniu. Musiałem uszanować jej decyzję.

Aby uniknąć zarzutu o jednostronność, spotkałem się z byłym gangsterem, nazwijmy go Igorem, który w mafii działał w latach 90. Chciałem usłyszeć od niego trochę więcej o mechanizmach funkcjonowania podziemia przestępczego, niż była skłonna ujawnić Monika. Igor znał zarówno ją, jak i wiele innych osób z tego środowiska. Zdziwił się, że książka będzie nosić tytuł

Królowa mafii.

- Jeżeli to o Monice, to przesada - oświadczył. - Taki tytuł sugeruje, że to ona stała na czele organizacji, kierowała i wydawała polecenia. Nic takiego nie miało miejsca. Liczyliśmy się z nią, ale nie jako szefową, raczej jako żoną swojego męża. Pozycja Słowika była na tyle silna, chociaż moim zdaniem nieco sztucznie napompowana, że jego żona z natury rzeczy miała nasz szacunek.

Rozmowę z Igorem przytaczam wiernie z zapisu magnetofonowego, bez redagowania i ingerencji

PIOTR PYTLAKOWSKI: O co chodziło w tym narkobiznesie kojarzonym z grupą pruszkowską?

IGOR: Oni jakoś tam zarabiali sobie pieniądze na narkotykach. Znam sprawę takiego transportu, który załadowano gdzieś w Ameryce Południowej.

Kokaina?

Tak, 450 kilogramów. To przyłynęło na jakieś wyspy hiszpańskie i zostało zatrzymane przez policję.

Na Kanary?

Chyba tak. Nie brałem w tym udziału, ale tak mi relacjonowano.

Jak ten towar wpadł?

Przewożono to wycarterowanym jachtem pełnomorskim. Ta osoba, ten żeglarz, został zatrzymany w Hiszpanii.

Gangster?

Nie, gangster nie umiałby, to był żeglarz, który rzeczywiście pływał sobie jachtami po oceanie.

Ale wiedział, co wiezie?

Wiedział, bo miał z tego jakąś działkę. Po dopłynięciu do portu nie wytrzymał ciśnienia i podobno dosłownie przeciął ten jacht, bo to było gdzieś zaklejone w jachcie, i poszedł sprzedać. Swoją część, która należała mu się jako wynagrodzenie.

Wydostał towar?

Wydostał swój towar. I po prostu doprowadził potem policję do tego jachtu. Po sprzedaży wrócił, spał na tym jachcie i wtedy go aresztowali. Poszedł siedzieć. Wiem, że resztę towaru gdzieś tam zakopał na tej wyspie.

Ukradł?

Tego nie wiem, może tak się umówił ze zleceniodawcą? Ale potem panowie jeździli, szukali, nie mogli tego znaleźć.

Hiszpanie czy Polacy?

Polacy, nie wiem dokładnie, kto tam jeździł i szukał, ale wiem, że nie mogli tego znaleźć. Widocznie dobrze zakopał. Odsiedział swoje, wyszedł, potem, z tego, co wiem, to jakoś nagle miał pieniądze na wszystko po wyjściu, więc przypuszczam, że on to odkopał sobie.

No to „Pruszków” miał problem.

Był problem, bo ten towar nie był zapłacony. Wzięli, można

rzec, na kredyt. I z tego potem były problemy, ale oni jakoś wszystko porozliczali. Były takie zasady, że jeśli wpadnie ten towar w ręce policji i jak to będzie potwierdzone, to ta sprawa była jakby anulowana. Nie było pretensji, bo wiadomo, że siła wyższa.

I wtedy nie trzeba płacić?

I wtedy nie trzeba płacić, jeżeli klient jest stały i sprawdzony. W przeciwnym razie to już tak łatwo nie idzie w zapomnienie.

Ile to kosztowało?

Wtedy tam się płaciło chyba po dwa i pół tysiąca dolarów za kilogram, a w Europie cena rynkowa kręciła się znacznie powyżej 25 tysięcy dolarów. Nieźle przebicie.

Czyli zysk minimum 22,5 tysiąca dolarów na kilogramie. Na stu kilogramach zarobek przekraczał ponad dwa miliony zielonych.

Znacznie więcej. Weź pod uwagę jeszcze, że ten kilogram czystej koki, który tu przyjeżdżał, był mieszany i z kilograma wychodziło przynajmniej trzy, cztery razy więcej towaru. Wiadomo, że narkotyki, broń i dzieła sztuki to są trzy rzeczy, na których zarabia się z największym przebicciem. Chociaż nie w tej kolejności, bo najwięcej pieniędzy się zarabia na broni, potem są obrazy, a na końcu narkotyki.

Wpadł jeden transport, ale inne docierały do celu?

No, docierały, wiem o jednym transporcie, natomiast przypuszczam, że tych transportów było więcej i jakoś to się do Hiszpanii dostawało, a potem docierało do innych krajów Europy.

Kurierzy rozwozili?

Tak, i raczej samochodami, bo samolotem było większe ryzyko. Było dzielone na wiele osób i wiele samochodów.

A ten statek Jurata, który do Polski przyłynął? Za ten transport, chociaż nie dotarł do celu, został skazany między innymi Leszek D., pseudonim Wańka.

Według mnie statek Jurata miał wpaść w ręce policji, natomiast w tym czasie do Europy, bo mówimy nie tylko o Polsce, na przykład do Hamburga czy do innego portu, wpłynęły statki, które przywoziły większy ładunek. Na Juracie znaleziono nieco ponad tonę kokainy. Tona to jest bardzo mało na statek o dużych gabarytach, spokojnie by zapakowali cztery, pięć ton. To są wielkie przerzuty, ogromne pieniądze. Ale gangi nie lubią, jak naraz pojawia się za dużo towaru, pewien poziom rynku zostaje zachwiany.

Cena spada.

Cena spada. Oni też mają swoje kalkulacje, to jest biznesowa arytmetyka. Z tego żyje wielu ludzi. To działa jak przedsiębiorstwo, na górze kierownictwo, a na dole sprzedawcy, magazynierzy, ochrona, no i policjanci opłaceni.

„Pruszków” potrafił tak perfekcyjnie organizować narko- biznes?

To ich przerastało. „Pruszków” był elementem mechanizmu, takim trybikiem, i to nie tym najważniejszym.

To kto był ważniejszym trybikiem?

To działało jak kartel międzynarodowy. Ktoś produkował kokę, ktoś inwestował olbrzymie pieniądze, żeby narkotyki kupić w Ameryce. Ktoś czuwał nad logistyką. Ktoś rozprowadzał, i to nie w jednym kraju. Sam policz, ile był wart towar z Juraty. Dwa i pół miliona dolarów po najniższej cenie. Myślisz, że Wańka miał takie środki i je włożył w ten interes? Bzdura! Ktoś w to wszedł do spółki. I ten ktoś Juratę poświęcił, a wraz z nią sprzedał Wańkę, po to, żeby innym kanałem bezpiecznie dostarczyć właściwy ładunek. Kto tak działa? Mafia i służby specjalne. Służby na całym świecie robią coś dla państwa, a na boku dla siebie. Kontrolują przemysł kokainy, przemysł broni, przemysł alkoholu i papierosów. Bo to się opłaca.

Dla korzyści własnej?

Oczywiście, że tak. Przemysł istnieje i będzie istniał. Ponieważ tego nie można zniszczyć, trzeba to kontrolować. I kontroluje się w ten sposób, że się czasem inwestuje, nadzoruje i zarabia. Wracając do tej Juraty, według mnie był to spektakularny sukces i trzeba było wtedy zrzucić winę na kogoś. Ana kogo? Oczywiście na „Pruszków”, bo „Pruszków” był wtedy postrzegany jako największa mafia działająca w Polsce.

Ale „Pruszków” się tym przecież zajmował.

„Pruszków” się tym zajmował, zgadza się, natomiast „Pruszkowa” nie było stać na taką kwotę, którą by trzeba wyłożyć.

„Pruszków” stać było na trzysta, czterysta kilogramów. A tu chodziło o ponad tonę.

Jakie służby za tym stały?

Gdybym wiedział jakie, byłbym bogaty albo już bym nie żył. To się miesza. Różne służby aktualne i były i z różnych krajów współpracują w takim biznesie. I wszystkim się opłaca. W tej

sprawie mógł być UOP zmieszany z SB. I ktoś z zewnątrz, na przykład Rosjanie. Przypomnij sobie, jak ta Jurata wpadła. Skąd celnicy wiedzieli, co na statku jest trefne, gdzie szukać?

Mieli cynk od początku.

Mieli cynk. Taki statek jest prowadzony od chwili załadunku, monitorowany, którądy płynie, do jakiego portu zawija.

A w tym czasie wjeżdżają inne.

Wjeżdżają inne większe towary na przykład w Hamburgu czy w Antwerpii i też są kontrolowane, wiedzą, kto to odbiera, czy w dalszym ciągu są ci sami ludzie na rynku, czy ceny się zmieniają. To wszystko jest wyższą logistyką, oni sobie to układają jak puzzle. „Pruszków” w tym czasie nie miał takich pieniędzy, żeby zainwestować w to wszystko. I o ile stać go było na czterysta, pięćset kilogramów kokainy, którą się przewozi jakimś wynajętym jachtem, jeszcze na takich zasadach, że to się bierze w komis, potem się sprzedaje i rozlicza. Z mojej informacji to wyglądało w ten sposób, że z tych czterystu kilogramów na jachcie, który wpadł w Hiszpanii, tylko dwieście należało do „Pruszkowa”, reszta do kartelu z Ameryki Południowej. Ten żeglarz miał tam swoje kilka kilogramów za fatygę.

Dobrze znałeś Słowika i Monikę?

W miarę dobrze. Od czasu, jak się w Warszawie pojawił u boku Zygmunta R., Kabana. Nie był wtedy taki wielki, pozostawał raczej w cieniu, ale pilnie się uczył. Zresztą ten wielki Słowik według mnie został naprawdę stworzony na potrzeby mediów. On takim wielkim Słowikiem nigdy nie był i nie jest teraz, jego sobie zrobili.

A jemu to pasowało?

Pasowało, bo on jakieś tam swoje wyobrażenie o życiu w ten sposób realizował, on lubił, jak go było widać, zresztą my wszyscy to lubiliśmy.

A Monika?

Oni byli idealnie wpasowani w siebie, jak Bonnie i Clyde.

Ciekawe porównanie. Bonnie i Clyde to para straceńczych bandytów. Monika i Słowik też tacy byli?

Broń Panie Boże, ani on, ani tym bardziej ona. On był gangsterem, nie bandytą, a ona u jego boku, ale nie jako mafijna postać, po prostu żona. Zawsze mu towarzyszyła, ale nie na robocie. Chociaż słyszałem o historii, kiedy mało przez niego nie straciła życia.

Chodzi o ten wybuch przed ich domem na Broniewskiego?

Nie, mówię o innym zdarzeniu. O tym mało kto wie. Zabrał ją ze sobą na spotkanie, które miał z pewnym gangsterem z konkurencji. To było kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, nad Narwią, na dacy w lesie. Pojechali razem.

Spotkanie w jakiej sprawie?

Jakieś rozliczenia były. Chodziło o jakiś interes. Tamten był coś winny Słowikowi, z tego, co wiem. Monika została w samochodzie, a Słowik sam poszedł dalej. Miała na niego czekać dwie godziny. Ale czekała prawie całą noc, zanim Słowik się pojawił. Szedł zygzakiem, jak pijany. Ale nie był pijany, tylko ranny.

Dostał w bok, krew się lała. Ona wyszła z wozu, żeby mu

pomóc, i wtedy pojawili się jacyś faceci i zaczęli strzelać. Celowali w Słowika, ale trafili w nią. Kula przeszła na wylot, na szczęście nic nie zgruchotała, ale rana krwawiła.

Uciekli?

Dali sobie radę, ona prowadziła, bo on nie był w stanie. Dojechali gdzieś tam do Warszawy, zadzwoniła do jakiegoś swojego kolegi lekarza i ich pozszywał. Można powiedzieć, że wyszli z tego w miarę bez większego szwanku.

Słowik rozliczył się potem z tymi, co strzelali?

Nie wiem.

Monika, siedząc dwa i pół roku w areszcie, prowadziła coś w rodzaju dziennika, ale nie opisywała w nim zdarzeń, a wyłącznie myśli, jakie przychodziły jej do głowy. Momentami jej zapiski są trochę pompatyczne albo nazbyt filozoficzne, ale dla każdego, kto chce próbować zrozumieć, jak można przetrwać odosobnienie za kratami, to cenny materiał. Przede wszystkim trzeba zauważyć przepaść, jaka dzieli twarde i brutalne realia kobiecego aresztu, tej zimnej Kamczatki, i nieuczesane myśli Moniki. Zapisywała je, aby oderwać się choć na chwilę od doraźności. Uciekała w swój własny, wymyślony świat.

Pierwszy zapis jest datowany na 13 lutego 2014 r. Potem już daty się nie pojawiają. Na wstępie Monika napisała motto: „Sprawa nasza jest słuszna. Wróg będzie rozgromiony. Zwycięstwo będzie do nas należeć”. Nie podała źródła, a to jest niebanalne. Te słowa wypowiedział Wiaczesław Mołotow, minister spraw zagranicznych ZSRR podczas II wojny światowej.

Oto fragmenty więziennego dziennika Moniki Banasiak:

1. Każde bez wyjątku myśl i zdanie, które wypowiadam, jest afirmacją pozytywną bądź negatywną. Pozytywna afirmacja tworzy pozytywne doświadczenia, negatywna afirmacja - negatywne doświadczenia. Od dziś afirmuję tylko dobro, którego pragnę w życiu. A wtedy z pewnością przyjdzie do mnie tylko dobro.

2. Ustalanie kryteriów dla innych jest zwykłym zarozumiałstwem, możemy to czynić jedynie w stosunku do siebie.

3. Od czasu do czasu pozwalam sobie nie robić nic, aby usiąść i otworzyć się na Boską moc.

4. Ludzie o wysokim poczuciu godności nie będą popełniać nadużyć - ani wobec siebie, ani wobec innych.

5. Uczę się uwalniać od potrzeby kontrolowania innych i pozostawiam im wolność bycia, kim chcą być.

6. Wszędzie panuje ład BOSKIEGO PRAWA. Proszę o to, czego pragnę, a potem wyrażam wdzięczność, nie czekam na spotkanie teraz, gdyż wiem, że otrzymam to we właściwej kolejności, miejscu i czasie.

7. Kiedy uświadamiam sobie istnienie czegoś, co mnie przytłacza, poszukuję sposobów uporania się z tym inaczej niż zwykle. Po prostu apróbuję siebie.

8. Moim celem jest nauczyć siebie kochać bezwarunkowo.

9. Często zastępuję słowo cierpienie słowem doznanie.

10. Cierpliwość oznacza pozostanie w zgodzie z biegiem życia i przekonanie, że wszystko dokonuje się w najwłaściwszym miejscu, czasie i kolejności. Jeżeli teraz nie doznaję spełnienia, najwidoczniej istnieje jeszcze coś, czego się muszę dowiedzieć i co muszę zrobić. Niecierpliwość nie przyspiesza procesu, jest tylko stratą czasu. Oddycham więc głęboko, wnikam w głąb siebie i pytam siebie: „Czego się muszę jeszcze nauczyć?”. A potem cierpliwie oczekuję pomocy, która zawsze przychodzi.

11. Mam dużo czasu.

Nigdy się nie spieszę, bo mam całe życie.

12. Moim dążeniem jest pokochać każdy moment te-
raźniejszości.

13. Każdego dnia wsłuchuję się w jakąś nową ideę, która udoskonalili moje życie.

14. Kocham swoje dziecko, a ono kocha mnie. Słucham tego, co ma mi do powiedzenia, a ono słucha tego, co ja mówię.

15. Uwielbiam się śmiać.

16. Wierzę, że Boska Inteligencja i Reżyseria ma wpływ na moje sprawy, i kroczę od sukcesu do sukcesu.

17. Mądre kobiety nie poddają się przygnębieniu.

18. Jedyna rzecz, nad którą zawsze panujesz, to twoje myślenie właśnie w tej chwili. Twoja myśl, ta, która przemknęła ci teraz przez mózg, jest całkowicie pod twoją kontrolą.

19. Wierzę w celowość życia i zdarzeń.

20. Lubię się uczyć, wszyscy jesteście tu, aby się uczyć.

21. Uwalniam się od potrzeby doskonałości.

22. Nieważne, gdzie jestem, zawsze znajduję chwilę, aby usiąść spokojnie, odetchnąć głęboko i uwolnić się od wszelkiego napięcia. Moje wewnętrzne poszukiwanie i zewnętrzna aktywność przenoszą mnie od doświadczenia do doświadczenia.

23. Poczucie własnej wartości i godności jest Boskim Prawem Każdego z Nas.

24. Wybrałam doskonałych rodziców na moje życie.

25. Kocham własne myśli: myśli, które tworzę w każdej minucie dnia, decyduję o moim życiu.

26. Moja dusza nie ma płci. Ma ją tylko moja osobowość. Jednak za każdym razem to jestem ja.

27. Szanuj swój umysł i moc wypowiedzi. Moje myśli i słowa kształtują moje życie.

28. Moje łóżko jest bezpiecznym miejscem. Wiem, że dzień jutrzejszy zadba o siebie.

29. Kocham doświadczenie każdego wieku. Jestem w doskonałym wieku - zawsze.

30. Jestem bezpieczna. W momentach niepokoju myślę o Słońcu. Wybieram świadomość Światła. W świetle czuję się bezpiecznie. Moje obawy to nie ja. A kiedy przychodzi lęk, postanawiam postrzegać go jako przemijające chmury na niebie

i pozwalam im przepłynąć.

31. Wiem, że natura nie znosi pustki. Kiedy coś odchodzi, z pewnością coś innego przyjdzie na to miejsce. Ufam, że żyde będzie się troszczyć o moje potrzeby. Uczę się ufać. Ży- de mnie kocha i z pewnością nie zawiedzie. Teraz dzieje się tylko to, co służy mojemu najwyższemu dobru.

32. Moje ciało jest inteligentne.

Czy zgadzam się z twierdzeniem, że „życie jest ciężkie, a ja jestem do niczego”? Jeżeli w świadomości utrwalam właśnie taki obraz, mój system odpornościowy (rejestruje moje myśli i uczucia) ulega osłabieniu i staje się bezbronny wobec wszystkich bakterii, które nas otaczają.

33. To, co widzimy w naszym świecie, jest odzwierciedleniem stanu naszego umysłu.

Sami tworzymy nasze uczucia, decydując o wyborze naszych myśli.

Uczucia to myśli objawiające się w czynach.

34. Ufam sobie.

Wybacząc innym, wybaczam również sobie, uwalniam się od ciężaru, wlatuję swobodnie.

35. Wyobrażam sobie pozytywny przebieg wydarzeń.

36. Cenię swoją wolność, dlatego nikogo nie obarczam winą ani nie biorę jej na siebie.

37. Zawsze mam wolność wyboru swoich myśli.

Żadna osoba, miejsce ani rzecz nie mają nade mną władzy, chyba że ją komuś przyznam, ponieważ tylko ja, jako osoba myśląca, panuję nad własnym umysłem. Jestem bezgranicznie wolna w decydowaniu o treści swoich myśli. Uskarżanie się, że czegoś nie ma, niczego nie zmienia.

38. Wyjątkowość nie zna współzawodnictwa i porównań. Jestem wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju. Zasluguję na wszystko, co w życiu najlepsze.

39. Ambicja przesłania ludziom cały horyzont. Czasami trzeba umieć przeskoczyć swoją ambicję tylko po to, żeby ją zobaczyć... czy ona rzeczywiście jest.

40. Nie wierz tym, którzy zawsze mówią prawdę.

41. Wróg to... przyjaciel, którego jeszcze nie znasz.

42. Mądra kobieta wie, jak postępować z mężczyznami, by czuli się wolni... a jednocześnie nie chcieli z tej wolności skorzystać.

43. Należy żądać od siebie wszystkiego... od innych tylko tyle, na ile ich stać.

44. Twoja inteligencja jest zbyt mała, aby pojąć własną głupotę.

45. Osoba o solidnie ugruntowanym poczuciu wartości jest lepszym partnerem w miłości czy przyjaźni. Jest też lepszą matką czy ojcem. Ma dystans do siebie i innych. Jest etyczna. Nie oczekuje ciągłych przysług innych i nie usiłuje dawać innym z siebie więcej niż można. Dbą o siebie, a więc ma ochotę dbać o innych. Dzieli się tym, co dobre, a to, co złe i niedoskonałe - zmienia, koryguje, uczy się wyzbywać. Na tym polega dojrzałość charakteru, ducha i osobowości oparta na głębokim i niezachwianym poczuciu własnej wartości.

46. Przez całe życie uważałam, że miłość to coś w rodzaju przyzwolonego niewolnictwa. To kłamstwo, nie istnieje miłość bez wolności i na odwrót. Tylko ten, kto czuje się wolny, kocha bezgranicznie. A ten, kto kocha bezgranicznie, czuje się wolny.

W miłości nie można się ranić wzajemnie, bo każdy odpowiada za własne uczucia i nie ma prawa potępiać drugiego. Czułam się zraniona, gdy straciłam swojego mężczyznę, którego kochałam. Dziś jestem przekonana, że nikt nikogo nie traci, bo nikt nikogo nie może mieć na własność. I to jest prawdziwe przesłanie wolności; mieć najważniejszą rzecz na świecie, ale jej nie posiadać.

Miłość jest doświadczeniem prawdziwej wolności, nikt nie może posiadać na własność drugiego człowieka.

47. Mężczyzna na moją miarę powinien mieć trzy nałogi: dążyć do władzy, pięknych kobiet i pieniędzy. Te trzy rzeczy trzeba umieć zdobyć, a potem być na tyle mądrym, żeby je utrzymać.

48. Boże... daj mi wewnętrzny spokój, abym przyjął rzeczy, których nie potrafię zmienić, daj mi odwagę, abym zmienił

rzeczy, które mogę zmienić, i daj mi mądrość, abym odróżnił pierwsze od drugich.

49. Czy rzeczywiście zawsze powinnam znać się na wszystkim?

50. Nasza seksualność nie jest naszym przeznaczeniem, jest podróżą w poszukiwaniu ciekawych, nowych doznań.

51. Niekiedy ważniejsze jest to, czego się nie zrobiło, niż to, co się zrobiło.

52. „Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania. A takich, co nie chcą się złamać, świat zabija. Zabija w równej mierze najlepszych, najdzielniejszych, najdelikatniejszych. Jeśli nie jesteś żadnym z nich, możesz być pewnym, że zabije cię także, ale bez szczególnego pośpiechu”.

Ernest Hemingway

53. „Powiedz mi, a zapomnę.

Pokaż mi, a zapamiętam.

Pozwól mi działać, a zrozumiem”.

Konfucjusz

Życie to nie problem, który trzeba rozumieć, tylko rzeczywistość, której należy doświadczać.

54. Zaufałam ci nie dlatego, że cię lubię, tylko dlatego, że ty lubisz mnie (i mam na to dowody z przeszłości).

55. „Szczęście to po prostu dobre zdrowie i zła pamięć”.

Ernest Hemingway

* Inteligentni ludzie wybaczą, ale nie zapominają.

* Przeszłość nie jest po to, aby nią żyć, ale po to, aby z niej się uczyć.

56. Kochać to chcieć ze wszystkich sił dobra drugiego człowieka nawet z pominięciem siebie, to czynić wszystko, aby on wzrastał i rozwijał się, stając się z każdym dniem człowiekiem,

jakim być powinien, a nie takim, jakiego chciałbyś ukształtować według swoich marzeń.

Być wiernym to nie znaczy:

- nie błędzić, nie uderzyć się, nie upaść
- to zawsze powstawać i zawsze iść
- to wypełnienie do końca wspólnie opracowanego planu
- to zaufanie drugiemu pośród cieni nocy
- to wzajemne podtrzymywanie się pośród upadków i zranień
- to wiara we wszechpotężną miłość (kochać to ofiarować drugiej osobie siebie, nawet jeżeli ona przez moment się wzbrania. To dawać, nie licząc tego, co inni dają, płacąc bardzo drogo, nie domagając się zwrotu).

57. Miarą i siłą miłości każdej jest wiara.

Rzeczą ludzką jest upadać - sprawą Boską jest każde podniesienie się z upadku. Jakże Ci nie ufać, Panie... A jednak... mimo wszystko tak trudno mi ufać. Po cóż słowa - Ty wiesz wszystko. Otwieram się przed Tobą - Ty wiesz wszystko. Broń przed zwątpieniem. A gdy nadejdzie... już dziś proszę... pozwól się podnieść - Twoją mocą. Jesteś moją ostoją i nadzieją. Teraz i na całe życie. Jezu, nie opuszczaj mnie!!!

Najbliżej jesteśmy Ciebie, jeżeli w cierpieniu potrafimy milczeć. Królestwo Boga buduje się w ciszy. Stałeś i milczałeś. Stań przy mnie w dniach trudnych. Broń przed żalem, buntem, zamknięciem serca. Daj Twojego Ducha. Bądź ze mną, Chryste osądzony, cierpiący. Ufam, że w godzinie próby pomoże Twoja Boża i ludzka dłoń.

Po artykule w „Polityce” o Monice dostaliśmy kilka listów od mieszkającego w Danii Jana. Dotyczyły rodziców Moniki, z którymi Jan był przed jej urodzeniem zaprzyjaźniony, i bywalców kawiarni Sułtan na Saskiej Kępie. Uznaliśmy, że wspominki Jana mogą być interesującym nie tylko dla mieszkańców Saskiej Kępy uzupełnieniem wiedzy o ludziach i atmosferze panującej w

latach głębokiego PRL- u. Za jego zgodą publikujemy te listy oraz krótki, dowcipny tekst, jaki Jan napisał specjalnie do naszej książki.

List 1

Witaj, Monika

Dotyczy: Kawiarni Sułtan.

Pozwalam sobie pisać do Ciebie po imieniu, jako że

- Byłem serdecznym przyjacielem Twoich rodziców.
- Pamiętam, jak urodziłaś się tylko rok przed moim wyjazdem z Polski.

Zresztą w związku z twoimi urodzinami pamiętam również, jak Tadzio (Twój ojciec) chodził dumnie po Kępie i opowiadał, jak Marietta (Twoja mama) wchodziła do rodzinnych salonów. Najpierw wchodził biust, potem długo nic i wreszcie jego ukochana żona!!!

Notabene poznałem Mariettę jeszcze wcześniej niż Tadzia. To było na przystanku autobusowym na rondzie Waszyngtona. Tam próbował jakiś chuligan zalecać się do Twojej mamy i ja musiałem mu dać po pysku, żeby się odczepił.

Teraz jednak do rzeczy.

W „Polityce” przeczytałem artykuł/wywiad Piotra Py- tlawskiego o Tobie i dowiedziałem się, że piszesz (ewentualnie masz zamiar napisać) książkę, pamiętnik. Pisanie jest też moim hobby (bez ekonomicznego zainteresowania) i można o tym przeczytać w Google’u pod moim nazwiskiem. Tu jednak chodzi o coś bardziej wyrafinowanego.

W wywiadzie wspominasz kawiarnię Sułtan. Dla mnie było to miejsce nie tylko spotkań warszawskiej śmietanki, ale i prawie całego przekroju (na dobre i złe) tamtejszego społeczeństwa. Ja tam byłem stałym gościem przez prawie 10 lat i chętnie opowiedziałbym w Twojej książce o kilku zdarzeniach, które w jakiś sposób pozostały

alternatywną wersją wielu okoliczności z tamtych czasów.

W tej kawiarni spotykali się przecież wszyscy ci, którzy byli jakoś inaczej nastawieni do PRL- u i nie mieli ochoty na budowanie socjalizmu w Polsce.

Nie wiem, czy mój list dotrze do Ciebie, ale jeżeli się to uda i będzie według Ciebie okej, to chętnie opowiem kilka historii z Sułtana, które na zawsze zostały w mojej pamięci. Od romantycznych układów i mniej chwalebnych poczynań do radykalnych rozrachunków ze „śmundakami”, którzy chcieli nas zniszczyć, ale którym się to nie udało.

Z poważaniem, Jan

List 2

Witaj, Monika.

Tak się rozwydrzyłem, że usiadłem i napisałem schemat całego rozdziału o Sułtanie. Może trochę frywolny, ale my też nie prowadziliśmy się wtedy zbyt wzorowo.

Do Was teraz należy, czy wrzucicie te grafomańskie wypociny do kosza, czy po redakcji postują one Wam w Waszej książce. Tak czy inaczej, bardzo chciałbym ją przeczytać.

Naturalnie jestem nadal do dyspozycji jako świadek koronny zdarzeń w Sułtanie.

Pozdrowienia,
Jan

List 3

Witaj, Monika.

Mimo że staram się mówić/pisać poprawnie, mój polski jest dość zardzewiały i bardzo mnie cieszy, że ktoś będzie go poprawiał.

Teraz do rzeczy.

Poniżej podaję Ci kilka szczegółów o bohaterach mojego opowiadania.

Właściciele Sułtana:

Pani Zielińska i jej syn, a Twój tata, Tazio, potem Kazio W., który kupił kawiarnię za morgi swojej żony.

Bywalczy:

January G. - przyjaźnił się z moim ojcem, bo obydwaj czekali na amnestię. On naturalnie za niewinność, a tato na zwolnienie teściowej po ośmiu latach odsiadki. January był lubym Anuli B., z którą się jednak nigdy nie ożenił.

Tazio, Twój ojciec - mój przyjaciel, m.in. samochodziarz. Pomogłem mu kiedyś kupić samochód po kraksie w ambasadzie szwedzkiej, na rumuński paszport Marietty, Twojej mamy. Były trudności dewizowe, ale wyrwany silnik po kraksie zarobił na całą transakcję.

Janusz Sz. - porzucony syn dentystki. Uroczy, świetnie zbudowany. Nim chciały się zająć wszystkie dziewczyny. Raz spotkałem go w wieczór wigilijny na Francuskiej. Płakał, bo nikt nie chciał go wziąć do stołu. Od tego czasu zostaliśmy przyjaciółmi - na dobre i złe.

Jan z Baltazarem, tj. psem bokserem. Woził dziewczyny osą (skuter) do Tahiti, tj. knajpy na Wale Miedzeszyńskim. Wtedy zaczął obowiązywać przepis o ochronie głowy pasażera i powstało powiedzenie: „Chcesz jechać do lasku, musisz być w kasku”.

Nad Sułtanem mieszkał starszy pan z piękną, choć bardzo pulchną córką i swoją drugą żoną. Potem starszy pan umarł, a córka i jej macocha zostały sympatiami Jana, prawie równocześnie.

Prawdziwą pięknnością była jednak kobieta, w której kochali się

wszyscy. Ale ona miała faceta, który reprezentował skandynawską firmę i sownie wynagradzał swoją ukochaną. Z czasem wybrał on jednak „zew krwi”, a hrabianka została na lodzie. Podobno nadal często chodzi do kościoła na Kępie. On był innego wyznania.

Tyle na dziś. Bardzo dziękuję za Twój mail. Było mi bardzo miło usłyszeć coś od pani w takich pięknych norkach. Czy gips był skutkiem nartowania? Jeżeli tak, to mamy sobie dużo do powiedzenia.

Pozdrowienia,
Jan

OPOWIEŚĆ JANA O SASKIEJ KĘPIE

Sułtan

Był upalny lipcowy wieczór. Pan Jan albo, jak go przyjaciele nazywali, „Jasio” siedział w ogródku przyległym do kawiarni Sułtan przy ul. Obrońców. To było właściwie bardzo szczególne miejsce. Sama kawiarnia znajdowała się w suterenie albo, jak to niektóre literackie zgrywusy mówiły, „w piwnicznej izbie”, gdzie według tylko nieco zmodyfikowanego poematu Marii Konopnickiej „głos gości było słychać”.

Ale na poziomie zero był już ogródek, zawsze bardzo zadbane. Tu schodzili się wszyscy, od lokalnej śmietanki, poprzez świat artystów, półświatka i cyganerii. Przychodzili tu Andrzej Łapicki z plejadą swoich wielbicielek, Bułat Okudźawa, ten gruziński pisarz i piosenkarz, no i naturalnie Ryszard Barycz z Teatru Powszechnego na Pradze. On wtedy podkochiwał się w siostrze Jana, która mieszkała w sąsiedztwie, na Katowickiej 22. A w ogóle to ten Bułat też kochał się w sąsiadce Sułtana, tj. już wtedy dobrze znanej

Agnieszce Osieckiej. Podobno po wspólnej kawie u właściciela tego przybytku, pana Tadeusza Zielińskiego, napisał o niej opowiadanie *Dziewczyna moich marzeń*.

Jan siedział przy stoliku i patrzył na wygwieżdżone niebo, na którym ten rosyjski kosmonauta Gagarin krążył w swoim Wostoku i śmiał się do rozpuku z amerykańskiej rakiety, która zaraz po starcie okazała się bublek, dała dubla i eksplodowała tylko trochę nad ziemią. Nie bez kozery nazywano ten niewypał „amerykańskim kaputnikiem”.

Jan czekał na dobrze schłodzone białe wino, na które na ogół nie było go stać, bo jego skromne akademickie stypendium pozwalało tylko na butkę paryską z kiszonym ogórkiem, ale tym razem okazała się szczególna. Udało mu się mianowicie sprzedać wrak szwedzkiego samochodu (szwedzki, bo nabyty od sekretarki ze szwedzkiej ambasady) swojemu przyjacielowi, ciekawym zbiegiem okoliczności właśnie temu Tadziovi, który był właścicielem Sułtana.

Nie zdziwił się zatem, gdy sam Tadzio podał mu wino, i spytał tylko, co on zrobił z tą nową, bardzo nadobną kelnerką, którą zatrudnił zaledwie kilka dni wcześniej. Odpowiedź była jednak prosta!

- Wczoraj - odpowiedział Tadzio - zaczęła ta piękna dziewczyna przystawiać się do Januarego G. i Anula B. w ataku zazdrości podbiła jej oko. Kelnerka nie może przecież obsługiwać klientów z okiem koloru śliwki węgierki. Dlatego ja teraz sam muszę i być szefem, i podawać kawę, czasami też wino gościom w kawiarni.

Po czym jeszcze dodał:

- Twoje zdrowie, Jasiu, pamiętaj o naszym ślubie w przyszłą niedzielę. O ile mi wiadomo, to znasz już dobrze moją przyszłą żonę, Mariettę.

Rzeczywiście Jan poznał Mariettę, chyba tuż przed Tadzio. Kiedyś czekali razem na autobus, który z ronda Waszyngtona miał ich zawieźć do centrum Warszawy. Ona jechała do pracy w operetce, a on na korty, gdzie był umówiony z kilkoma sekretarkami z ambasady szwedzkiej. To było jakby połączenie pięknego z pożytecznym. On uczył je grać w tenisa, a one dbały o jego kieszonkowe i pozwalały

wąchać zachodnioeuropejskie perfumy.

Tym razem autobus spóźniał się trochę i Jan dla zabicia czasu dyskretnie zaczął obserwować swoje otoczenie. Kilka kroków od niego stała dziewczyna o dość egzotycznym wyglądzie i jakby niecierpliwie rozglądała się za tym darem komunikacji miejskiej z numerem 117. I ni stąd, ni zowąd podszedł do niej jakiś podpity osobnik i zaczął się zalecać.

Tego było za wiele dla Jana! Podszedł do tego ulicznego don juana i poprosił go uprzejmie, żeby się odp... od tej pięknej dziewczyny. Ale jako że człowiek jakoś nie miał na to ochoty, Jan umieścił prawy sierpowy na szczęce chuligana. To było tak, jak go uczyli na studium wojskowym. Jan studiował wtedy chemię i przez pierwsze sześć semestrów po dwa tygodnie służył w wojsku. Tam go nauczyle, jak strzelać z kałasznikowa i że za ciosem należy iść całym ciałem, tak żeby przeciwnikowi po uderzeniu nie przyszło do głowy się odwodzić. Nauka nie poszła w las. Facet poleżał trochę na chodniku, po czym wstał, zatoczył się trochę i masując krwawiącą gębę, odszedł bez słowa. Za to podeszła do Jana ta egzotyczna dziewczyna i powiedziała:

- Dziękuję, że uratował mi pan życie (zawsze miała poczucie humoru). Nazywam się Marietta i widzę, że dobrze bije pan po pysku.

Tak zaczęła się ich znajomość. Ona była imigrantką z Rumunii (Jan się myli, Marietta miała paszport rumuński, ale pochodziła z Mołdawii - przyp. M.B. i RR) i pracowała w balecie Operetki Warszawskiej przy ulicy Puławskiej. Mariettę i jej mamę sprowadził do Polski jakiś żołnierz Andersa, który w swoich wędrówkach zakochał się w Bukareszcie i wziął z tego miasta „coś na pamiątkę”.

Tak, Saska Kępa była jakąś szczególną częścią Warszawy. Tu znali się wszyscy, albo prawie wszyscy, a Sułtan był jakby centrum tego wyszukanego getta. Z Anulą chodził Jan do powszechniaka, który wybudowano naprędce przy ulicy Zwycięzców. To był jakby system baraków, więc i szkołę nazwano też „Pod Barakami”. Tam chodzili razem do szóstej i siódmej klasy. Potem drogi ich się jakoś rozeszły,

aż któregoś dnia ojciec Jana powiedział, że Anula ma „nowego przyjaciela”!

Otóż okazało się, że zbliżała się generalna amnestia dla osób albo uwięzionych, albo spodziewających się rozprawy sądowej. A ponieważ babka Jana siedziała, po dwunastoletnim wyroku w Fordonie, już od ośmiu lat, jego ojciec miał nadzieję, że któregoś dnia dowie się z „Życia Warszawy”, że ją wypuszczą przed zakończeniem kary. I tak zaczął się on spotykać przed kioskiem z porannymi gazetami z Januarym, wysokim blondynem, który często przychodził w towarzystwie nadobnej dziewczyny. On też miał nadzieję, że amnestia odpuści mu grzechy, za które miał być sądzony.

Od tego czasu zaczęli Jan i January często spotykać się w Sultanie. Nikt nie wiedział, czym zajmował się ten przystojniak, ale opowiadano o nim, że pochodził z bogatej ziemiańskiej rodziny i że jak zbliżała się Armia Czerwona, to ojciec dał mu trzy konie, worek dolarów i powiedział:

- Znikaj, życzę fartu.

January miał przyjaciół, którzy dziwnym trafem nosili pseudonimy pochodzące od pierwiastków chemicznych. Na jednego wołali Potas, na drugiego Neon. Chyba handlowali z komisami, bo to były rzeczy drogie i najbardziej chodliwe. Jego układ z Anulą trwał długo. Najpierw była to wielka miłość, potem przyjaźń, ale nie małżeństwo. A szkoda, bo Anula była piękną i czarującą dziewczyną.

Ale do najpiękniejszych bywalczyń Sultana należała jednak pewna Halina - hrabianka. Wszyscy nazywali ją Ha- ha i wielu męskich adoratorów koniecznie chciało ją skusić, by podzieliła się z nimi swoimi nadobnymi wdziękami. Ale był problem! Ona miała inżyniera, który, mimo że był zaręczony z jakąś dziewczyną, obiecywał Ha- ha, że weźmie ją na wycieczkę do Danii, jeżeli ona zda maturę na kursach zaocznych. Mógł to zresztą łatwo zrobić, jako że pracował dla pewnej skandynawskiej firmy na stanowisku serwisującym dostarczone przez nich urządzenia.

Z tego układu jednak nic nie wyszło, bo Ha- ha nie zdała matury, a

inżynier ożenił się z inną. Podobno Ha- ha chodziła potem często do kościoła na Kępie.

Wróćmy jednak do tego wieczoru w ogródku przy Sultanie. Tazio przyniósł jeszcze trochę białego wina i powiedział, że to „na jego rachunek”. Potem pogadali jeszcze o tym i owym i wszystko byłoby dobrze, gdyby z okna na pierwszym piętrze nie zaczęły dochodzić do nich podniesione głosy.

Chyba chodziło o jakąś skakankę, ale Tazio powiedział, że to była kłótnia między macochą i jej pasierbicą.

- Widzisz, Jasiu - zaczął cierpliwie wyjaśniać. - Tam na pierwszym piętrze mieszkają dwie panie, które żyją w przyjaźni, ale nie zawsze. Jedna, trochę starsza, jest smukłą wdową po nieżyjącym już moim sąsiedzie, a druga to jego piękna córka, która ma jednak coraz większe kłopoty ze swoją szybko narastającą wagą.

Teraz Jan zaczął wymagać dalszych wyjaśnień i spytał:

- No dobrze, że się przyjaźnią, ale dlaczego tak bardzo kłócą się o jakąś skakankę?

Tazio popatrzył na Jasia z politowaniem, po czym uśmiechnął się i powiedział:

- Widzisz, ta starsza ma bardzo jędrne cycki, które nie podskakują, jak ona ćwiczy na skakance. Tego jej ta młodsza zazdrości i krzyczy, że to niezdrowe.

I tak Jasio postanowił sprawdzić, czy Tazio miał rację, i przy pierwszej nadarzającej się okazji zaprosił tą starszą na przejażdżkę swoją osą do Tahiti. To zresztą nie było takie proste, bo właśnie zaczął obowiązywać przepis chroniący głowy pasażerów na skuterach, ale Jasio miał zapasowy hełm i zgodnie z porzekadłem „chcesz jechać do lasu, musisz być w kasku” ubrał dziewczynę jak należy i zabrał ją wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego na południe.

Tahiti była knajpą urządzoną pod koniec tego Wału, w odległości około 20 kilometrów od Sultana. Tam Wisła rozlewała się, tworząc piaszczyste łachy i małe wysepki porośnięte cienistą wikliną, która maskowała pary spragnione samotności. Tam Jasio przekonał się, że Tazio miał rację, i tylko dręczyło go pytanie, skąd on tyle wiedział o

swoich sąsiadkach.

Rozmowę Jasia i Tadzia przerwało przybycie Szklarza. Słowo „Szklarz” było naturalnie przezwiskiem pana Janusza Sz., który między innymi pracował u Tadzia jako szofer i mechanik samochodowy. On też był kolegą Jana ze szkoły. Kiedyś Szklarz zaproponował Janowi, żeby wybrali się na czereśnie w ogrodzie jego matki dentystki, która rozwiodła się z mężem i nie chciała mieć nic wspólnego z synem. Czereśnie były jednak bardzo smakowite, mimo że musiano je kraść nocą.

Tadzio wykorzystał przybycie Szklarza i przepaszając towarzystwo, wrócił do swoich obowiązków szefa- kelnera, a Janusz zaczął się wynętrzać.

- Widzisz, Janie, mamy kłopot - powiedział. - Ten szwedzki wrak, który opylifeś Tadziovi, był własnością ambasady, to jest miał wartość dewizową. Tadzio go kupił na rumuński paszport Marietty, ale ona była z RWPG, tzn. nie miała uprawnień do zakupu dewizowych wartości. I co teraz robić? Polskie władze nie chcą zarejestrować tego roztrzaskanego auta na polskich numerach.

Sprawa była rzeczywiście poważna, ale Janusz ciągnął dalej:

- Można by jednak wykorzystać fakt, że samochód podczas kraksy rozpadł się na dwie części, tj. oddzielnie na silnik i na karoserię. Na silniku nie ma śladu obcego pochodzenia, a resztę z dyplomatyczną tablicą rejestracyjną można byłoby im zwrócić. Silnik za złotówki będzie można sprzedać za cenę wyższą niż całą tę dyplomatyczną landarę. Do tego będzie jednak potrzebne ładne podanie, napisane na maszynie, i kilka banknotów dla urzędnika prowadzącego tę sprawę.

To można było załatwić! Jan pożyczył od matki tłumaczki maszynę do pisania i razem ze Szklarzem zredagowali podanie do Rady Narodowej, opisując, jak w dramatyczny sposób silnik został wyrwany z karoserii i leżał zupełnie osobno, gdy nadjechała straż drogowa. Dołączono nawet kilka urwanych śrub, by uwypuklić ten straszny wypadek.

I udało się, a Jan dostał dodatkową prowizję za wypożyczenie

maszyny do pisania i redakcję pisma do władz drogowych. Od tego czasu jadł bułki z prawdziwą kiebasą.

Ten Szklarz był właściwie trochę dziwnym człowiekiem. Inteligentny, świetnie zbudowany, uroczy blondyn nigdy nie mógł zadomowić się w jakimś stabilnym układzie. Kochały się w nim różne panienki, a szczególnie ta zawodniczka, która reprezentowała Polskę na olimpiadzie w Helsinkach. Ona pływała stylem motylkowym i mówiła, że wszystko w życiu robiła w ten sam sposób. Pływała motylem, kochała się jak motyl i jak motyl fruwała z kwiatka na kwiatek. Chyba pasowała do Janusza, bo kiedy Jan kiedyś zaproponował mu, by on jakoś uregulował sobie życie, ten odpowiedział wierszem:

*Śmieję się z fortuny ołtarzy.
Niech mnie los w d... całuje.
Kiedy mi się kochanie zdarzy
i kuśka raźnie opryskuje.*

Ale wróćmy do ślubu Marietty i Tadzia. Zeszła się chyba połowa Saskiej Kępy i tylko niektórzy mówili, że Tadzio miał już wprawę, bo to było jego drugie małżeństwo. Niemniej jednak wyglądał wspaniale. W żakiecie i sztuczkowych spodniach robił wrażenie bardzo zakochanego i szczęśliwego. A egzotyka Marietty i jej wspaniała figura w śnieżnobiałej sukni też wzbudzały podziw.

Potem był bal, naturalnie w Sułtanie, i chyba przeszedł on do historii tego przybytku. Już po roku Marietta zaczęła paradować po Kępie, pchając wózek ze śliczną dziewczynką o imieniu Monika, a Tadzio zachwycony i dumny opowiadał, że za wózkiem przemieszczał się najpierw kolosalny biust i dopiero potem jego ukochana żona Marietta.

Jasio niestety nie był na chrzcinach Moniki, jako że trochę wcześniej wyjechał do Danii i tam rozpoczął karierę handlowca chemika. W tym dopomogli mu jego szwagier, też chemik, lata nauki na Uniwersytecie Warszawskim i SGPiS oraz mama, która zadbała o jego „parle, parle”.

List 4

Szanowny Panie Piotrze.

Wygląda na to, że wskazany jest nam pośpiech.

W związku z tym załączam jeszcze kilka szczegółów, które może Pana zainteresują. Jako że rzeczy wydarzyły się jednak ponad pół wieku temu, za dokładność „raportu” nie ręczę.

Samochodem był, o ile pamiętam, dość przechodzony ford typu (po polsku) kareta.

Był on własnością dwóch szwedzkich sekretarek, które nabyły go na krótko przed wypadkiem od jakiegoś innego dyplomaty.

Te Szwedki uczyłem grać w tenisa i jedna z nich była nawet przez pewien czas moją sympatią. Generalnie biorąc, to wszystko kręciło się wtedy wokół tenisa i intensywnego życia towarzyskiego. Wszystko się jednak skończyło po wyjeździe Szwedek z Polski.

Samochód rozbił się z niewiadomych powodów. Na prostej drodze pod Warszawą nagle zjechał z szosy i uderzył w drzewo. Nie było ofiar w ludziach ani raportu służby drogowej.

Wrak został sprzedany Tadziovi za kilkanaście tysięcy (tamtych) złotych.

Teściem Tadeusza Zielińskiego, tj. ojcem Marietty (Jan się myli, to był teść Tadeusza z jego pierwszego małżeństwa - przyp. M.B. i P.P.), był samochodziarz imponującego wzrostu i tuszy. Tadzio był przy nim raczej filigranowy. Złośliwi mawiali, że Tadzio bał się go jak ognia, ale też robił z nim jakieś interesy.

To chyba wszystko, co pamiętam. Jeżeli ma Pan dodatkowe pytania, jestem do dyspozycji.

Jan

I to już wszystko? Chyba tak. Koniec i kropka.



polecamy

Piotr Pytlakowski
MÓJ AGENT MASA

Piotr Wróbel, jeden z najstynniejszych polskich gliniarzy, ujawnia, jak pozyskał najcenniejszego agenta w świecie gangsterskim, Jarosława Sokołowskiego, pseudonim Masa, i tłumaczy, dlaczego jego informator nigdy nie powinien dostać statusu świadka koronnego. Nie może bowiem być koronnym człowiek, który kierował własną grupą przestępczą, wydawał polecenia i egzekwował ich wykonanie. Czy Masa kłamał? I jak przekonał śledczych, że zasługuje na darowanie mu kar za czyny, które popełnił? To opowieść o Masie, który donosił na kumpli, ale też i o innym byłym gangsterze, który doniósł na Masę.



Foto



Marietta Rybakow-Zielińska, mama Moniki



Ślubne zdjęcie Marietty i Tadeusza,
rodziców Moniki

Ślub rodziców Moniki. W środku
od lewej: Marietta, Tadeusz i Józef,
ojciec Marietty

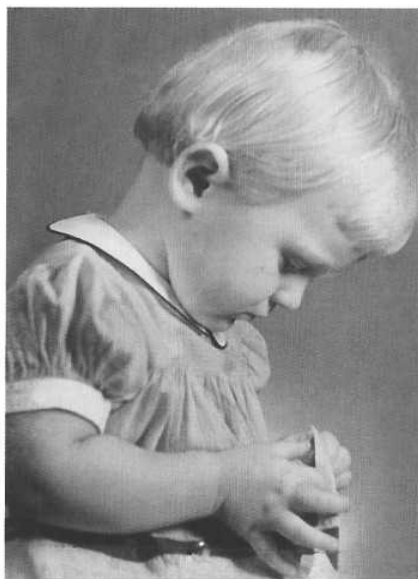




Mercedes Tadeusza Zielińskiego, lata 60.



Monika w wieku 3 lat. Po prawej jej mama, z tyłu babcia, Helena Zielińska, po lewej przyjaciółka mamy



Monika w wieku 5 lat



Monika i Krzysztof – pierwsza miłość



Monika ze znajomą podczas zabawy sylwestrowej, 1989 r.

Monika z rodzicami w apartamencie w Zakopanem, 1992 r.





Monika i Andrzej podczas ślubu cywilnego w Las Vegas, 1 czerwca 1995 r.



Monika i Andrzej po ślubie w Las Vegas



Ślub w Bazylice Zwiastowania
Pańskiego w Nazarecie



Monika i Andrzej przed restau-
racją, w której odbyło się wesele.
Nazaret, lipiec 1995 r.



Monika i ksiądz Kazimierz Orzechowski na wzgórzach Golan



Monika i Andrzej z synkiem w szpitalu



Monika z synkiem w szpitalu następnego dnia po porodzie, 2000 r.

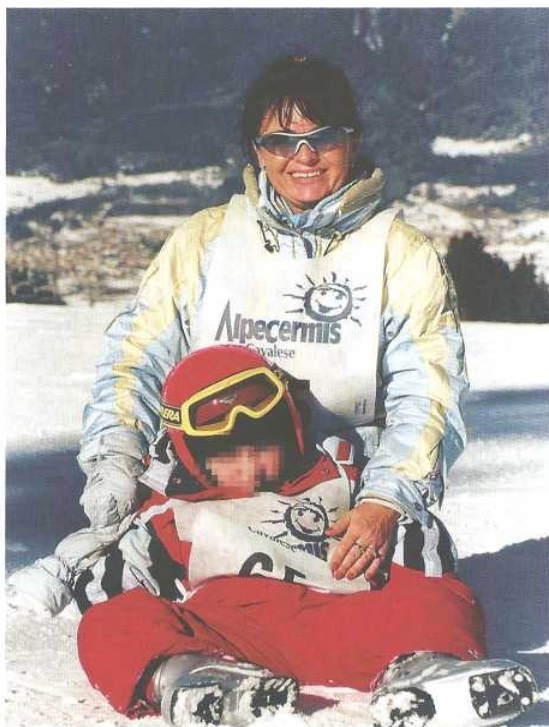


Monika z synkiem



Monika wraz z synkiem i jego opiekunką na nartach w Cortina d'Ampezzo we Włoszech

Na nartach w Cava-
lese





Monika wśród kapeluszy



Monika i Wadim



Monika z kulturystami



Monika podczas sesji zdjęciowej dla „Polityki”, 2016 r.



KRÓLOWA MAFII

Żona Słowika opowiada Piotrowi Pytlakowskiemu o gangsterach, miłości i zdradzie

Tajemnicza i ekscytująca Monika Banasiak, czyli Słowikowa. Oskarżono ją o kierowanie gangiem. Po wyjściu z aresztu zdecydowała się przerwać milczenie i opowiedzieć Piotrowi Pytlakowskiemu o swoim niezwykłym życiu.

Była żoną słynnego gangstera Słowika. Mówiono, że to związek aż po grób. Słowik budził wśród innych gangsterów strach, Monika – szacunek i podziw. Piękna dziewczyna z dobrego domu, studentka medycyny, weszła do egzotycznego dla niej świata narkotyków i zbrodni i wspięła się na sam szczyt.

Kochała i była wierna, nawet kiedy Słowik trafił na wiele lat za kraty. Ale w końcu spotkała innego, dla którego straciła głowę. Słowik mógłby wybaczyć jej wszystko, ale nie zdradę. Związek najstynniejszej pary polskiej mafii się rozpadł.

Monika Banasiak fascynująco opowiada o swoim życiu w mafii, o złych mężczyznach, którzy ją otaczali, o ich żonach i kochankach, o miłości i zbrodni. To pierwsza tak szczera relacja najważniejszej kobiety w gangu pruszkowskim. Nie ma dla niej tematów tabu. Ujawnia wszystko aż do bólu.